

Pedersen Bente

Roza znad Fiordów 11

Droga Łez

Roza przybywa wraz z Seamusem do Ameryki. To właśnie tu, w Georgii, przekonuje się na własne oczy, czym jest niewolnictwo. Roza nie potrafi pogodzić się z niedolą bezwzględnie traktowanych Murzynów. Kiedy ucieka syn jednej z niewolnic, ukrywa go, nie myśląc o konsekwencjach swego czynu. Zapomina, że właściciel chłopaka znany jest z okrucieństwa, a Seamus z pewnością nie pochwali jej postępowania...

Rozdział 1

... budzi mnie ich pieśń. Piękna. Jakby smutna skarga lub prośba wyrażona w formie pieśni. Nie jest krzykiem, choć wyczuwam w niej ból. Ból nie potrzebuje słów ani języka.

Jest tak rzeczywista, że mogę rozróżnić poszczególne głosy. Miesza się z kołysaniem statku i jest równie wyraźna jak odgłos morza. Oba brzmienia ogranicza drewno, ciało statku.

... nie istnieje kościół dla tego smutnego psalmu, tylko statek płynący po bezkresnym oceanie. Statek pomiędzy dwoma światami. Statek pomiędzy niebem a oceanem.

... ocean staje się drogą, po której idę wraz z nimi, z tymi ciemnymi postaciami, które wyśpiewują swój ból, które śpiewają zamiast płakać. Nazywam tę drogę Drogą Łez.

Statek nie jest jak kościół. Nazwano go na cześć zorzy polarnej, co według mnie uwłacza temu najpiękniejszemu zjawisku świata.

„Merry Dancer”... „Wesoła tancerka”...

Nigdy nie będę wspominać tego statku jako czegoś wesołego ani przepełnionego światłem. Nic mnie z nim nie łączy. Dla mnie „Merry Dancer” stanowi uosobienie cierpienia i bólu oraz pogardy, od której jeszcze nie zdołałam się wyzwolić. Pragnęłam, by to

mogło obudzić we mnie nienawiść, ale nie umiem nienawidzić Seamusa.
... Kocham go...

Leżę spocona, owinięta w chłodne prześcieradła. Leżę tak cicho, jak mogę, nawet nie poruszam palcem. Gdyby nie moje myśli, mogłabym uchodzić za umarłą.

Powietrze jest przepelnione wodą. Wszystko wokół mnie jest wilgotne, skrapla się w małe strużki spływające po skórze. Nawet ściany zdają się oddychać. Drżą pod dotykiem nieba, które tutaj zwiesza się nisko.

Horyzont rozciąga się szeroko. Powietrze przykleja się do ciała, równie wilgotne jak ja...

... słyszę ich przez ścianę. Głosy są wyraźne, mimo że starają się szeptać. O'Connorowie. Jest ich tak wielu, że nie mogą siedzieć blisko siebie i szeptać. Muszą mówić normalnie. Już na tyle ich rozumiem, że nie mają przede mną tajemnic.

Łatwo uczę się języków. Nigdy przedtem tego nawet nie przypuszczałam. Wiele się dowiedziałam, od kiedy wyjechałam z Kafjorden z dzieckiem żonatego mężczyzny w brzuchu. Słowo ma siłę, tyle rozumiałam.

Przyswoiłam sobie teksty piosenek, które śpiewały te kobiety.

Kobiety wymawiały słowa pełnymi wargami, pomagając sobie szybkimi gestami rąk. Rozmawiały ze mną. Może rozumiały, że ja też nigdzie nie czuję się jak w domu, a już na pewno nie na pokładzie „Merry Dancer”.

Możliwe, że rozumiały, że też cierpię, choć nie mogliśmy tego porównać. Ból można rozpoznać jedynie wtedy, gdy się go odczuje samemu. Może zauważały mój smutek...

... a może uznały mnie, gdy były świadkami gniewu Seamusa, gdy siłą odrywał moje dłonie od krat, które mnie od nich oddzielały?
O'Connorowie rozmawiali głośno o mnie. Mówili, że się nie dostosuję, że Seamus źle zrobił, biorąc mnie na statek. Nie chcieli mnie w ich nowym Dublinie. W nowym Dublinie w ich Nowym Świecie. Mówią o mnie pod nieobecność Seamusa. Zwykle on nie pozwala im na to. Patrzy im w oczy, każdemu z osobna, i mówi, że jestem jego żoną. Tylko on, ja i jeszcze dwie osoby wiedzą, że kłamię...

Georgia, czerwiec 1842 roku

- Ona nie jest jedną z nas - powiedziała Jenny, nawet nie udając, że zamierza ściszyć głos.

Była młoda, dumna i czuła, że ma rację. Głowę trzymała wysoko. Rozejrzała się po kręgu tych, którzy byli jej bliskimi. Młoda żona Josepha nie należała do cichych i uległych kobiet. Wydorosła po opuszczeniu ojczyzny: zielonej, urodzajnej wyspy leżącej po wschodniej stronie Morza Irlandzkiego.

Ten dom traktowała jak swój. Rządziły nim ona i Fiona. Joe i Peter uważali, że dom należy przede wszystkim do Seamusa, ale Jenny ich wyśmiewała. Może Seamus i był przywódcą rodzeństwa, ale w domu nie było go prawie nigdy. Ponad połowę czasu spędzał na swoich tak zwanych interesach.

Jeździł po okolicy, zbierając doświadczenia tych właścicieli plantacji, którzy chcieli się nimi dzielić. Miał kontakty wśród handlarzy koni w całym stanie i miał z nimi konszachty, o których

nikt głośno nie śmiał wspominać. Interesy zaprowadziły go do niemal każdego skrawka wybrzeża Georgii, a nawet na Florydę i leżące jeszcze dalej wyspy. Żył swobodnie w świecie, do którego wstępu nie mieli pozostali bracia.

Jenny nigdy by nie przypuszczała, że Seamus przywiezie tu jakąś żonę. A już przenigdy, że taką jak ta żalosna Rosi.

- Ona jest tak samo nasza jak i ty - odparła jej spokojnie Fiona. Jej ciemne oczy spoglądały poważnie, usta się nie uśmiechały. Dla wszystkich stało się jasne, że upomina żonę swego młodszego brata. - Ty też wżeniłaś się w naszą rodzinę, Jenny, zupełnie jak Rosi. Ty jesteś żoną mojego brata Joe, a ona żoną mojego brata Seamusa.

Cisza nie trwała długo.

- Zawsze musisz jej bronić! - Jenny nie ustępowała ani na cal. - A sama wyszłaś za cudzoziemca...

- Tutaj wszyscy są cudzoziemcami - odezwał się Padraig spokojnie, przeczesując dłonią włosy, które i tak dalej sterczały we wszystkie strony.

- To nie Irlandia, Jenny. To Ameryka. Tutaj nie ma znaczenia, skąd przybywasz. Tu wszyscy są równi.

- Ale i tak tu nie jest jej miejsce! - upierała się Jenny. - Nieważne, co mówicie! Czy ona coś dla was zrobiła? Ruszyła choćby palcem? Czy spróbowała okazać, że jest jedną z nas?

- Byle Seamus tego nie słyszał! - powiedział Joe, wzdychając ze zrezygnowaniem.

Przytulił swoją odważną żonę i próbował zażegnać jej gniew. Zwykle mu się to udawało, przecież był prawdziwym O'Connorem. Jego wzrok szukał oczu Petera, ale bez powodzenia. Pragnął, by to

Peter ujął się za Rosi, ale ten milczał, zamknięty w sobie. Tylko jego dłonie wciąż zajęte były kawałkiem drewna; zawsze tak robił. Ale nic nie powiedział. Niech inni bronią żony Seamusa.

Peter zawsze milczał, gdy rozmowa schodziła na Rosi. Wzrok trzymał utkwiony w drewnie. Zaciśnął usta. Nic nie powiedział w jej obronie. Czuł się samotny pośród tych, którzy stanowili wspólnotę.

A Seamus nigdy nie usłyszał nic z tego, co zostało tu powiedziane.

Joe na równi z Jenny nie chciał, by Seamus przywiózł tu Rosi. Ale teraz stała się częścią życia brata i żadne z nich nie miało prawa tego kwestionować.

- Od przyjazdu nic, tylko płacze - stwierdziła Jenny bez współczucia w głosie. - My pracowałyśmy od pierwszego dnia. A ona zamknęła się za tymi drzwiami i płacze. Za kogo ona się ma? Za księżniczkę? Jakich to bajek naopowiadał jej Seamus? W Ameryce nie ma żadnych królów ani królowych! Czy nikt nie może jej tego powiedzieć?

- Ty mówisz tak głośno, że żadne z nas już nie musi - rzucił spokojnie Peter, rzeźbiąc wzory w swoim kawałku drewna.

Joe ucieszył się ze względu na Rosi oraz dlatego, że Peter okazał siłę ducha. Naprawdę wolałby nie znać tajemnicy Petera. Gdy Seamus przywiózł z Irlandii właśnie Rosi i przedstawił ją jako swoją żonę, dla Josepha O'Connora i Petera Johnsona nastąpiły ciężkie czasy.

Milczeli i Rosi milczała. Nie wydawało się, by Seamus znał o niej całą prawdę.

- Jeśli aż tak ci przeszkadza mieszkanie z nią pod jednym dachem - odezwała się Bridget - to ja mogę ją wziąć do nas.

Wymieniła spojrzenia z Padraigiem. Mąż wzruszył ramionami, ale nie protestował. Miał łagodny charakter.

Na początku, gdy tu przybyli, mieszkali bardzo skromnie, nawet gorzej niż w Irlandii. Ale Seamus zadbał o to, by jego inwestycje dały zysk.

Handlował w imieniu wszystkich. Mógł, oczywiście, robić to tylko dla siebie i zostawić rodzeństwo swojemu losowi. Seamus należał do tych, którzy dadzą sobie radę w każdych warunkach.

To on miał najwięcej pieniędzy. To on poznał znaczących ludzi. To on ryzykował majątkiem i życiem w interesach, które nigdy nie powinny wyjść na jaw. To Seamus kupił ziemię i dostarczył środków na zbudowanie czterech domów, żeby mogli mieszkać lepiej niż niewolnicy. Dzielił dom z Joem i Jenny i ich dwojgiem dzieci oraz z Fiona, Peterem i ich trójką. Bridget i Pa-draig mieszkali osobno z ósemką dzieci.

Breandan, Mary, Eamonn i Catherine mieszkali w trzecim domu. Razem mieli ośmioro dzieci. Najmłodszy Adam, jego młoda żona Deidre i syn w powijakach dzielili czwarty dom z wdową po Seanie, Coleen, i dwójką jej synków.

Układ działał dobrze, dopóki Seamus nie wrócił z Irlandii z Rosi i dwoma podrostkami, synami Danego i Molly. Wtedy Jenny zaczęło się robić ciasno.

- To już nie jest plantacja - Jenny udała, że nie usłyszała słów Bridget - to zaczyna przypominać miasteczko!

- Tu nie Irlandia - rzucił Joe uspokajająco. -Plantacje właśnie przypominają wioski.

- Właściciele zwykle mieszkają w większych domach niż niewolnicy! - parsknęła żona. - Założę się, że się wszyscy z nas śmieją. Z irlandzkich łachmaniarzy, którzy mieszkają tak samo nędznie jak czarnuchy na polu! Nigdy nas nie uznają, jeśli nie będziemy się szanować i zachowywać jak ludzie, a nie dzikusy!

- Jeśli jesteś zła na Seamusa, uważam, że powinnaś to jemu powiedzieć, a nie wściekać się na Rosi!

Fiona wstała i ujęła się pod boki. Seamus był jej najukochańszym bratem. On nigdy nie wahał się, by jej bronić w dzieciństwie. Nie podobał mu się jej pierwszy mąż. Raz nawet stanął pomiędzy nią a Danielem i obronił ją. Nigdy potem o tym nie wspomniał. Fiona czuła, że poszłaby za nim w ogień.

- O co ci naprawdę chodzi, Jenny? - spytała. Zawsze lubiła stawiać sprawy jasno.

- Są tu inni, którzy mogliby prowadzić plantację - odparła Jenny.

- Ja nie! - rzucił szybko Joe w obawie, by rodzeństwo nie uznało, że żona przemawia w jego sprawie. Wyprostował się i popatrzył kolejno im prosto w oczy.

- My jesteśmy zadowoleni, że to Seamus jest przywódcą - powiedział Padraig. Był o rok starszy od Seamusa i jego słowa miały moc.

- Peter mógłby nim być - stwierdził Eamonn.

- Właśnie, może Peter jest tak samo do tego stworzony jak nasz Seamus? - poparła go Jenny.

- Nie przypuszczałem, że masz zaufanie do

cudzoziemców - uśmiechnął się Peter, biorąc to za żart. - Ja wziąłem na siebie tyle odpowiedzialności, ile daję radę unieść - dodał. - Paddy ma rację: jesteśmy zadowoleni z tego, że to Seamus przewodzi.

- Ja nie jestem zadowolona - upierała się Jenny.

- Nigdy wcześniej nie wiodło nam się lepiej! -zaprotestował Joe, którego zawstydzaly słowa żony. Nie chciał, by bracia uznali, że nie ma nad nią władzy.

- Mogłoby się wieść lepiej.

- W jaki sposób? - spytała Fiona.

- Czy któreś z was kiedykolwiek wiedziało, jaka część pieniędzy idzie na popieranie walk w Irlandii? - spytała Jenny. - Czy on kiedykolwiek się was radził? Czy pytał ciebie, Joe? Nas?

- My wszyscy chcemy dobra Irlandii - bronił Joe brata. - Wszyscy jesteśmy gotowi ofiarować coś, by wyzwolić Irlandię spod ucisku. Czy ty nie chcesz nic poświęcić swojej ojczyźnie, Jenny?

- Ameryka jest moją ojczyzną! - stwierdziła Jenny z naciskiem. -

Wszyscy opuściliśmy Irlandię i poza Seamusem nikt nie chce tam wrócić. Ja wystarczająco się naharowałam w Irlandii. Moje życie zaczęło się, gdy tu przybyliśmy. Jestem gotowa do poświęceń, jeśli chodzi o poprawę naszego życia tutaj! Nie chcę, by nasze pieniądze szły na broń dla rebeliantów w Irlandii!

Zapadła cisza. Pokój, w którym siedzieli, wydawał się taki ogromny, gdy go po raz pierwszy zobaczyli. Teraz przyzwyczaili się już do przestrzeni w domu i nie robił już takiego wrażenia.

- To potrwa... - powiedział Paddy.

- To potrwa bardzo długo, jeśli Seamus nadal

będzie przekazywał cały nasz zarobek do Irlandii. - Jenny była nieprzejednana.

- Tam są nasi.

- Nasi są tutaj! - upierała się Jenny.

- Wielkie plantacje mają ponad pięćdziesiąt lat -oznajmił Joe. - Nie możesz oczekiwać takich samych wyników po roku. Jesteś marzycielką, Jenny.

- Marzyłam o ziemi, która będzie nasza, Joe -Jenny spojrzała mężowi prosto w oczy. - To dlatego opuściłam Irlandię. Marzyłam o domu, który będzie tylko nasz, twój i mój. O naszych drzwiach. O pęku kluczy u mojego pasa. Marzyłam o ziemi, która będzie zapisana na twoje imię, Josephie O'Connor! Nie o plantacji Seamusa!

- Wszyscy nie możemy być właścicielami wielkich plantacji - sprzeciwił się Breandan.

- Ziemia jest także na zachodzie - mówiła Jenny. - Tam mieli jechać wszyscy, z którymi rozmawialiśmy na wyspie Ellis. - Nabrała powietrza. -Chciałabym, by zysk był dzielony równo dla każdego. I jeśli Seamus nadal chciałby być taki szczodry, swoją część może przeznaczyć na wyrzucanie królowej z Irlandii.

- Ona mówi tylko za siebie - odezwał się Joe, blady.

- Oczywiście, że tak - zaśmiała się Jenny. - Ty nigdy byś się nie odważył nawet pomyśleć o czymś, co mogłoby rozżłościć wszechwładnego Seamusa!

... gdy oddycham spokojnie, bicie mojego serca nie zagłusza ich głosów. Łatwo zrozumieć gniew Jenny. Jeszcze jest sama, ale możliwe, że jej bunt

znajdzie zrozumienie u którejś z innych kobiet. Bracia trzymają się razem. CConnorowie zawsze trzymali się razem. Ale Jenny zapewne nie jest jedyną z ich żon, które mają marzenia.

Ja nie mam żadnych marzeń...

Aleja też inaczej to sobie wyobrażałam. Seamus inaczej wszystko opisywał. Nie wiem, czy to dlatego, że on inaczej patrzy, czy że chciał to dla mnie upiększyć.

Seamus wydaje się być tu kimś innym niż w Irlandii...

Nie znałam go...

...kocham go. Moje uczucie jest tak wielkie, że go nie ogarniam. Kocham Seamusa, ale nie wiem, czy to wystarczy...

Głos Jenny mieszał się z pieśnią, którą słyszała we śnie. Roza słyszała ją też na jawie. Ostry ton głosu Jenny zagłuszał pieśń płynącą wieloma głosami. Żona Joego była niczym ksiądz głoszący gorzkie kazanie. Jej słowa zyskiwały większą moc, niż na to zasługiwały.

Roza usiadła na łóżku, przyciskając dłonie do uszu. Pieśń przycichła, ale Jenny nadal mówiła.

Prześcieradło przykleiło się do gołych nóg Rozy. Halka była wilgotna. Koszula przesiąknięta potem. Roza nie wiedziała, czy to przez wilgotność powietrza, czy przez strach, który ją prześladował i wyciskał pot z jej skóry.

Jakże by chciała, by Seamus tu był! Powinien być przy niej. Nie wolno mu było wyjeżdżać! A jeśli już musiał, to ona mogła jechać razem z nim.

Ale on, trzymając ją mocno w ramionach, przekonywał, że byłoby to zanedo niebezpieczne.

„Tam, dokąd jadę, nigdy nie zabrałbym swojej żony” - wyszeptał, wymazując zmartwienia z czoła Rozy leniwymi, zmysłowymi dotknięciami opuszek palców. Całował jej drżące usta i mówił, że Roza ani się obejrzy, a on już będzie z powrotem.

... to już trzy tygodnie...

„Aligatory zjadłyby natychmiast kogoś tak słodkiego jak ty” - zapewniał poważnie, a w jego ramionach Roza była w stanie uwierzyć w najgorsze kłamstwo.

I w to, że jest słodka... Po jego odjeździe lustro mówiło coś zupełnie przeciwnego. Teraz już nie wierzyła w żadne z jego słów.

„... na południe, a potem na wyspy” - odparł Seamus wymijająco, gdy spytała, dokąd jedzie.

„Floryda” - wyszeptała Fiona, gdy kiedyś zostały same. Oglądała się za siebie, jakby Roza była kimś, kogo należało trzymać z dala od tajemnic domu. „To oznacza południe. A wyspy niedaleko Florydy... Nie powinnam o tym wiedzieć, ale wiem. On jest moim bratem”.

„A moim mężem!” - wykrzyknęła wtedy Roza, a siostra Seamusa zamilkła. Mimo to Roza wiedziała, że wszyscy z rodzeństwa uważali, że są mu bliżsi niż jego żona.

... trzy tygodnie...

Wstała bezszelestnie. Zawsze tak umiała. Tutaj przychodziło jej to nawet łatwiej niż w Kafjorden, bo nikt nie nasłuchiwał. Bardziej byli zajęci rozmową o niej. Nawet nie uchylili drzwi, by zobaczyć, jak się ma.

Wystarczało im przekonanie, że śpi.

Szybko założyła spódnicę. Wciągnęła przez głowę zwykłą bluzkę i wcisnęła ją do środka. Schudła w czasie rejsu i nawet z bluzką spódnica była luźna w pasie. Roza się tym nie przejmowała. Cicho otworzyła okno, które zawsze w nocy miała trzymać zamknięte, jak prosili O'Connorowie. Co dzień opisywali jej, jakie to okropności mogą jej się przytrafić, jeśli będzie spała przy otwartym oknie. Najczęściej przybierały one postać niewolnika opanowanego zwierzęcymi instynktami.

Roza uśmiechnęła się do siebie. Wylądowała bosa na ziemi i przyciągnęła okiennicę tak, by okno wydawało się zamknięte. Wieczór był gorący i niemal całkiem czarny. Na niebie widziała zupełnie inne gwiazdozbiory niż te, które znała z domu i nawet z Irlandii. Już przyzwyczajała się do tych nad Kinsale. Tu gwiazdy mówiły w języku, którego nie rozumiała. Wiedziała jedynie, że zorza polarna ją opuściła.

... pozostawiona sama sobie...

Boso odbiegła od zagrody O'Connorów. Od tych czterech domów, w których mieszkało rodzeństwo z południowego wybrzeża Irlandii i ich najbliżsi. Jenny może miała rację. Roza raczej nie jest jedną z nich...

Przeszła przez płot i ruszyła w kierunku niewielkiego zbocza przed bagnami. W Irlandii by suszono torf z bagien. Tutaj bagna były inne.

Na wilgotnym zboczu, tak by pozostawały niewidoczne ze strony domów, leżały chaty niewolników. Małe i nędzne, z klepiskiem, cienkimi ścianami i dachem, który nie dawał wystarczającej ochrony przed bezlitosnym słońcem i równie gwałtownymi deszczami.

Już nie po raz pierwszy Roza wymykała się tutaj. Otrzymywała tu więcej ciepła niż u rodzeństwa O'Connorów.

Tego wieczora w osadzie panowała dziwna cisza. Roza wyczuła ją niczym zapach albo krzyk, który brzmiał w jej głowie. Miała wrażenie, że jej dłonie krwawią, ale gdy uniosła je przed oczy, nie zauważyła nawet draśnięcia.

- Panienska nie powinna tu przychodzić!

Ledwo wyrosnięty chłopak stanął przed nią, starając się powstrzymać ją przed otwarciem drzwi, przed którymi się zatrzymała. Roza dostrzegła w środku światło z pochodni, słyszała ruchy i domyślała się, że w środku jest wiele ludzi. Ogień przygasał, gdy ktoś wstawał, ale nadal panowała przerażająca cisza.

- Powinna panienska iść do domu!

Chłopak miał płonące, ciemne oczy. Jego powaga była tak wielka jak otaczający ich mrok nocy. Białka oczu błyskały zdwojoną bielą. Roza zastanowiła się, czy może on być starszy od Andersa. Nieraz go widywała pracującego na polu. Była pewna, że nigdy nie pozwoliłaby swojemu bratu harować od świtu do nocy, tak jak ten musiał.

- Coś się stało Princess? - spytała cicho, dostosowując się do wymagań tego wieczoru. W ciemności dźwięk niósł się dobrze.

- Prissy nie ma w domu - odparł chłopak, ale Roza wiedziała, że kłamie. Princess była niewolnicą. Nie miałyby dokąd pójść. Wieczorami, takimi jak ten, otwierała drzwi swej chaty i wpuszczała Rozę. Panienska Rosi siadała pomiędzy brązowoskórymi kobietami,

a Princess dzieliła się z nimi swoimi myślami i opowiadała o swoim życiu. Nigdy nie wspomniała, że Roza jest biała i że należała do państwa. Nigdy nie dała Rozie odczuć, że mogła być tu niechciana.

Roza czuła większe pokrewieństwo dusz z Princess niż z Fioną...

- Czy coś się stało Princess? - powtórzyła pytanie. Patrzyła chłopakowi w oczy, dopóki nie pochylił głowy i odsunął się sprzed drzwi.

Złamała jego dumę, choć może duma nigdy nie zagościła w jego duszy?

Nawet Princess pochylała karku przed państwem, mimo że w oczy Rozy patrzyła z zaufaniem.

Znali swoje miejsce.

Roza otworzyła drzwi. Wszyscy siedzący w ciemnym, ciasnym pomieszczeniu odwrócili się ku niej. Poczuli ich strach i gniew, i prawie się cofnęła przed tym gniewem, ale coś ją powstrzymało. Zatrzymała się i weszła do środka.

Princess siedziała z młodym chłopcem w ramionach. Mógł mieć czternaście lub piętnaście lat. Trudno powiedzieć, bo z potwornie opuchniętej twarzy nie można było tego wyczytać. Góra ciała była odsłonięta, więc Roza dostrzegła, że jego plecy stanowiły czerwoną masę.

Roza z trudem złapała oddech. Zamknęła oczy i powoli je otworzyła. Z wyjątkiem chłopca wszyscy się w nią wpatrywali. Princess też.

Ktoś zmasakrował plecy chłopaka. Od ramion do linii spodni jego plecy stanowiły otwartą ranę. Czyjś pejcz pozbawił je najmniejszego nawet skrawka skóry.

Łzy piekły pod powiekami Rozy, ale ona zmusiła się, by patrzeć. To był jej obowiązek. Musiała się dowiedzieć wszystkiego. Powoli weszła dalej. Ktoś zamknął za nią drzwi. Ludzie rozstępowali się przed nią. Chylili przed nią karku i to budziło w niej jeszcze większą odrazę. Czuła falę nudności, lecz nie mogła przed tym uciec.

Odpowiadała za tego chłopca, którego nie знаła.

- To mój syn, panienko - wyszeptała Princess ochryple.

Roza nigdy nie słyszała jej głosu tak pełnego bólu. Nagle przypomniała sobie zimne, sztywne ciało Synneve. Wspomniała swój ból, gdy zrozumiała, że jej śliczne dziecko już nie żyje...

Ale ten chłopiec żył...

- To ten straszliwy Matthews, zarządca u Jordanów. To on niemal uśmiercił mojego syna. Marlon uciekł do nas. Idą za nim z psami. Zabiją go. Zabiją go, panienko!

Rozdział 2

- Princess, ufasz mi? - spytała Roza bez zastanowienia.

Princess zmrużyła swoje ciemne oczy. Przygarnęła chłopaka do siebie, ale zdawała sobie sprawę, że jej ciało nie stanowi wystarczającej osłony przed pościgiem. Wcześniej czy później psy trafią na trop Marlona.

Znajdą go.

- Pozwól mi pomóc! - poprosiła Roza z mocą, która niemal z niej promieniowała.

Nic w jej postaci nie zdradzało, że należy do klasy panów. Bosa, w prostej, luźnej bluzce wpuszczonej w spódnicę z materiału w kratkę, takiego samego, z jakiego Princess uszyła swoją odświętną sukienkę. Rude włosy spływały w nieładzie po plecach, utrzymywanych jedynie tasiemką przewiazaną poniżej karku. Jej oparzony policzek pulsował purpurą, drugi był blady jak mleko. Ogień z pochodni sprawiał, że Roza wydawała się jeszcze bledsza, a włosy bardziej rude. Oczy błyszczały, przejrzyste niczym potoczki, które Princess widziała kiedyś w dzieciństwie. Już nie pamiętała, gdzie. Mieszkała na tyłu plantacjach, sprzedawano ją wiele razy.

Roza nie była pewna, czy kobieta zda życie swojego dziecka w ręce obcej.

- Umiem sprawić, by jego rany się zabiły - odezwała się, czując, jak zaschło jej w gardle. Język przyklejał się do podniebienia, słowa raniły wargi do krwi.

Uniosła dłonie, pokazując Princess ich wnętrza.

- Mogę ująć mu trochę bólu - powiedziała. Cisza była aż gęsta. Nie wierzono jej. Ona nie była jedną z nich. Tylko sobie to wyobrażała. Oszukiwała sama siebie tylko dlatego, że Princess poświęciła jej trochę czasu na opowieści. A może Princess nie miała wyboru? Może czuła, że musi? Przecież Roza była żoną pana Seamusa.

- Doktorka? - spytała Princess ochryple, nie spuszczać z Rozy spojrzenia. - Panienska mówi, że jest doktorką?

- Noszę w sobie siłę - odparła Roza bez zmrużenia powiek, mając tylko nadzieję, że ona jej nie zawiedzie. - Tutaj, w środku. - Przycisnęła dłonie do piersi, do serca.

Cisza nadal była ciężka. Wiele z osób wypełniających chatę nie chciało, by Princess słuchała białej kobiety. Roza wyczuwała to z ich spojrzeń i postawy. Ale nie rezygnowała.

- Ciężko karzą za ukrywanie zbiegłego niewolnika - powiedziała Princess powoli, kładąc nacisk na każde słowo. Jej oczy były ogromne, ciemne i poważne, ale usta drżały.

- Ale ciężej ciebie niż mnie, prawda? Princess pokiwała głową.

- Pozwól mi go ukryć - prosiła Roza. Zwracała się wyłącznie do Princess, do nikogo innego. Tylko ją musiała przekonać.

- Gdzie go schowasz? - spytała Murzynka. -Znajdą go. Psy go znajdą.

- W moim pokoju - odrzekła Roza.

Cisza aż dzwoniła. Rozie wydawało się, że słyszy uderzenia serc wszystkich obecnych. Ale musiało jej się wydawać. To na pewno jej własny puls.

Wyczuwała śmiech pełen wątpliwości.

- Ich psy nie wejdą do mojego pokoju - utrzymywała Roza pewnie. - Nie znajdą go w moim łóżku.

Długo nikt nic nie mówił.

- Jesteś tu zbyt krótko - powiedziała Princess. - Zabiją go, jeśli znajdą go w twoim łóżku, panienko. Ty jesteś białą kobietą, a on niewolnikiem.

- On jest dzieckiem! - wykrzyknęła Roza.

- Ma siedemnaście lat - odparła matka z nacis-

kiem. Jednocześnie jej spojrzenie badało Rożę, szukając w niej strachu. Sprawdzała, czy będzie w stanie wytrwać.

- Nie znajdą go - obiecała Roza. - Czy on może iść o własnych siłach?
- Przecież sam tu przyszedł, prawda? - rzuciła Princess głosem bez wyrazu. Zaraz jednak wykrzyknęła żarliwie: - Ukryj go, panienko! Nie pozwól, by go zabrano do pana Jordana!

Roza złożyła przysięgę:

- Nikt go nigdzie nie zabierze, Princess. Obiecuję ci to.

Nie zwracała uwagi na przelotne uśmiechy i wzruszenia ramion otaczających je niewolników. Mieli własne zdanie o tym, ile są warte obietnice białych dawane czarnym niewolnikom.

Roza przykucnęła przed Princess i jej synem. Nadal zbierało się jej na mdłości na widok spływających krwią pleców. Zastanawiała się, za jaki czyn wymierzono mu aż tak surową karę. Nie mogła sobie wyobrazić przestępstwa usprawiedliwiającego aż tak okrutne potraktowanie młodego chłopca.

Ostrożnie uniosła dłonie. Niemal dotykała pozbawionych skóry pleców. Roza wyczuła siłę chłopaka. Jej siła splotła się z jego siłą. Zdawało się jej, że w tej chacie leżącej na plantacji Favourite widzi cienie bagiennej wełnianki i opary mgły. Wydawało się jej, że słyszy klarowny głos Natalii mieszający się z nuceniem i szeptaniem, do którego przyzwyczała się na południu Irlandii.

... staję się silna. Moje ciało płonie. Moje dłonie miotają błyskawice. Moja krew tańczy i płynie strumieniem niczym wodospad. Ogłusza mnie. Nie czuję nic innego. Jestem otoczona światłem. Jego moc wydobywa się z tego światła. Nie pojmuję, dlaczego, ale czuję, jakby on był jednym z nas. Jest przecież dzieckiem plantacji, Murzynem o skórze koloru kakao, i niemożliwe, by spokrewniony był z kimś z mojej rodziny. Nie pochodzimy z tych samych źródeł, niemożliwe, żebyśmy pochodzili z tych samych źródeł...

... jest osłabiony. Czuję, jak walczy, wyczuwam granice jego strachu. Cierpienia, jakim został poddany, słabszy opłaciłby życiem. On jest chłopcem, a jednocześnie mężczyzną, i wiem, że jego życie jest cenne. On jest wyjątkowy. Moc przepływa przez moje ciało, spływa potokiem przez ramiona, zmienia się w błyskawicę przechodzącą przez palce...

... nie dotykam go, ale czuję, jak moja moc go napętnia. Moje dłonie są niczym gałęzie drzew jesienią. Nawet nie drżą przy pozbawionych skóry plecach chłopaka. Drzewa o białych pniach i sterczących, nagich gałęziach. Moje dłonie są tak białe na tle jego czerwonego ciała, brązowego karku, czarnych włosów. Nie wiem, ile czasu to trwa. Unoszę się w świetle, gdzie czas nie istnieje. Wszystko, co jest ważne, niknie. Unoszę się w miejsce, gdzie istniejemy tylko on i ja...

Gdy jego ciało się porusza, gdy wyzwala się z opiekuńczych objęć matki, gdy ostrożnie obraca się twarzą w moją stronę, rozpoznaję go...

... powstał w świetle...

Oboje unosiliśmy się niczym płatki śniegu w wieczności, zanim któreś z nas otrzymało życie...

... pochodzimy z tych samych źródeł...

- Gasisz ogień ogniem - wyszeptał chłopak. Miał zaskakująco wąskie usta i nos zgięty niczym orli dziób. To odróżniało go od Princess i pozostałych niewolników, którzy wszyscy mieli płaskie, szerokie nosy i wydatne usta. Roza dostrzegała brwi i zarys czoła matki w twarzy Marlona, ale poza tym nie przypominał on żadnego niewolnika, którego Roza dotychczas widziała.

- Umiesz koić ból? - zdumiała się Princess, wypuszczając syna z objęć. Marlon ostrożnie stanął na nogi. Lekko się chwiały, ale stał bez niczyjej pomocy. Był bosy, tylko w prostych spodniach podtrzymywanych w pasie za pomocą sznurka.

- Wierzę ci - wyszeptał nabrzmiałymi krwią wargami.

Ci, którzy pejczem pozbawili jego plecy skóry, na twarzy zostawili ślady pięści. Rozie przemknęło przez myśl, że może Marlon był bardziej podobny do matki, tylko że nie mogła tego dostrzec.

Roza odwróciła się i wyszła z chaty. Szła powoli, by chłopak nie czuł się zawstydzony, że za nią nie nadaża. Dlatego także się nie oglądała.

Czuła, że on jest dumny. Trochę się nie mieściło w głowie, by niewolnik był obdarzony aż taką dumą, ale to była prawda. Ten drobny chłopak, idący cicho za Rozą, był niezwykły.

Nikt nie wyszedł za nimi z chaty. Pewnie nadal siedzieli w kręgu i rozmawiali. O niej, przemknęło Rozie przez myśl. Pewnie mówili o tej dziwnej żonie Seamusa, którą przywiózł z za oceanu.

Okno łatwo dało się otworzyć. Roza położyła dłonie na parapecie i podciągnęła się. Jednak praca fizyczna na coś się przydaje, pomyślała. Obróciła się, usiadła, przerzuciła nogi i ześlizgnęła się do pokoju. W dużym pokoju nadal panował gwar rozmów, choć nie tak wzburzonych jak poprzednio. Głos Jenny nie dominował już nad pozostałymi. , Szybko wyciągnęła ręce ku chłopakowi, ten jednak odrzucił pomoc. Dostał się do środka w taki sam sposób jak ona.

Roza domyślała się z grymasów twarzy Marlona, że ruchy sprawiały mu ogromny ból, jednak nawet nie jęknął. Zaciśnął zęby, aż drżały mu szczęki. Oparł pięści o ścianę i pochylił ku nim głowę, oddychając powoli przez nos. Doszedł do siebie.

Roza zamknęła okno i zaciągnęła zasłonki. Zbliżyła się do łóżka. Kiedyś Peder zrobił je dla Seamusa i mimo że wtedy Seamus był zatwardziałym kawalerem, Peder zrobił je z myślą o jego przyszłej żonie, która pewnego dnia może potrzebować miejsca obok męża. Część dna, która się od-
suwała, wykonał szczególnie szeroką. Teraz Seamus i Roza mieli dużo miejsca w łóżku, ale i tak mogli je jeszcze rozszerzyć.

Siennik nie był aż tak szeroki, ale to akurat pasowało do zamysłu Rozy. Rozciągnęła łóżko, podniosła siennik i przesunęła jego zawartość w stronę środka łóżka. Na deski położyła watowaną kołdrę.

Marlon obserwował ją poważnym spojrzeniem, skinął głową i położył się na posłanie brzuchem. Roza nakryła go pustą częścią siennika, próbując nie urazić pleców. Nieuniknione jednak było, że ostry materiał dotknął jego ran. Roza czuła, jak ból przenika ciało chłopaka, choć nadal nie wydał nawet jęku.

- Możesz oddychać? - wyszeptała z ustami przy prześcieradle okrywającym tylko pustą przestrzeń obok siennika.

- Tak - wyszeptał równie cicho.

Roza odetchnęła z ulgą. Ciepłą kapę zszytą z kawałków materiału ułożyła wysoko w nogach łóżka. Sama owinęła się jednym z prześcieradeł, pozostałe rozrzucając jakby przypadkowo w stronę brzegu. Poduszki ułożyła tak, by zasłaniały wezglowie, a szczególnie róg, gdzie pozostawiła miejsce na powietrze dla Marlona.

Zwinęła się jak dziecko, obejmując ramionami kolana. Starła się oddychać spokojnie i powoli, jakby spała.

- Co, u diabła, się dzieje? - spytał Peter, słysząc ujadanie psów.

- Zbiegły niewolnik - odparła Fiona, blednąc. Podeszła do okna, wyglądając fartuch. Ujrzała migocące pochodnie zbliżające się w ich kierunku. Trzymano je tak wysoko i tak szybko się zbliżały, że zrozumiała, iż niosą je jeźdźcy konni. Przed nimi widniały zarysy ciał psów, biegnących ile sił i szczekających zajadle.

- Czego, u diaska, oni szukają u nas? - zastanawiał się zaniepokojony Pdraig, podchodząc do Pe-

tera. - Trzymaj dzieciaki w spokoju! - rzucił jeszcze przez ramię i obaj wyszli, zamykając za sobą drzwi.

Na czele grupy jechał Jared Jordan, obok niego zarządca, Simon Matthews. Za nimi dostrzegali postaci jego dorastających synów, Jareda juniora, Jaspera i Jeremiego, i siostrzeńca, Justina. Wszyscy mieli broń, a Jared Jordan i Matthews dodatkowo pejczy.

Psy okrążyły podwórze. Dwa z nich odbiegły w stronę chat niewolników, a pozostałe trzy zataczały koła pomiędzy domami, węsząc przy ziemi.

- Moje psy nas tu przywiodły, Johnson! - rzucił Jared Jordan, zsuwając kapelusz z czoła i przytrzymując konia deptającego niecierpliwie suchą ziemię. - Mam nadzieję, że nie znajdę tu mojego niewolnika.

- My nie ukrywamy niewolników, którzy do nas nie należą - odparł Peter, piastując swoją strzelbę niemal jak dziecko.

- Chłopak uciekł - stwierdził surowo Jordan. - Jego matka jest jedną z waszych niewolnic.

Dwa z psów pobiegły do tamtych, które nadal czekały przy bagnie. Ostatni zatrzymał się przy schodach, na których stali Peter i Paddy, i warczał cicho.

- Nie zabronicie nam poszukać go u waszych niewolników? - spytał Matthews, choć właściwie nie było to pytanie. Żądał tego, a oni nie mogli odmówić, mimo że chcieli.

- Szukajcie - powiedział Paddy - ale tu, w Favourite, go nie znajdziecie. Jordan niemal niezauważalnie dotknął runda kapelusza, obrócił konia i pokłusował w stronę chat.

- ... mam nadzieję! - dodał Peter.
 - Mamy za nimi iść? - spytał Paddy.
 - Nie. Jeszcze nie jesteśmy przez nich uznani. Musimy przynajmniej udawać, że mamy do nich zaufanie.
 - Nigdy nie będziemy tacy jak oni - oznajmił Paddy, pocierając dłonią szczękę. Spocił się. To wilgotne powietrze! - Jordanowie żyją tu od końca siedemnastego wieku. Nigdy nie będziemy tacy jak oni, niezależnie, czy się wzbogacimy, czy nie. W Irlandii Jordanowie należeliby do szlachty.
 - Co się stało? - Fiona wsunęła się pomiędzy brata i męża. Słyszała wszystko z salonu, ale nie mogła usiedzieć w środku.
 - Co z ciebie za baba? - westchnął Padraig zrezygnowany. - Czy ty nie umiesz trzymać jej w ryzach, Peter?
 - Fiona robi to, co chce - rzucił Peter, lecz dodał cicho: - Nie podoba mi się, że tu wyszłaś, Fiona.
 - Przecież nie może być niebezpiecznie, skoro nie znajdą tego niewolnika
 - sprzeciwiła się, zakładając rudy lok za ucho. - Biedny człowiek! - dodała. - Pewnie nie uciekł bez powodu.
 - Lepiej, żeby ta banda cię nie słyszała - rzekł Peter sucho. - Nikomu z nas nie doda chwały, gdy nas nazwą miłośnikami czarnuchów.
- Fiona zamilkła. Jared Jordan i reszta jego świty powróciła. Psy ponownie obiegły podwórze i skupiły się przy domu, przed którym stali. Fiona poczuła zimną kulę ściskającą jej żołądek.
- Madam! - powitał ją Jordan, patrząc na nią w sposób graniczący z nieuprzejmym.

- Nie znaleźliście go u naszych niewolników? - spytał Peter.
- Psy doprowadziły nas z powrotem tutaj - odparł Simon Matthews, zsiadając z konia.

Wbił swoją pochodnię w ziemię obok schodów, ujął strzelbę i podszedł bliżej. Tylko Fiona się nie odsunęła. Peter i Paddy tak.

Zarządca Jordanów uśmiechnął się do niej. Miał dwadzieścia parę lat i był całkiem przystojny. Nie wydawał się zły. Mógłby być jej bratem.

- Wpuści mnie pani? - spytał.

- O ile będzie spokój - odrzekła Fiona, ujmując się pod boki. - W środku są dzieci. Będę bardzo zła, jeśli je pan przestraszy.

Uśmiechnął się szeroko. Fiona zauważyła błysk podziwu w jego jasnych oczach. Nie były ani zielone, ani niebieskie. Zastanowiło ją, kim mogli być jego przodkowie. Może Szkotami?

- Pewnie nie tak zła jak ja, jeśli znajdę tu naszego niewolnika, obiecuję pani.

Fiona otworzyła drzwi i weszła przed wysokim zarządcą z Blossom Hill.

- Oni szukają zbiegłego niewolnika - wytłumaczyła rodzinie zgromadzonej przy stole.

Nikt nie odpowiedział. Na szczęście i Jenny miała na tyle rozsądku, by milczeć.

- Proszę bardzo! - Fiona uczyniła zapraszający gest. - Oprowadzę pana po naszym domu. Jak widać, nie mamy wiele pomieszczeń, w których mógłby się ukrywać zbiegły niewolnik.

- Piwnica? - spytał Matthews.

- Pan żartuje? - udała zdumienie Fiona. - Przybyliśmy tu w zeszłym roku. Nie żyjemy w dostatku

jak na Blossom Hill. Minie kilka lat, zanim będziemy sobie mogli pozwolić na więcej pomieszczeń niż to absolutnie niezbędne.

Zarządca nie zareagował. Fiona zapukała lekko do drzwi pokoju Seamusa i Rosi. Nikt nie odpowiedział, ale ona weszła do środka.

- Rosi - rzekła cicho.

Ktoś poruszył się leniwie na szerokim łóżku.

Lekko zażenowany zarządca podążył za Fiona do pokoju. Nie spojrzał wprost na owiniętą w prześcieradło kobietę, lecz dostrzegł otulającą ją burzę rudych włosów, nagie ramiona i cienkie ramiączka koszuli. Roza zaczęła się ciaśniej otulać prześcieradłem, osiągając efekt przeciwny do zamierzonego: pokazywała więcej ciała, niż pragnęła ukryć. Matthews zobaczył purpurowy policzek kobiety, który ją oszpecał, ale jednocześnie sprawiał, że budziła dziwne pożądanie.

- Zamknęłaś okno, prawda? - Fiona sama podeszła i sprawdziła.

- Co się dzieje? - spytała Roza zaspianym głosem. Nie miała pojęcia, jak to się stało, ale chyba naprawdę zasnęła. Przecież była zdenerwowana i nie powinna móc zasnąć! I teraz powinna się bardziej bać. Ale Princess i Marlon stanowili części jej snu. Bałaby się bardziej tego potężnego mężczyzny, gdyby nie ów sen.

- Je[^]en z niewolników Jordanów uciekł - wytłumaczyła jej Fiona.

Roza pogładziła prześcieradło po obu stronach siebie, by pokazać, że nic tam nie ukrywa.

Simon Matthews patrzył teraz na jej obfite piersi wznoszące się i opadające w oddechu. Dostrzegł,

że nie miała na sobie nic prócz koszuli. Prześcieradło było tak wilgotne, że niemal przezroczyście. Niczego nie mogłaby pod nim ukryć.

Fiona podniosła wieko skrzyni i poprosiła Mat-thewsa, by spojrział. Nie chciał, ale podnosiła po kolei warstwy ubrania aż do dna, by go przekonać.

- Może pan jeszcze zajrzeć pod łóżko - zaproponowała Fiona, która zauważyła, na co patrzą jego oczy.

Mężczyzna, nie odrywając wzroku od Rozy, ukląkł i zajrzał pod łóżko małżeńskie Seamusa O'Connora.

- Tu go nie ma - stwierdził, rzucił jeszcze raz okiem na Rożę i wyszedł z pokoju. - No to teraz reszta domów.

Fiona mrugnęła do Rozy i poszła za nim.

- Wracamy do miejsca, gdzie psy się zawahały

- postanowił Jared Jordan. - Może złapały inny trop, który doprowadził je tutaj. Może to któryś z waszych czarnuchów chodzi do naszych dziewczuch.

Nie przeprosił za wtargnięcie do O'Connorów i niemal o oskarżenie ich, że ukrywają uciekiniera. Nie przeprosił za wysłanie zarządcy i swoich synów do przeszukania pozostałych domów.

- Jeśli się pojawi, wierzę, że mnie zawiadomicie

- dodał tylko. - To złoczyńca. Niebezpieczne zwierzę w ciele młodego czarnucha.

- Co on zrobił? - wyrwało się Fionie.

- Pani sama ma córki, madam - odparł Jordan. -Przyłapaliśmy go, gdy położył swoje brudne, czarne ręce na mojej córce, gdy ta kąpała się w rzece.

Fiona westchnęła.

- Moja Jennifer nie ma nawet dwunastu lat - dodał wzburzony. Zamilkł, by się uspokoić. - Jego kara się jeszcze nie skończyła.

Nikt z CConnorów nie odpowiedział.

- Pomyślcie o tych czarnych łapach na ciele którejś z waszych córek, jeśli kiedyś przyjdzie wam ochota na ukrywanie zbiegłego czarnucha - dodał na pożegnanie, ukłonił się sztywno i zawrócił konia.

Fiona zadrżała i skuliła ramiona. Nadal stała na schodach pomiędzy Padraigiem i Peterem. Wszedł też Joe. Położył ręce na ramionach siostry i lekko uściśnął. Wszyscy myśleli o tym, co powiedział Jordan.

- Co za zarozumiały szatan - syknęła Fiona przez zaciśnięte zęby.

- Nie przypuszczałbym, że znasz takie słowa - zauważył Paddy.

- W Irlandii ich nie znałam - odparła siostra. - Tutaj jest wiele rzeczy, których musiałam się nauczyć.

- Pomyśl, że to mogłoby spotkać Siobhan - rzucił Peter.

- Pomyśl, że on kłamie - odrzekła Fiona. Wolą tak sądzić, niż bać się, że coś złego mogłoby spotkać jej dziecko.

- On był zbyt wściekły, by kłamać - uważał Paddy.

- Ten człowiek chyba zawsze jest wściekły - dodała Fiona. - Też go złości, że mógłby stracić ciało, za które zapłacił.

- Dlaczego te psy poszły prosto do naszego

domu? - zastanawiał się Joe. Zbiegł po schodkach. Nie wiedział, co wolałby o tym sądzić. Kuszące było przypuszczenie, że Jordan przedstawił im swoją wersję zdarzeń. Nie lubił go. - Dlaczego, u diaska, psy przyprowadziły go prosto tutaj? - spytał, śledząc ślady psich łap. Trudno było cokolwiek stwierdzić, gdyż ziemia była sucha. Mimo to przeszedł się po miejscach, gdzie psy się dłużej zatrzymywały. Najdłużej po szerszej stronie domu, gdzie wychodziły okna pokojów Fiony i Petera oraz Seamusa i Rosi.

- Rosi na szczęście miała zamknięte okno - powiedziała Fiona, idąca za bratem.

Kącik ust Joe zadrżał. Od kiedy Rosi tu przybyła, nigdy nie pamiętała, by zamykać okno na noc. Dziwiło go, że pamiętała o tym akurat tej nocy.

- To dobrze - rzekł. - Matthews jest podejrzliwy. Zerwałby po jednej wszystkie deski podłogi, gdyby sądził, że coś by pod nimi znalazł.

Fiona prychnęła.

- Nie dałabym pięciu centów za tego typka! - stwierdziła dosadnie. - Cały czas nie mógł oderwać wzroku od piersi Rosi. Ona nie zawiązała dobrze koszuli i pewnie była zbyt senna, by to zauważyć. Gdyby Seamus tu był, pan Matthews gadałby babskim głosem, gdy stąd odjeżdżał.

- Wtedy na pewno nie jechałby konno - dodał Peter, ale czuł gniew rosnący mu w piersi, gdy wyobraził sobie zarządcę w sypialni Rosi. - Najwyższy czas, by Seamus wrócił do domu.

Joe nic nie odpowiedział. Miał wrażenie, że to dobrze, iż Seamusa nie było w domu akurat tej nocy.

Rozdział 3

- Nie jestem żadną służącą! - rzuciła Jenny ostro, wstając od stołu. - Jeśli ona jest głodna, może wyjść i zjeść razem z nami! Głód nauczy ją dobrych obyczajów!

Fiona nic nie powiedziała, lecz położyła na tacy chleb, owoce i dzbanek herbaty, i nie zaszczycając żony Joego spojrzeniem, zniosła to do pokoju Rosi. Zapukała i poczekała, aż szwagierka odpowie, że może wejść.

Roza siedziała na szerokim łóżku i właśnie zapaliła lampę. Nie podkreśliła mocno płomienia, co Fiona odebrała za znak, że Rosi pochodzi z rodziny, w której oszczędzanie było nawykiem wynikającym z konieczności.

Choćby za to ją lubiła.

- Nie trzeba było - zaprotestowała Roza cicho, gdy Fiona robiła miejsce dla tacy na stoliku nocnym. - Mogłabym do was wyjść. Gdy będę głodna, chętnie zjem z wami.

Fiona usiadła na skraju łóżka, uśmiechnęła się i odsunęła lok włosów z czoła.

- Jenny powinna nauczyć się ciszej mówić... Sądzę, że ten Nowy Świat na razie ją zawiódł. Odbija to sobie na tobie. To niesłuszne, ale ona jest młoda. Poza tym nigdy nie była tak daleko od domu.

Roza nie odpowiedziała. Nie mogła krytykować

nikogo z nich. O'Connorowie są teraz jej rodziną. Muszą trzymać się razem. Favourite - ten kawałek ziemi nazwany na cześć jednego z koni, które Seamus ukradł lordowi w Irlandii - był teraz jej domem, tak jak i ich. Wszyscy powinni się starać.

- To był męczący wieczór - rzuciła Fiona z westchnieniem. - Ten Matthews Jordana to wstrętny typ. Przykro mi, że tak tu wparował...

- ... ale gdybyś nie otworzyła przed nim drzwi, sądziłby pewnie, że ukryłam tego niewolnika w łóżku - dokończyła Roza z uśmiechem.

Fiona zaśmiała się.

- Nie podobały mi się spojrzenia, które ci posyłał - dodała.

Roza wzruszyła ramionami.

- Spojrzenia nie szkodzą - odparła twardym tonem. - Jestem przyzwyczajona do takich mężczyzn. Nie znam się tylko na tych porządnych...

Fiona wstała. Zrozumiała, że Rosi chce zostać sama. Za jej słowami krył się cichy smutek, a ona nie chciała jej naciskać. Gdy da Rosi czas, może kiedyś zostaną prawdziwymi przyjaciółkami. Fiona naprawdę pragnęła poznać swoją bratową.

- Odpocznij teraz - powiedziała. - My też idziemy spać. Już chyba tej nocy nic się nie wydarzy. Żadnych więcej zbiegów!

- Dziękuję, Fiono!

Fiona w uśmiechu przypominała i swoją matkę, i Seamusa. Jednak tam, gdzie Seamus był ostry, gwałtowny i posepny, Fiona miała w sobie coś miękkiego i łagodzącego. Jeśli ktoś miałby utrzymać O'Connorów w Ameryce w jedność, musiałyby to być właśnie Fiona.

Roza siedziała nieruchomo przez dłuższy czas, nasłuchując odgłosów z domu. Słyszała, jak myją i kładą dzieci spać. Słyszała, jak Fiona zamiata wióry z miejsca, gdzie siedział Peter. Słyszała, jak wchodzi po schodach na górę Jenny, potem Joe. Słyszała ciche głosy Fiony i Petera.

Uśmiechnęła się do siebie, gdyż nawet w myślach nie nazywała go już Pederem.

Wkrótce po przyjeździe Joe odciągnął ją na bok i powiedział, że wie, kim była dla Petera. Spytał, czy Seamus o tym wie, i co Roza zamierza zrobić. Ona opowiedziała mu o wszystkim i w ten sposób Joe wszedł w ich układ. Jako przyjaciel, a nie współnik w winie.

Wreszcie w domu zapadła cisza. Wtedy odważyła się poruszyć i odsunąć nieco prześcieradła.

- Nie śpisz? - szepnęła. Odpowiedział głuchym stęknieniem.

- Głodny?

Tym razem pokręcił głową tak, by spojrzeć na Rozę. Jego ciemne oczy były pełne bólu i zmęczenia. Roza zrozumiała, że nie powinna zadawać takiego pytania.

- Dasz radę usiąść?

Odsunęła pustą część siennika i chłopak mógł wyjść z kryjówki. Wahał się tylko przez moment, po czym powoli ukląkł. Odpoczywał chwilę w tej pozycji, a potem przełożył po kolei nogi przez krawędź łóżka i wstał.

Roza wzięła brzoskwinię z tacy i rzuciła mu. Złapał obiema dłońmi i łąpczywie zaczął jeść złocisty owoc, nadal stojąc.

Roza skinęła głową w stronę tacy i chłopak

zjadł chleb i melona, pytając przedtem wzrokiem o zgodę.

- Herbaty? - spytała Roza, nalewając z dzbanka. Wypił trzy filiżanki.

- Usiądź! - poprosiła.

Syn Princess wahał się, lecz w końcu usiadł na brzegu łóżka. Widać po nim było, że nie czuje się w tej sytuacji najlepiej.

- Nie mogę tu zostać - powiedział cicho.

- Przecież ścigają cię z psami! - sprzeciwiła się Roza. Starła się dostrzec, czy poprawił się stan jego pleców, ale wyglądały niemal gorzej. Może to dlatego, że materiał siennika przykleił mu się do ran. Pewnie go paliły, a on nawet nie stęknął.

- Jutro będzie trudniej - odparł.

- Dokąd uciekniesz? - spytała Roza, patrząc na jego zmasakrowaną twarz, na ręce i pierś noszące ślady uderzeń, na plecy.

- Na północy są tacy, którzy pomagają zbiegłym niewolnikom - odparł. - W Pensylwanii. W Nowym Jorku.

Roza wiedziała, że to bardzo daleko. Niemal nie miał szans.

Chłopak odstawił filiżankę na tacę i uśmiechnął się do Rozy szybkim, czujnym uśmiechem.

- Nie sądzę, by tutaj było miejsce panienki - powiedział. - Dziękuję za jedzenie. Dziękuję za ukrycie mnie. Muszę iść.

Roza pokręciła głową.

- Nie możesz! Nie możesz jeszcze nawet chodzić!

- Jestem najszybszym biegaczem na wschód od Missisipi - rzucił Marlon bez przechwałki w głosie.

- Mój ojciec jest Cherokee. On nazwał mnie Running Moose.

- Biegający Łoś? Chłopak pokiwał głową.

-Jeśli komuś miałaby się udać ucieczka, to właśnie mnie.

Roza nie wiedziała, czy ma mu wierzyć. Chciała tego. Pragnęła, by mu się udało. Ale nie była tak pewna jak chłopak, że pomoże mu fakt, iż jest pół-krwi Indianinem.

- Nie zrobiłeś nic złego, prawda? Ciemnoskóra twarz była pozbawiona wyrazu,

gdy odpowiadał:

- Uratowałem młodą panienkę przed utonięciem.

Roza milczała przez chwilę.

- Pozwól, że dam ci koszulę czy buty... Pokręcił głową.

- Jeśli mnie złapią, rozpoznają po tym, kto mi pomógł. Panienska i tak dosyć mi pomogła. - Patrzył na nią przez chwilę, po czym spytał: - Czy panienska mogłaby potrzymać jeszcze ręce przy moich plecach? Dać mi jeszcze siły? Zabrać trochę bólu?

Roza nie pytała, skąd to wiedział. Uniosła dłonie i postarała się przekazać mu całą moc, jaką miała.

Gdy wyslizgnął się przez jej okno gdzieś pomiędzy nocą a świtem, Roza tak marzła, że aż szczękała zębami. Marlon, syn Princess, obdarzył ją przeciągłym i smutnym spojrzeniem.

- Tu nie jest miejsce dla panienski - powtórzył i zniknął bezszelestnie w czerwcowej nocy.

Roza zwlokła się z łóżka i zamknęła za nim okno. Ledwo stała na nogach, ręce jej się trzęsły i musiała wspierać się o ścianę, gdy wracała na posłanie. Miała jeszcze tyle przytomności umysłu, by upchnąć prześcieradło wokół materaca. Nie miała już sił, by położyć się na swoim miejscu. Pozostała tam, gdzie nie było siennika. Wyraźnie czuła twarde dno. ... marzną. Biegnę. Pod stopami mam uginające się podłoże. Jestem bosa. Błoto opryskuje mnie do kolan. Serce wali młotem w piersiach, słyszę jego uderzenia w uszach. Nie słyszę nic poza uderzeniami serca i ciężkim oddechem. I mlaskającym odgłosem uderzeń stóp o miękką ziemię. Chce mnie wessać, pochować w sobie. Czuję smak krwi w ustach. Ból jest niczym ogień. Ból tnie mi brzuch niczym nożem. Pot mnie oślepia, biegnę dalej. Marzną. Czuję ciosy noża w brzuch...

- Ona krwawi! - krzyknęła Fiona. - Krwawi! Peter, obudź Brigdet! Obudź wszystkich!

Fiona zerwała przesiąknięte potem prześcieradło z Rosi i okryła ją kapą leżącą w nogach. Rosi była nieprzytomna. Mówiła coś w języku, którego Fiona nie rozumiała, płakała, szarpała materac. Krwawiła. Fiona od razu wiedziała, że to nie ma nic wspólnego z comiesięczną przypadłością kobiecą.

- Niech cię cholera, Seamus! - zaklęła. - Nie mógł się pilnować?

Wcześniej jakoś udawało mu się nie mieć dzieci, a teraz robi dziecko tej dziewczynie tak szybko po tym, jak rodziła! Gdyby tu był, własnoręcznie bym go sprąła, panisko głupie!

- Co się stało? - Jenny zbiegła po schodach. Długie włosy splecione miała w dwa warkocze. - Kto wołał?

- Rosi poroniła - wyjaśniła Fiona krótko. - Możesz się położyć. Peter pobiegł po Bridget.

Jenny nadal stała w drzwiach. Zrozumiała, że nie jest tu mile widziana. Fiona lubiła żonę Seamusa, tak jak zawsze lubiła brata. Teraz i Jenny zrobiło się żal Rosi, ale nie na długo.

- Mogła powiedzieć, że oczekuje dziecka - rzuciła.

- Może jeszcze nie wiedziała - odparła Fiona kwaśno. - Ty też nie wiedziałas za pierwszym razem, o ile pamiętam. A gdy zrozumiałas, od razu zaciągnęłaś Joego do ołtarza.

Jenny nie uznała za stosowne odpowiedzieć. Zebrała koszulę i wbiegła z powrotem na schody.

- Tu nie ma dla nas miejsca - rzuciła do męża, ale nie powstrzymała go przed zejściem na dół.

Bridget spojrzała na Fionę bezradnie.

- Nie podoba mi się, że nie odzyskuje przytomności - powiedziała. - I co ona mówi?

- Jest zmarznięta - odrzekła Fiona. - Trzęsie się jak na mrozie, a przecież jest tak gorąco, że można by smażyć kurczaka na podłodze.

- Ona mówi, że ziemia jest zimna - wyjaśnił Peter. Stał w drzwiach z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Twarz miał nieruchomą niczym maska. Mógł mieć tylko nadzieję, że mrok i cienie skryją jego twarz przed Fioną. - Ona marznie - dodał. - Mówi, że śnieg ją pali i że nie może odnaleźć swojego dziecka.

Wszyscy wpatrzyli się w niego.

- Przecież pochodzimy z tego samego kraju -przypomniał.

Joe przeczesał włosy palcami. Spojrzał na niego ostrzegawczo.

- Nie wypuszczaj wszystkich królików z kapelusza, kolego! - powiedział cicho. - Nie tej nocy...

- Ona bredzi!

Bridget poszła za Peterem.

- Jesteś pewien, że to wszystko, co powiedziała? Uśmiechnął się, zmęczony, tylko grymasem ust.

Widok Rozy w tym stanie sprawiał mu ból. Przywoływał zbyt wiele wspomnień. Pamiętał dobrze ten przenikliwie zimny poranek w Strommen, gdy znalazł ją, pobitą do nieprzytomności. Pamiętał, jak wtedy wyglądała. Że była równie zimna. Wtedy wszystko w nim wołało o prawo do opieki nad nią, do chronienia jej, do tego, by mógł to robić. Teraz już nie wiedział, czy chciałby być tym, który miałby ją ochraniać przed niebezpieczeństwami... Nie był pewien, czy czyniło to z niego gorszego człowieka.

- „Marznę”, mówi. „Śnieg jest zimny. Śnieg mnie parzy. On ją wziął.

Gdzie jest moja Synne-ve? Gdzie jest moje dziecko?” - powtórzył Peter.

- Synneve? - zdziwiła się Bridget. - Ona straciła dziecko? Jeszcze jedno?

Peter wzruszył ramionami.

- Ona jest taka młoda... - Bridget spojrzała na obu mężczyzn. - Jedna z niewolnic podobno umie leczyć...

- Żadnego voodoo! - zaprotestował Joe. - Wystarczy nam przesądów z domu!

- To nie jest voodoo - słowa Bridget nie brzmiały szczególnie przekonywająco. - Ona umie leczyć ziołami. Nie zaszkodzi ją tu przyprowadzić. Nikt nie musi o tym wiedzieć. Przecież nie powiemy o tym takim jak Jordanowie...

- Która to? - Peter już wychodził. Chciał ukryć się w mroku.

- Matka tego, który uciekł - powiedziała Bridget. Jared Jordan nie omieszkał ich o tym fakcie poinformować, aby mieli ją na oku. - Princess.

- Przyprowadzę ją.

Poprosiła tylko o gorącą wodę i o to, by mogła zostać sam na sam z Rożą.

- Princess nigdy nie zrobi krzywdy panience Rosi! - zapewniła i Fiona poczuła, jak te proste słowa zdjęły odpowiedzialność z jej ramion.

- Rosi jest w dobrych rękach - oznajmiła, chodząc tam i z powrotem po pokoju obok. - Ale oczywiście nie powiemy Seamusowi, że pozwoliliśmy jej być samą z Rosi. Seamus jest, jaki jest. I jeśli chodzi o Rosi, jeszcze bardziej gwałtowny w uczuciach. Rosi wyzdrowieje i wtedy powiemy mu, że sprowadziliśmy do niej doktora.

- Usiądź wreszcie! - poprosił Joe i Fiona opadła na ławę obok brata.

- Dlaczego to tak długo trwa? - spytała zmęczonym głosem. - Dlaczego tak długo?

... dziecko to chłopiec! Drży z zimna. Wokół niego jest ciemno. Czuję, jak mu zimno. Sama drzę razem z nim.

To takie dziwne, przecież szukałam Synneve...

Nie rozumiem, w jaki sposób tu dotarłam i dlaczego zamiast niej znalazłam to dziecko...

On stoi w jamie. Nad nim wznoszą się ściany ziejącej chłodem ziemi. On ma na sobie tak mało ubrania. Któż jest tak okrutny, by wrzucać dziecko do dołu? Czuję wielki mróz, bliskość ogromnego zła...

Jakieś zwierzę rozrywa brzegi jamy. Depcze kopytami, aż ziemia się obsuwa tak, by dziecko mogło wyjść. Wielkie zwierzę, jego cień mnie dosięga. Boję się, ale czuję, że ono nigdy nie zrobiłoby krzywdy dziecku...
... to łoś...

Chłopiec wdrapuje się na grzbiet łośia. Widzę, że trzyma coś w dłoniach, co świeci i potrafi okiełznać zło...

... łoś biegnie z chłopcem na grzbiecie... ... już mi łatwiej oddychać...

- Panienska nie będzie więcej krwawiła - powiedziała Princess, pochylając głowę przed Fiona.

Fiona poczuła się zażenowana. Niewolnica miała około czterdziestu lat.

Fiona nie była przyzwyczajona do tego, by starsza od niej osoba okazywała jej respekt. Nie mogła poradzić, że traktowała niewolników jak ludzi. Nic nie pomagały słowa Seamusa, że tu jest inaczej niż w Irlandii. Ze tłumaczył jej, iż dzierżawcom w Irlandii ziemię odebrali Brytyjczycy, a niewolnicy to dzikusy ledwo lepsi od zwierząt, wcale do nich niepodobni. Nie pomagało.

- Panienska podróżowała - mówiła Princess z szerokim uśmiechem.

Wydawało się, że nie ma

żadnych zmartwień, że to nie jej syna gonią z psami. Fiona nie rozumiała, jak ciemnoskóra kobieta mogła się uśmiechać pomimo takiego bólu.

- Dlaczego ona jest taka zimna? - spytała Fiona.

Trochę ją krępowało, że Murzynka nadal przebywa w jej domu. Wolałaby przejść na zewnątrz, ale nie mogła się odważyć wyprosić Princess. Przecież ona czuwała przy łóżku Rosi całą noc. Nuciała jej piosenki, ocierała pot z twarzy i ramion Rosi, łyżeczką wlewała do ust napar ziołowy.

Umyła ją, wyciągnęła spod niej zakrwawione prześcieradło i zasłała nowe, czyste.

- Panienska podróżowała do zimnych krajów - odparła Princess łagodnie. - Tam nie potrzeba ciepła. Teraz wraca. To potrwa. Panienska podróżuje przez światło i ból.

Fiona mało z tego rozumiała. Bała się w to wgłębiać, bo słyszała plotki o Princess i bała się pogańskich rytuałów. Nie chciała w nie wierzyć, ale się ich obawiała.

- To dziecko nie powinno się urodzić - dodała Princess, wynosząc ze sobą zawiniątko z prześcieradła. - To dziecko powstało w gniewie. - Pokręciła głową. - To niedobrze.

Fionę przeszedł dreszcz, ale słowa Princess nadal dźwięczały w jej głowie. Mogła sobie wyobrazić, że Rosi nie spodobało się, gdy odkryła, jakiego rodzaju towar sprowadzali Seamus i pan Hart. Nie musiała długo liczyć, by mieć pewność, kiedy to dziecko zostało poczęte. Seamus i Rosi na pewno ścierali się w gniewie podczas podróży statkiem. Wiedziała, jaki mógł być wtedy jej brat. Wiedziała też, że to ona będzie musiała opowiedzieć mu o tej nocy...

Fiona weszła do pokoju Rozy.

- ... czy chłopak uciekł? - spytała Roza na wpół przytomna. - Czy uciekł od tego złego człowieka?

- Nie wiem - odparła Fiona, dotykając pieszczotliwie mokrej od potu grzywki bratowej.

Pomyślała o uciekającym chłopaku, o smutku, jaki musiała czuć jego matka, i ogarnęła ją czułość wobec Rosi, która nawet teraz myślała o pokrzywdzonych...

- Mam nadzieję, że uciekł - szepnęła Fiona. - Ja też, Rosi...

Wstawał nowy dzień. Przez moment poranne słońce zabarwiło horyzont czerwienią przypominającą ogień. Albo krew.

Rozdział 4

- Nie musisz mnie nieść!

- Oczywiście, że nie. Przecież mogłabyś się przeczołgać! - odparł Joe z uśmiechem.

Szedł, niosąc Rozę na rękach, w stronę jednego z wielkich dębów rzucających cień nawet o tej porze dnia. Słońce paliło i sprawiało, że powietrze drżało i stało gęste niczym ściana.

Dzieci lubiły bawić się pod tymi drzewami. Dobrze było pod nimi odpoczywać: kobiety zwykle siadały tam w niedzielne popołudnia, oparte o szorstką korę, z bosymi nogami i beczynnie leżącymi rękami.

- Musimy trochę zabarwić ci policzki, zanim wróci Seamus - powiedział Joe, sadzając ostrożnie Rozę na kocu rozestłanym pod największym z dębów. Gdy się pod nim siedziało, korona zdawała się zakrywać całe niebo. W cieniu było niemal chłodno.

Joe przykucnął przed Rożą, opierając łokcie na kolanach.

- Kiedy wróci Seamus? - spytała z nagą rozpaczą w oczach.

- Wkrótce - obiecał szwagier.

- Ty wiesz, dokąd pojechał, prawda?

Joe pochylił głowę. Roza wpatrywała się w jego brązowe włosy. W końcu podniósł na nią spojrzenie tak podobne do spojrzenia Seamusa. Joe był od niego szczuplejszy, o łagodniejszym wyrazie twarzy. Młodszy.

- To się dzieje w podobny sposób jak wtedy, gdy przyплыnęliście - powiedział w końcu, zrezygnowany. - Hart ma dwa statki, którymi szmugluje „Merry Dancer” i „Northern Star”. To, co przewożą, rozładowują na wyspach koło Florydy. Po trochu, bez ryzyka. „Northern Star” płynie teraz z Indii. Oficjalny ładunek to herbata i przyprawy. Ale oni wiozą też niewolników.

- Seamus bierze w tym udział? Joe pokiwał głową.

- Wiesz, dlaczego to robi, Rosi - rzekł z naciskiem, ujmując jej dłoń. Joe był szczupły, ale uścisk miał nadspodziewanie silny, a jednocześnie przekazujący wiele ciepła.

- Uważasz, że to właściwe? - spytała.

- Nie wiem - odparł szczerze. - Myślę, że Se-

amus marzy o powrocie do domu, do Irlandii. Wierzy w swoje marzenie. Uważa, że w wolnej Irlandii jest dla niego miejsce. Ziemia. Ziemia to dla niego jedyna świętość. - Joe uśmiechnął się. - Chce cię zabrać w to marzenie. Pragnie, by wasze dzieci tam dorastały. Może ja też o tym marzę. Ale nie sądzę, by to zdarzyło się za mojego życia. Czuję, że umrę w tym kraju. Dlatego nie działam tak gwałtownie jak Seamus. Żyję według tego, co mam. Ale niektórzy, tacy jak Seamus, chętnie płacą za swoje marzenia życiem... - Puścił jej dłoń, ale pozostał na miejscu. - Wiem, gdzie schowałaś chłopaka.

Roza nic nie powiedziała. Serce biło jej gwałtownie. W oczach Joe dostrzegła jednak konspiracyjny błysk. Szwagier uśmiechnął się szeroko. - Dobry pomysł - przyznał. - Ale miałaś szczęście, że to ja podnosiłem materac po tamtej stronie. Nietrudno było wytłumaczyć, że zakrwawiłaś materac, ale nie...

- ... pled - dokończyła Roza. Pokiwał głową.

- Peder też by nic nie powiedział - dodała.

- Peter - poprawił ją. - To pewnie też by go męczyło. A ma dosyć zmartwień. Twoje tajemnice są u mnie bezpieczne.

- Nie złapali go jeszcze? Joe pokręcił głową.

- On też jest jednym z tych, którzy płacą za marzenia życiem - powiedziała.

Oczami wyobraźni ujrzała Marlona, Biegnącego Łosia, uciekającego nocą, potem świtem, pod niebem nabierającym blasku. Nieomal czuła ból

w jego piersiach, w nogach. Słyszała niemą modlitwę, aby wschodzące słońce nie wydało go tym, którzy chcieli go sprowadzić z powrotem. Jak długo uciekał, nie żył rzeczywistym życiem, ale i tak lepszym niż życie niewolnika.

- Uważasz, że źle zrobiłam? Joe nie odpowiedział od razu.

- Nie - rzucił w końcu, wstając. - Ale to było niebezpieczne. Uderzyłyby w nas wszystkich niczym pejcem.

Roza skrzywiła się.

- Nie tak, jak pobito to dziecko. Nigdy nie mogliby nas tak zranić jak jego. Mam nadzieję, że dotrze na północ. Że będzie żył nowym życiem!

- Ona powinna sama prać swoją pościel! Jenny prała tylko swoje rzeczy. To Fiona stała

PO uda w wodzie i szorowała materac Seamusa i Rosi. Nie chciało jej się odpowiadać Jenny.

- Gdzie indziej to niewolnicy odwalają ciężkie prace! - dodała Jenny, uderzając koszulą Joego o kamień.

- Nie mamy więcej pracowników niż ci, którzy są w polu - przypomniała Fiona.

- Więc powinniśmy mieć więcej! Przecież to na tym Seamus się zna!

- Trzymaj język za zębami! Praca jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Ani w domu w Irlandii, ani tu.

- Tutaj to praca dla czarnuchów - rzuciła Jenny kwaśno. - My jesteśmy białymi śmieciami. Tak nas tu nazywają. Białe śmieci. Nie obchodzi cię to, Fiona? Nie masz szacunku dla samej siebie?

- Wiem, kim jestem - odparła Fiona cierpliwie.

- Mam na tyle szacunku, by nie przejmować się gadaniem, nieważne, gdzie. W domu nie porównywałaś się z lordem. Dlaczego robisz to tutaj?

- Jordanowie to nie szlachta.

- Ale najbliżsi temu, co odpowiada tu szlachcie

- odgryzła się Fiona. - Zajmowali tę ziemię od setek lat. Dbali o to, by powiększać swoją własność. Nie przez jeden rok zbudowali Blossom Hill!

- My też będziemy mieć dom z kolumnami przed wejściem! - stwierdziła Jenny hardo. - Joe i ja. Biały dom z ośmioma kolumnami!

Fiona uśmiechnęła się do siebie. Dom na Blossom Hill miał tylko sześć kolumn...

- A przed domem będzie aleja z drzewami po obu stronach! Z dębami. I będzie dwa razy dłuższa niż ta od bramy u Jordanów do ich nędznego domu! Zobaczą, kto tu jest białym śmieciem!

- Marzycielka!

- Czy tu nikt poza Seamusem nie ma prawa do marzeń? Pewnego dnia Joemu będzie się lepiej powodziło niż Seamusowi! Pewnego dnia nie będzie stał w cieniu tego waszego cholernego brata!

Fiona nic nie odpowiedziała. To nie miało sensu.

- Wujek Seamus jedzie!

Siobhan nadbiegła ile sił w małych stopkach. Ciemnoblonde loki wyrwały się spoza tasiemki, którą miała przepasaną głowę. Fiona uratowała tasiemkę przed zgubieniem, gdy mała zatrzymała się, by zaczerpnąć oddechu. Cała jej okrągła twarzyczka płonęła z emocji, usta uśmiechały się szeroko.

- Wujek Seamus jedzie z mnóstwem wozów! - rzuciła, wierząc się w miejscu. - Muszę powiedzieć to Rosi!

- Król nadjeżdża! - prychnęła Jenny, nie unosząc wzroku znad prania.

- Nie mogłabyś czasem poświęcić mu miłej myśli? - spytała Fiona, wychodząc z wody. Materac poczeka. Ona musi przywitać brata.

- Nie Seamusowi - mruknęła Jenny, gdy została sama nad potoczkiem.

Cała procesja dochodziła do wozów wtaczających się na podwórze przez bramę, na której widniał napis „Favourite” wypalony przez Petera na kawałku drewna. Seamus jechał obok swoich bliskich, dumny jak paw.

- Nikt nie zauważy, że mnie tam nie ma - dodała do siebie. - Nawet Joe. Niech go cholera, tego męża! On lubi ją...

Obróciła się, by widzieć wyraźniej. Żałowała, że jej Joe nie jest bardziej podobny do tego diabła, swego brata. Nieważne, co ludzie gadali, ich słowa jego nie dotyczyły. Seamus O'Connor nie wyglądał na białego śmiecia. Wyglądał na prawdziwego dżentelmena.

Seamus zsiadł z konia jednym płynnym ruchem. Jego oczy koloru popiołu ominęły wzrokiem gromadkę dzieci, która nadbiegła pierwsza, szukały wśród braci i ich kobiet, którzy nadchodzili wolniej. Zmarszczył czoło.

- Witaj w domu, wujku Seamusie! - zawołała Siobhan. - Wiesz co? Uciekł jeden niewolnik! Byli tu z psami i go szukali, głupi jedni, tata mówi, żeby

tego nie mówić, ale wolę, żeby go nie znaleźli. I Rosi leciała krew, cała masa, mama musiała uprać wasz materac. I...

Seamus ukląkł przed małą i złapał ją za ramiona. - Co ty mówisz, Siobhan? Coś złego stało się Rosi?

Siobhan zacisnęła wargi, gdy zobaczyła, że wujek aż się zmienił na twarzy. Wyglądał na bardzo złego. Nagle zrozumiała, że nie powinna mu wszystkiego opowiadać. Zamknęła oczy, wybuchając płaczem.

Seamus poczuł chłód w piersiach. Ogarnął go podcinający mu nogi mróz. Usiłował znaleźć jakiś sens w słowach dziewczynki. Coś o zbiegłym niewolniku i psach, i Rosi. Rosi, która krwawiła. Czy ten czarnuch jej coś zrobił?

Podniósł się, blady, a wtedy Fiona przecisnęła się przez gromadkę dzieci, podniosła córkę i posadziła sobie na biodrze. Potarła policzkiem o czoło dziecka.

- Zawsze mówisz, zanim pomyślisz, kochana - westchnęła.

- Wujek Seamus jest zły! - płakała Siobhan.

- Co się stało Rosi?! - pytał Seamus, łapiąc Fio-nę za wolną rękę i ściskając. - Gdzie jest Rosi? Gdzie Rosi?

Nieomal krzyczał. Im bardziej podnosił głos, tym głośniej płakała Siobhan. Była taka głupia! Wszystko zepsuła! Rozzłościła wujka Seamusa, a teraz wszyscy krzyczą na nią!

- Rosi nic nie jest - udało się powiedzieć Fionie. - Cicho, malutka! Kochana Siobhan, Seamus nie jest na ciebie zły, tylko się boi o Rosi!

- Ale przecież Rosi siedzi pod dębem! - Siobhan uniosła zalaną łzami twarzyczkę i wpatrzyła się w wujka. Dolna warga jej drżała. - Głupio się złościć tylko dlatego, że Rosi tam siedzi. Jeszcze nie jest silna, by biegać. Nie możesz na nią krzyczeć, wujku!

Seamus pokręcił głową. Nadal nic nie rozumiał. Joe obszedł wszystkich naokoło, objął brata ramieniem i poprowadził ze sobą w stronę dębów.

- Witaj w domu - rzucił, starając się zmusić brata do wolniejszego tempa. Czuł, że mięśnie Seamu-sa są napięte niczym u konia przed gonitwą. - Jordanowi uciekł jeden niewolnik. Szukali go tu z psami. Dzieciakom wydało to się fascynujące.

- Przyszli do nas? - spytał Seamus ostrym tonem, zatrzymując się na moment.

Joe pokiwał głową.

- Rosi... Rosi poroniła - dodał cicho, żałując, że tej wiadomości nie przekazuje Seamusowi Fiona.

- Poroniła?

- Nie wiedziałeś...?

Seamus pokręcił głową. Mrugał oczami. Wyzwolił się z uścisku brata i poszedł sam ku tej, która czekała, siedząc na kocu pod największym dębem.

- Bądź dla niej łagodny! - poprosił cicho, ale plecy Seamusa nie odpowiedziały.

Zawsze robiła na niej wrażenie jego uroda. Roza sądziła, że jego obraz, jaki w sobie nosiła, był wystarczający, ale się nigdy nie zgadzał z rzeczywistością. Gdy nie widziała Seamusa dłuższy czas, za każdym razem odkrywała, że go dobrze nie pamięta.

Opięte, jasnobrązowe spodnie z wysokim stanem idealnie pasowały do figury jej Seamusa. Nogi miał długie, mocne uda i szczupłe biodra. Buty do jazdy konnej, sięgające mu prawie do kolan, były zakurzone.

Świadczyły o tym, że mu się śpieszyło w drodze. O to nie musiała go pytać. Niezależnie od tego, na jak długo wyjeżdżał, wiedziała, że stara się wrócić najszybciej jak to możliwe. Roza wiedziała, że za nią tęskni.

Brazowoczerwoną koszulę wcisnął w spodnie, na nią narzucił długą, brązową kurtkę. Dobrze mu było w branie, zwłaszcza gdy się opalił jak teraz.

- A więc tu siedzisz! - uśmiechnął się, klękając powoli przed Rozą.

Jego szare oczy ogarnęły spojrzeniem ją całą. Pokręcił głową i położył dłonie na policzkach Rozy.

Powoli zbliżał swoją twarz do jej twarzy. Kąciki ust uniosły się w górę, ale w spojrzeniu czaił się smutek. Usta dotknęły ust. Spokojnie. Z tęsknotą

i bólem.

- Powiedzieli ci? - spytała.

Seamus pokiwał głową. Zacisnął usta i kilka razy przełknął ślinę.

Szczupłe policzki drżały. Kosmyk włosów zsunął mu się na czoło. Roza delikatnie odgarnęła go na miejsce.

- Przykro mi - szepnęła.

Seamus chwycił rękę, którą go dotknęła, i wcisnął usta w jej wnętrze.

Potem całował miejsce, gdzie jej puls bił równie mocno jak jego.

- Siobhan mówiła o krwi - rzucił ochryple, starając się zaśmiać. Usiadł blisko obok niej, opierając się o szorstką korę dębu. Ponad sobą mieli

ogromną koronę niczym wiszący dach z liści. -Myślałem, że umarłaś. Kącik ust Rozy zadrżał. Roza nadal z trudem mogła uwierzyć, że tak gorące uczucia przeznaczone były naprawdę dla niej. Nie miała pojęcia, w jaki sposób mogła zasłużyć, by ktoś ją tak pokochał.

- Wtedy wszystko... straciłoby znaczenie - wyszeptał Seamus. Spuścił wzrok. - W czasie tych tygodni bez ciebie tęskniłem za tym, by cię objąć. Trzymać blisko przy sobie. Wiedzieć, że jesteś tuż obok. Nasłuchiwałem twego głosu, choć zdawałem sobie sprawę, że go nie usłyszę.

Nasłuchiwałem twego śmiechu. Żyć bez ciebie, moja Rosi, to jak nie żyć. Nie dałbym rady...

Zerwał kurtkę i objął Rozę ramieniem. Ona z ulgą przytuliła się do męża. Tęskniła za jego objęciami. Tęskniła za nim, jak on za nią. Marzyła o tym, by przytulić się do jego piersi, zatonać w jego ramionach, słyszeć uderzenia jego serca

i czuć się bezpieczna...

Jego usta musnęły jej czoło, palce przegarniały jej włosy. Całował jej powieki, policzki. Nikt nigdy z taką czułością nie całował jej poparzonego, pokrytego bliznami policzka.

Wreszcie usta dotarły znów do ust. Wreszcie wycałował uśmiech na jej wargach, gorętszy niż słońce Georgii, gorętszy niż ogień. Jego ramiona tuliły ją mocno. Ona zacisnęła swoje na karku męża, jej palce bawiły się jego ciemnoblond kędziorami. Pocałunek zdawał się nie mieć końca. Ich języki splatały się ze sobą. Krew wydawała się gorąca niczym woda do kąpieli, do której ktoś właśnie włożył rozpalone kamienie.

Potem położyła głowę na ramieniu Seamusa, a on oparł policzek o ognistorudą przedzę jej jedwabistych włosów. Potężna dłoń objęła drobne ramię Rozy. Jego palce leniwie gładziły jej skórę. Drugą rękę oparł o podciągnięte kolano. Roza słuchała bicia jego serca.

- Wiedziałaś o dziecku? - spytał, czując, jak ból przebija go niczym nóż, gdy już wypowiedział te słowa. Gdy odważył się je pomyśleć. Palcem zaczął kreślić małe kółeczka pod uchem Rozy.

- Domyślałam się - odparła.

- Zanim wyjechałem?

Roza pokręciła głową, a Seamus starał się powstrzymać westchnienie ulgi.

Roza odsunęła się trochę od niego. Jasne, niebieskie oczy spojrzały na niego z niedowierzaniem. Nieomal z zawodem, a może i odrobiną gniewu.

- Czy naprawdę sądzisz, że bym ci o tym nie powiedziała?

Seamus porwał ją ponownie w objęcia.

- Byłoby to możliwe - odrzekł z uśmiechem - gdybyś uznała, że wtedy bym został. Jesteś ostatnią osobą, która chciałaby mnie powstrzymać. Nie lubisz, gdy wyjeżdżam... - pocałował ją leciutko w skroń - ... ale nigdy nie przeszkodziłabyś mi w tym, co robię. Mogłabyś uznać, że taka... wiadomość zatrzymałaby mnie w domu.

- A zatrzymałaby? - spytała Roza nieśmiało. Seamus pokiwał głową.

Nie mógł zobaczyć, czy się uśmiecha, ale wyczuł to. Sam się uśmiechnął.

- Przecież to nie zrobiłoby różnicy - rzuciła.

- Może byś go nie straciła.
- Nie byłoby różnicy! - utrzymywała.
- Teraz nigdzie nie pojedę - obiecał, obsypując jej twarz pocałunkami.
- Przez jakiś czas - dodała.
- Nie odjadę od ciebie! - powtórzył obietnicę. - Mogę wysłać kogoś innego. Joe mógłby pojechać. Pewnie by mu się to spodobało. Albo któregoś z pozostałych. Paddy trochę skapcał, przydałoby mu się coś takiego.

Roza musiała się uśmiechnąć na myśl o spokojnym i poważnym Paddym gdzieś tam robiącym interesy za Seamusa. Czuła, że to nie byłoby właściwe.

- Nie posyłaj ich! - sprzeciwiła się. - Nikt nie umie załatwiać tego tak dobrze, jak ty...

Spojrzał na nią spod zmrużonych powiek i poczuł, że serce nie mieści mu uczuć, które do niej żywi. Te cztery tygodnie ciągnęły się bardzo długo. Liczył każdą godzinę, którą spędzał bez niej. Wiedział na pewno, że nie chciał prowadzić takiego życia.

- Nie lubisz tego, co robię - powiedział. - Nie zaprzeczaj, kochanie! Ja wiem, że nie lubisz moich interesów. Ale nie zabronisz mi ich, nie będziesz błagać, by ktoś inny je przejął. - Pokręcił głową powoli. - Nigdy cię nie zrozumiem, Rosi O'Connor! Nawet gdybym żył sto lat!

- Kocham cię - odparła Roza.

To była prawda. Nie mogła od niej uciec. Gdyby próbowała, byłaby nieszczęśliwa. Roza nie mogła żyć bez Seamusa.

- Już nie będę wyjeżdżał w tych interesach obiecał Seamus z powagą w głosie. - Jestem teraz żonaty. Mam zobowiązania. - Uśmiechnął się lekko.
- Pewnie nie sądziłaś, że mogę mieć takie myśli, co? Uważałaś, że ty z nas dwojga jesteś odpowiedzialna, co, Rosi?

Może myślała w ten sposób, ale tak naprawdę nie chciała, by porzucił swoje szaleństwo, to, co miał w sobie dzikiego, nieposkromionego, nieobliczalnego. Chciała, by to zachował na zawsze. Bez

nieoczekiwanych burz i przeblysków słońca w jego duszy nie byłby tym samym mężczyzną, bez którego nie mogła żyć.

- Zainwestowałem pieniądze, moja słodka! Te interesy, których nie lubisz, są całkiem opłacalne. Teraz zainwestowałem pieniądze bardzo rozsądnie, niczym stary bankier. Nie kupowałem żadnych jedwabów czy pięknych pantofelków dla pań, ani kryształowych kieliszków na brandy, ani nawet cygar!

- W co? - spytała, widząc, jak iskrzą się mu oczy. Aż się palił, by jej to powiedzieć.

- W cegły - rzucił. - I nasiona tytoniu. I więcej ziemi. I w tkalnię bawełny pod Savannah.

-Aha.

- Rozumiesz zalety tkalni? - spytał. Roza pokiwała głową.

- Ziemia. To też dobrze brzmi?

- Po co nam więcej ziemi? - zdziwiła się Roza. Seamus uśmiechnął się szeroko, aż jego oczy zwięzły się w kreski.

- Nie pytaj Irlandczyka, po co mu więcej ziemi! Skąd ty pochodzisz, dziewczyno? Nie, nie musisz mówić. Jesteś z tego dziwnego, zimnego kraju pod

biegunem północnym, gdzie ziemia zamarza i nigdy nie może stać się miłością mężczyzny. - Nabrał powietrza. - Przepisałem Favourite na nich. I kupiłem ziemię dla nas. Dla ciebie i mnie, Rosi. Niedaleko, niecały dzień drogi. Pokiwała głową, oszołomiona.

- Cegły - mówił dalej - na większy dom tutaj. A na naszej ziemi już leżą cegły na nasz dom.

Rozie trudno było wszystko ogarnąć.

- Nie będę inwestował w bawełnę, skoro już zainwestowałem w tkalnię. Postanowiłem rozłożyć ryzyko. Dlatego uznałem, że zajmiemy się teraz uprawą tytoniu, ty i ja. No i jak to brzmi?

- Uważam, że wspaniale.

- Chyba nie nudziłaś się ani chwili, od kiedy mnie spotkałaś, co? - spytał, całując ją lekko w usta.

- Nie - zdołała odpowiedzieć Roza, zanim jego usta nie zażądały nowego pocałunku.

- Wiesz, jak nazwałem naszą ziemię? - wyszeptał przy jej uchu.

Wiedziała, że to będzie nowa niespodzianka. Żaden człowiek na świecie nie mógłby odgadnąć jego myśli.

Twarz Seamusa była jednym wielkim uśmiechem. Palił się, by jej to powiedzieć.

- Rose Garden - wyznał. - Nigdy nie obiecywałem ci życia usłanego płatkami róż, ale dobrze móc cię zaskoczyć...

Roza mogła się tylko uśmiechać. Ciemne chmury zawsze odchodziły, gdy Seamus znalazł się w pobliżu.

Rozdział 5

- Ty i słodka mała Rosi będziecie mieli własny dom? - spytała Jenny, choć Fiona i Joe starali się ją uciszyć.

Powrót Seamusa zmienił rytm dnia. Bracia przez całe popołudnie rozładowywali cegły. To dało im czas na przetrwanie nowin Seamusa. Teraz wszyscy zgromadzili się pod dębami. Był wczesny wieczór, najmłodsze dzieci leżały w łózkach. Starsze trzymały się w pobliżu z ciekawości, co się będzie działo.

Zjedli już kolację. Butelka brandy krążyła pomiędzy mężczyznami. Zapalili cygara. Seamus oczywiście nie zapomniał o prezentach. Zawsze przywoził coś całkiem niepraktycznego ze swoich podróży. Tym razem miał ze sobą francuski szampan dla dam. Chichocząc, napełniły kubki, a Brig-det przezornie ograniczyła ilość do dwóch butelek i ani kropli więcej.

- Doprawdy, chyba napiłaś się za dużo tych bąbelków, Jenny! - uśmiechnął się Seamus, siedząc wygodnie z Rozą opartą o niego pomiędzy jego długimi nogami. Jego palce bawiły się jej włosami, które miała rozpuszczone, jak lubił, mimo że to może nie przystało mężatce.

- Nie jesteś prezydentem tego kraju, Seamusie

O'Connor! - mówiła dalej Jenny. - Jest nim William H. Harrison. I też nie jesteś Panem Bogiem, choć tak się zachowujesz. Jakim prawem o nas decydujesz?

- Co to ma znaczyć? - spytał Seamus bezradnie i popatrzył po kolei po braciach, szukając u nich pomocy. Spojrzał na szwagierki, na Petera i Fio-nę. Nie odpowiedzieli mu spojrzeniem.

- Upał trochę nas rozdrażnia - rzucił ugodowo Eamonn.

- Mów za siebie! - prychnęła Jenny. - Może jestem rozdrażniona, ale to nie z winy upału. Może najwyższy czas, byś usłyszał, co myślą inni, Seamus!

- Mów! - poprosił, przechylając głowę na bok. Zmarszczył brwi, oczy mu się zwięziły, ale nie był zły, tylko zainteresowany. Przytulił Rożę jeszcze mocniej, ciaśniej. Stanowili jedno. Nic nie mogło wejść pomiędzy nich.

- Prosiłem, byś milczała, Jenny - westchnął Joe. Unikał spojrzenia brata.

- Ja chcę wiedzieć, co Jenny ma do powiedzenia - oznajmił Seamus. - To nic złego wypowiadać swoje zdanie.

- O ile nie różni się od twojego, co? - wyrwało się Jenny.

Czuła się trochę niepewnie. Oczekiwała gniewu Seamusa, odrzucenia. To niezwykle, że jest spokojny i jej nie atakuje. Nigdy się w ten sposób nie zachowywał.

- Przykro mi, że masz takie zdanie - rzekł Seamus. - Chcę usłyszeć, co masz do powiedzenia. Bądź szczerą.

- Kto cię prosił, byś wsadził pieniądze w tę tkalnię? - spytała Jenny.
 - Nikt - odparł. - Ale to jest opłacalne. I nie tylko ja będę czerpał z tego zyski. Zapisane jest na nas wszystkich i Petera. Nie sprzedają akcji dla kobiet, niestety. Gdyby nie to, na pewno kupiłbym dla ciebie, Jenny.
 - Nie żartuj! - poprosiła Roza.
 - Dlaczego ty miałbyś mieć własny dom, skoro my, pozostali, musimy mieszkać razem?
- Seamus wzruszył ramionami.
- Czy dla ciebie ten dom jest taki ważny, Jenny? - spytał po chwili.
 - Tak.
 - Ameryka cię zawiodła?
 - Marzyłam o czymś innym - przyznała, czując się znów niemal jak dziecko. Seamus był nauczycielem, a ona uczennicą, która nie nauczyła się na pamięć wierszyka.
- Seamus siedział dłuższą chwilę w milczeniu, uśmiechając się do siebie. Wreszcie wstał i poszedł w stronę domów.
- Nie mówiłam? - rzuciła Jenny. - Nie umiał odpowiedzieć! Łatwiej jest uciec przed pytaniami!
- Była nieomal zawiedziona. Sposób, w jaki on napotkał jej pretensje, właściwie jej zaimponował. Jeszcze jedna szczerza odpowiedź i zdobyłby ją, przeciągnął na swoją stronę. Jenny nie wiedziała, czy ma śmiać się, czy płakać, ale nie czuła, że wygrała. Oczekiwała więcej oporu.
- Czy musiałaś psuć ten wieczór? - spytała Fiona. - Czy nigdy nie możemy razem spędzać przyjemnie czasu?

- Ależ skąd! Nie będę nikomu przeszkadzać w miłej zabawie!

Jenny zerwała się na nogi i pobiegła w stronę domów, zanim Joe zdążył wstać z trawy.

- Niech idzie! - powiedziała Fiona. - Jej nie pocieszysz. Ona zresztą nie chce pocieszenia!

- Może i nie.

Joe już nie usiadł. Oparł się o pień dębu. Wstydział się wybuchu Jenny.

- Może ona jest w ciąży - stwierdziła Colleen. - Wtedy dzieją się dziwne rzeczy...

Serdeczny śmiech popłynął ku Joemu, który nie miał pojęcia, czy ona mogła mieć rację, ale nie wykluczał takiej możliwości. Przyjemniej byłoby móc tłumaczyć pretensje Jenny czymś innym niż zawiścią.

Jenny niemal dobiegała do domów, gdy spotkała wracającego Seamusa. Zatrzymała się. Nie chciała go omijać, wołała dać mu szansę ominięcia jej. Seamus nie zrobił tego. Podszedł prosto do niej. Zatrzymał się przed nią, wziął za rękę, położył na dłoni zwitek papieru i zamknął jej dłoń.

- Daję tobie i Joemu Rose Garden - oznajmił. Dłoń Jenny otworzyła się. Niemal wypuściła

zwitek papieru, który, jak zrozumiała, stanowił akt własności ziemi, na której Seamus miał zacząć życie na własną rękę. Rozczapierzyła palce i papier zsunął się powoli na ziemię. Seamus złapał go i ponownie wręczył Jenny. Tym razem objął jej dłonie swoimi.

- W niektórych rzeczach, które mówiłaś, masz rację - przyznał. - Byłem zadowolony, że nam wszystkim zaczęło się lepiej powodzić. Ale dopie-

ro, jak przywiozłem tu Rosi, zrozumiałem, że dobrze byłoby mieć coś... własnego.

Spojrzał na Jenny z rodzajem czułości w oczach. Była jeszcze taka młoda! Może zbyt młoda na mężatkę, matkę i na emigrantkę. Zbyt młoda na porzucenie wszystkiego, co знаła. Nigdy o tym nie pomyślał. O wielu rzeczach nie pomyślał.

- Nie brałem pod uwagę marzeń innych - dodał.

- Nie możesz nam dać Rose Garden!

Seamus uśmiechnął się swoim powolnym, szerokim uśmiechem, który nadal wspominały z westchnieniem i panny, i mężatki w Irlandii.

- Właśnie to zrobiłem - rzucił.

- Co z tobą i Rosi?

- Jeszcze będziemy mieć swój dom - rzekł. - Nie śpieszy nam się. Ty i Joe macie dzieci. Jesteście młodzi. To sprawiedliwe i właściwe, że wy dostaniecie tę ziemię. Dość jest tam cegieł na solidny dom.

- Z ośmioma kolumnami? - spytała Jenny.

- Możemy spróbować zbudować i dziesięć, jeśli to dla ciebie ważne -

zaśmiał się Seamus. - I nie będę się mieszał w to, co tam będziecie uprawiać. My możemy w przyszłym roku zasiać tytoń na części ziemi i tu.

- Naprawdę tak chcesz? Seamus pokiwał głową z powagą.

- Dwanaście kolumn, jeśli dziesięć nie wystarczy!

Objął ją w szczupłej talii i okręcił wokół. Zauważył z uśmiechem, że chyba niemożliwe, by szła się położyć tak wcześnie.

- Aż tyle pracy nie mają kobiety w tej rodzinie, by nie mogły posiedzieć do zachodu słońca!

- Dziękuję! - powiedziała Jenny. - I wybacz...

Seamus wzruszył ramionami, jakby nie było za co dziękować.

- On dał nam Rose Garden! - wykrzyknęła, gdy już wrócili do pozostałych. Rzuciła się na szyję Joemu. - Seamus dał tobie i mnie Rose Garden'

-Co?

Joseph nie był jedynym, który wlepił wzrok w Seamusa. Wyzwolił się mało delikatnie z objęć Jenny, zabrał jej papier i podszedł do brata.

Pode-tnął mu pod nos dokument.

- Nie możemy tego przyjąć - powiedział. - Ja nie chcę.

- A więc dam go Jenny - rzucił Seamus lekkim tonem. - Sądzę, że przeprowadzi się tam z dziećmi. Ty nie będziesz chciał mieszkać z żoną? Plotki się pewnie szybko rozejdą i gromady poszukiwaczy szczęścia zbiegną się niczym pszczoły do miodu. Ładna, młoda dziewczyna...

- Niech cię cholera! - przerwał mu Joe. - Nawet nie spytałeś Rosi, co ona na to. Robisz tylko to, na co ty masz ochotę!

- Może Jenny ma rację - przyznał Seamus. -Taki już jestem.

Roza uśmiechnęła się do swego męża. W tym momencie kochała go mocniej niż kiedykolwiek. Pokazał, jak może być szlachetny. I trochę szalony, ale takim go kochała.

- Nie przyzwyczałam się jeszcze do myśli o plantacji - stwierdziła i zaśmiała się ze szczerą ulgą. - Uważam, że na nią zasługujecie. Nam jest tutaj dobrze.

- Nie możemy tego przyjąć! - upierał się Joe. -A co z pozostałymi?

Rozejrzał się po kręgu rodziny. Nie napotkał żadnej zazdrości w ich spojrzeniach, tylko uśmiechy i skinięcia głową. Radość w ich imieniu.

- Ale to niesprawiedliwe! - sprzeciwiał się jeszcze.

- Tu nie ma mowy o niesprawiedliwości - rzekł Seamus, obejmując ramieniem brata. - Może z czasem przeznaczycie kawałek ziemi, jeśli któryś z braci zechce postawić własny dom. Nie jest oczywiste, że wszyscy będą chcieli uprawiać bawełnę. Tkalnia przyniesie dochody, z

których możemy wszyscy żyć. Może nie wszyscy z nas marzą o froncie domu z kolumnami. Pewnie będziecie potrzebować pomocy przy budowie. Mogę wam dać piętnastu niewolników, potem sami dokupicie.

- Ja to bym chciał mieć warsztat - rzucił Peter marzącym tonem. - O wiele chętniej bym robił w drewnie, niż zarządzał ziemią i robotnikami.

- I tak mówi mój zastępca! - uśmiechnął się Seamus szeroko. - Nie wiem, czy ciebie puszcze, Peter.

- Z nami nie będzie problemu - stwierdził Adam. - Ale ja bym chętnie otworzył kuźnię. I nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby stanęła nie-daleko domu Joego.

Nagle wszyscy zaczęli mówić naraz. Nagle wszyscy mieli marzenia i plany, których wcześniej nie ujawniali. Teraz ujrzały światło dzienne i nabierały realnych kształtów.

Roza i Seamus pożegnali się pierwsi. Wziął ją na ręce i w milczeniu zaniósł w kierunku pogrążonych w ciszy domów. Minał je, poszedł do stodo-

ły i wspiał się po drabinie na strych, gdzie nadal leżało trochę siana. Posadził Rożę na miękkim podłożu i zapalił lampę wiszącą pod stropem. Sam wkręcił tam hak zaraz po tym, jak wraz z Fioną wyciągnęli ze strumyka przesiąknięty wodą materac i oparli go o dom. Będzie tak schnął jeszcze dobrych kilka dni.

- Przygotowałeś to! - wykrzyknęła Roza, gdy ujrzała koszyk z jedzeniem, pedy i butelki szampana ustawione przy ścianie.

Seamus uśmiechnął się tylko i rozwiązał czerwoną chustkę, którą miał na szyi. Rozpiął i zdjął lamowaną jedwabiem kamizelkę. Usiadł i ściągnął buty.

I na czworakach, z uśmiechem, podszedł do niej

I porwał w ramiona.

- Jesteś na mnie zła, Rosi? - spytał. - Uważasz, że byłem głupi, oddając im Rose Garden?

Roza prychnęła i pociągnęła go na siebie. Pocałowała w usta.

- Nigdy nie obiecywałeś mi tańca po różach - powiedziała. - Zapomniałeś?

- A co ci obiecywałem? - spytał z błyskiem w szarych oczach. Zsunął się z niej na bok i podłożył Rozie ramię pod głowę.

- Ty, Seamusie Michealu CConnorze - zaczęła Roza cicho, uroczystym tonem - obiecałeś mnie kochać. Obiecałeś dbać o mnie. Obiecałeś, że nigdy mnie nie uderzysz. Obiecałeś, że nigdy nie będę musiała ciężko pracować. I dałeś słowo, że będziesz mnie wspierał i dzielił ze mną noce i dni, stół i łóżce, i myśli.

- I że nigdy cię nie zmuszę do opowiedzenia tego, czego nie chciałem wysłuchać w dzień świętego Patryka - dodał Seamus poważniej niż zwykle.

- W tych obietnicach nie było słowa ani o domu, ani o plantacji - przypomniała Roza, chcąc z powrotem przywołać jego uśmiech.

- Tylko prosiłaś, bym nigdy cię nie opuścił, nigdy nie kłamał ani niczego nie przemilczał.

- Chyba nie wyszedłeś na tym najlepiej - rzuciła Roza. - W zamian nie dostałeś żadnych nadzwyczajności. Chyba to najgorszy interes twojego życia...

Pokręcił głową.

- Otrzymałem cię - powiedział. - Kocham cię, Rosi. Tak mi przykro, że straciliśmy to dziecko.

- Mnie też.

- Będziemy mieć jeszcze dzieci! - obiecał, przytulając ją mocno. -

Nabierzesz sił. Przed nami tysiące nocy, Rosi. Dni też. Mimo że nie zamieszkamy od razu w murowanym domu, będziemy mogli wymknąć się czasem i spróbować popracować nad jakimś ładnym bobaskiem...

Musiła się roześmiać.

- Będzie na to czas - powiedziała.

- Chcesz spać? Pokiwała głową.

Seamus poczuł się lekko zawiedziony, ale machnął ręką. Zerwał się i zdmuchnął lampę. Powiedział, że równie dobrze mogą wypić szampana na śniadanie.

- Nigdy tego nie robiłem - powiedział. - I założę się, że lord nigdy by nie przypuszczał, że ten wyjęty spod prawa Seamus O'Connor stał się

w Ameryce na tyle panem, że może do śniadania pić szampana!
Roza zachichotała i przytuliła się do niego.

- Miejmy nadzieję, że Jego Wysokość lord Lis-more także nie przypuszcza, że ten jego rebeliant śpi sobie na strychu stodoły w Georgii...

- Cii! - szepnął, nakrywając ich oboje pledem. -Odpoczywaj teraz, kochanie. Jeśli masz o kimś śnić, to o mnie i o tobie, a nie o lordzie Lismore.

Znów obudziła ją pieśń. Już długo nie zwracała na nią uwagi, stała się czymś zwyczajnym. Ta smutna, monotonna, melodyjna pieśń już jej nie dziwiła. Stała się częścią jej życia w Ameryce. Gdyby kiedyś zniknęła, pewnie by za nią tęskniła.

... ta pieśń żyła w jej głowie...

Dopiero gdy Seamus poruszył się niespokojnie przez sen, Roza obudziła się naprawdę. Z dreszczem wydostała się z ciężkiego snu. W półmroku dostrzegła po jego wyrazie twarzy, że on też słyszy tę pieśń.

- Co się stało? - zdziwił się, gdy Roza przestąpiła przez niego i bosa, zapominając o szalu, z trudem zeszła po drabinie na dół.

- Dokąd idziesz? - zawołał za nią.

Roza nie odpowiedziała. Teraz słyszała, że to nie jest pieśń ze statku. Inna była melodia, inne słowa. Ale podobne. Ból był tak samo prawdziwy, tak samo nagi jak w pieśni z „Merry Dancer” pośrodku Atlantyku.

Pobiegła do chat niewolników. Nawet nie zauważyła, że jest boso. Pieśń stała się całkiem wyraźna. Roza zatrzymała się na placu pomiędzy cha-

tami na twardo ubitej ziemi. To tu bawiły się dzieci po powrocie z pola, tu biegały aż do czasu pójścia spać. Kobiety prały, szyły, łątały ubrania, gotowały. Wszyscy zbierali się tu wieczorami.

Teraz pośrodku placu rozpalili ognisko i siedzieli wokół niego ciasnym kręgiem. Rzucali ciemne cienie sięgające do Rozy. Spojrzeli na nią, gdy weszła pomiędzy nich. Nikt jej nie pozdrowił.

Ktoś pochylił karku, bo przecież należała do klasy panów. Tych, którzy mieli na własność ziemię, ich chaty i ich samych.

Princess siedziała tuż przy ognisku.

Roza podeszła do niej. Pod stopami czuła wilgoć ziemi. Tu nigdy nie wysychała.

- Złapali go? - spytała.

Princess pokiwała głową.

Roza chciała spytać, skąd wiedzieli, skąd mieli pewność - ale nie zdążyła.

Princess otworzyła złączone dłonie, które trzymała na okrytych fartuchem kolanach. Otworzyła je tak, że przypominały rozwarte do lotu skrzydła ptaka. Na zakrwawionym kawałku płótna leżało brązowe ucho.

Roza zachwiała się. Zrobiła krok do tyłu, potem z powrotem do przodu.

Do gardła podeszła jej fala mdłości, ale przetrzymała ją.

Ból ją przeszył, gdy uklękła obok Princess. Otoczyła ją ramieniem.

Wśród niewolników powstał szmer, ale Princess nie uczyniła żadnego ruchu, by wyzwolić się z objęć białej pani.

- Sądziłam, że mu się udało - szepnęła Roza. Głos odmówił jej posłuszeństwa. Wzrok stale wracał do odciętego ucha.

- Modliłam się o Marlona, panienko Rosi - od-

parła Princess. - Ale może dobry Bóg nie słucha próśb czarnuchów. Może niepotrzebny mu Marlon. Miałam nadzieję, że uda mu się dotrzeć na północ. Ja wiem, że nie powinnam, bo pan Jordan ma na własność Marlona i Marlon nie powinien uciekać. Marlon jest na tyle dorosły, że powinien znać swoje miejsce. Wiem, że nie powinien tego robić, ale pragnęłam tego! Podobała mi się myśl, że Marlon byłby wolnym człowiekiem wśród Jankesów. - Uśmiechnęła się. - Pan Jordan jest właścicielem Marlona. Ma prawo robić z nim, co chce. Nie mogę płakać, jeśli go ukarze. Marlon nie powinien uciekać. Nie powinien dotykać białej dziewczynki...

- Uratował ją przed utonięciem - przypomniała szeptem Roza.

- Nie powinien jej dotykać! - powtórzyła Princess. - Pan Jordan zrobi to, co powinien, gdy ukarze tego głupiego Murzyna. Ja płaczę dlatego, że to mój syn okazał się tak głupi...

- Miałam nadzieję, że mu się udało! - powtórzyła Roza cicho. - Byłam taka pewna, że łoś go uratował...

- Rosi!

Seamus stał na skraju placu, dokąd nie sięgało już światło ogniska.

Widział jednak wyraźnie, że jego żona siedzi, obejmując czarną kobietę, głaszcząc ją po kręconych włosach i jakby ją pocieszając. Płomienie ogniska były równie czerwone jak włosy Rosi. Nie umiałby opisać uczuć, które w nim się burzyły.

- Rosi! - zawołał ponownie.

Nie odpowiedziała. Nie wiedział, czy słyszała go,

czy nie. Niepojęte było, że mogła go me słyszeć, jeszcze bardziej niepojęte, że nie odpowiedziała.

Seamus nie podszedł bliżej. Obrócił się na pięcie i wrócił do domu, który nazywał swoim. Już zamknęli na noc, więc musiał zastukać do drzwi, by wejść.

Seamus chodził tam i z powrotem po izbie z dłońmi wbitymi głęboko w kieszenia

_ Co, u diabła, Rosi robi u czarnuchów? - spytał, gdy już opowiedział im, co widział.

Obudził zarówno Fionę i Petera, jak i Joego i lenny. Przebudzili się też Tommy i Daniel i zeszli na dół. Lubili Rożę, ale to Seamus był ich bohaterem. Nie spuszczała z niego oczu.

- Chyba złapali chłopaka - powiedział Peter. -Słyszeliśmy szczekanie psów, zanim zasnęliśmy.

- Co, u diabła, ma wspólnego zbiegły czarnuch z moją Rosi? - rzucił gniewnie Seamus, wyrzucając ręce w górę. - Tego mi jeszcze nikt nie wytłumaczył! . . .

- To właśnie Princess zajmowała się Kosi, gdy ona... niemal się wykrwawiała - wyjaśniła Rona.

- Princess jest matką tego chłopaka - dodał joe. -Pozwoliliście, by czarna kobieta zajmowała się Rosi? - spytał Seamus z niedowierzaniem. -Nic dziwnego, że straciła dziecko!

- Rosi często rozmawia z niewolnikami - odezwał się Tommy.

Seamus pochylił głowę. Przypomniawszy sobie wszystkie te razy, gdy musiał wyciągać Rosi siłą z ładowni na „Meny Dancer”. Pamiętał, że to wyglądało jakby ona rozmawiała z tymi niewolnikami.

Prawie tak samo, jak teraz przy ognisku, gdy obejmowała tę czarną kobietę.

- Rosi ma miękkie serce - rzucił ciężko.

- Pójdiesz po nią? - spytała Fiona czujnie.

- Nie - odparł starszy brat, zdejmując z kołka kurtkę, którą zwykle zakładał na wyjścia w pole. Wyszedł bez słowa.

- Pójdzie teraz wygalopować diabła z duszy - westchnął Joe. - Chyba powinienem za nim pojechać.

- Może - zgodziła się Fiona.

Peter położył dłoń na ramieniu Joego. Jego brązowe oczy napotkały szare szwagra. Spojrzenie Petera powiedziało mu, że nadeszła właściwa chwila.

- Tym razem ja za nim pojedę - stwierdził stanowczo.

Rozdział 6

Noc była czarna i miękka niczym aksamit. Aksamit o północy. Seamus znał już to określenie. I nie lubił go. Ale gdy towarzysze, których uważał za równych sobie, śmiali się i grubiańsko mówili o niewolnicach, on też się śmiał.

Nigdy nie sądził, że powietrze może być aż tak łagodne. Prawie zapominał wiatry wiejące w Irlandii. Musiał wyteńczyć pamięć, by przypomnieć sobie deszcz zacinający niemal poziomo i chłoszczący skórę. Tutejsze noce były niczym pieszczota.

Siedział na kupie cegieł w Rose Garden. Nawet w ciemności wyczuwał, że to dobre miejsce. Stanie tu piękny dom. Ziemia jest żyzna, Joseph będzie miał z niej wiele pożytku. Przez moment poczuł żal, że był tak hojny, ale to minęło. Ze wszystkich swoich niezaplanowanych uczynków ten uznawał za najbardziej zabawny.

Usłyszał odgłos końskich kopyt na długo, zanim ujrzał jeźdźca. A więc Fiona zmusiła Joego, Wiifel¹;¹ by pojechał za bratem, a brat poczuł, że jest mu to winien...

Seamus westchnął głęboko. Nie chciał rozmawiać z Joem. Nie chciał, by własny brat mówił mu, że się myli. Że to Rosi ma rację. Nie chciał teraz tego słuchać.

Przez moment ujrzał przed oczami matkę pochylającą się nad ziemią. Braci i przyjaciół na torfowiskach. Całe wsie stojące po pas w morzu, gdy lord pozwolił łaskawie na zbiór wodorostów przy ich domach.

Przypomniawszy sobie posiadłość lorda i lepianki, do których przychodził. Domki, w których witano go serdecznie. I poczuł wyraźnie, że on nigdy nie pragnął domu z ośmioma kolumnami przed wejściem. Był to może obiekt amerykańskiego marzenia, ale on nadal był Irlandczykiem! Droga, o której myślał, że rozciąga się przed nim szeroko, okazywała się bardziej kręta, niż przypuszczał...

To był Peter. Seamus rozpoznał jego brązowego konia i zdziwił się. Był tak pewien, że to Joe.

- Jak mnie znalazłeś? - spytał, gdy Peter wspinał się do niego na stos cegieł.
- Zgadywałem - odparł Peter, sadowiac się obok

szwagra. - Cholernie dobre miejsce na plantację - stwierdził. - Jeśli jeszcze dokupią trochę ziemi. Tu są kawałki, których się nie uprawia.

- Tak też sądziłem - przyznał Seamus. - Ale mówi się o tej wojnie, która nadejdzie lub nie. Pomyślałem, że może nie opłaci się kupować więcej ziemi. W przypadku wojny bawełna nie jest artykułem pierwszej potrzeby, wiesz. A gdy mężczyźni pójdą na wojnę, trudniej pilnować zbiorów.

- Powiedz to Joemu - rzucił Peter. - Sądziłeś, że to on jedzie?

Seamus nie mógł zaprzeczyć.

- Zawiodłeś się, prawda? - spytał Peter i obaj wiedzieli, że ma na myśli Rosi. - Fiona to rozumie. Nawet Jenny! - Zaśmiał się. - Jenny rozumie to bardziej niż ktokolwiek, bo zna się na zasadach, które trzeba stosować, by dojść tam, dokąd się chce. Żaden z nas nie musi tłumaczyć swojej żonie różnicy pomiędzy nami a robotnikami. Niewolnikami.

- Czy tobie trudno myśleć o nich jak o niewolnikach? - spytał Seamus, przekrzywiając głowę. W dłoniach trzymał cegłę i pocierał ją kciukami.

- Ona nie jest Irlandką - powiedział Peter. - Ona nie myśli jak ty. Sądzę, że nadal trudno jej zrozumieć ciebie. Zrozumieć Irlandię. Przyjeżdża tutaj -i napotyka to. Jest dla niej naturalne, że bierze stronę najsłabszych. Według niej to niewolnicy.

- Rozumiesz ją tak dobrze, bo pochodzicie z jednego kraju? - domyślił się Seamus, wyrzucając nagle cegłę jak najdalej przed siebie. Wylądowała gdzieś w ciemności, słyszeli tylko odgłos. - W Irlandii była masa kobiet, których postępowa-

nia nie pojmowałem, Peter. Nie jesteś jej bratem, mimo że pochodzicie oboje z Norwegii. Nie musisz mnie pouczać na jej temat. To ja znam Rosi. To ja jestem jej mężem, do diabła!

- Chyba sam wiesz, że kłamiesz - odparł Peter spokojnie, nie spuszczać z niego wzroku. - Ty jej nie znasz, kolego. I nie jesteś jej mężem.

Seamus nie odpowiedział. Wątpił, by Rosi zwierzyła się Peterowi tylko dlatego, że był jej rodakiem. To niepodobne do jego Rosi, która strzeże swych tajemnic niczym wilczyca młodych. Ale jeśli szwagier chciał skupić jego uwagę, udało mu się to.

- Wy, O'Connorowie, lubicie opowieści - rzucił Peter, przeciągając dłonią przez swoje jasnobrązowe włosy. Zdawał sobie sprawę, że jeszcze może się wycofać. Mógł powiedzieć co innego niż to, co zamierzał. Nadal mógł żyć kłamstwem i nie przejmować się nikim innym, jak tylko najbliższymi.

Fioną i dziećmi...

Ale Peter Johnson był także Pederem Johansenem. A Peder Johansen miał nadal rachunki do wyrównania.

- Pojechałem za tobą, Seamusie, aby opowiedzieć ci pewną historię, równie prawdziwą jak twoje. Możliwe, że zahaczę o to, co się dzieje tu i teraz, ale to nie będzie tylko moja historia. Moje opowiadanie rozpoczyna się przejmująco zimnego poranka, daleko na północy Norwegii. U krańca wąskiego fiordu. Na jego brzegu pokrytym szronem zdarzyło się opowiadającemu tę historię znaleźć kobietę, dziecko jeszcze, pobita do nieprzytomności i pozostawiona, by zamarzła na

śmierć. Złego człowieka wybrała na ojca dziecka, które nosiła w brzuchu. On nie potrzebował ani żony, ani dziecka. Nie chciał jej znać. W jego oczach nie była niczym więcej niż dziwką. Wołałby, żeby nie żyła. Peter zapatrzył się w noc Georgii i pomyślał, że daleko zawędrował od czasu tego poranka w Ka-fjorden w Finnmark.

- Uratowałem jej życie. Jakimś cudem nie straciła dziecka. Była jedyną córką najbardziej upartego człowieka, jakiego w życiu spotkałem. On ją ubóstwiał. Jako jedyny widział w niej księżniczkę. Większość widziała w niej to, co ojciec jej dziecka: dziwkę. Podnosiła spódnice zbyt długo, dla zbyt wielu, w gniewie i obojętności. Poza tym posądzali ją, że jest czarownicą.

Seamus zaśmiał się zgrzytliwie w ciemności. Peter go rozumiał. Ta opowieść przypominała niemal dokładnie historie, które opowiadał Seamus przy dogasającym ognisku na torfowiskach w Irlandii.

- Była znienawidzonym wyrzutkiem. Żaden porządny człowiek znad fiordu nie chciał mieć z nią do czynienia. Nie miała żadnych przyjaciół. Nawet ci niezliczeni kochankowie oglądali się za nią w ostatniej kolejności. Korzystali z jej ciała, a ona pozwalała na to. Jedynie za jej uśmiechem kryła się obietnica, że kiedyś postara się o zadośćuczynienie. Bali się jej, a ona nie robiła nic, by to zmienić. Gdy ludzie ją omijali, uśmiechała się tylko.

- I teraz wejdiesz do tej historii, kolego, jako bohater? - spytał Seamus.

- Nie wiem, czy jako bohater - rzekł Peter

smutnym tonem. - Zbudowałem łóżko i ożeniłem się z nią. W tej kolejności.

Uśmiechnął się i usłyszał, że Seamus robi to samo. Zwykle wydmuchiwał powietrze przez nos, gdy uśmiechał się zaciśniętymi ustami.

- A potem przyłapałem ją z mężczyzną, z którym była nadal w ciąży.

Peter zamilkł na dłuższą chwilę. Przed oczami

stał mu wyraźnie The House, dom dyrektora kopalni w Kafjorden.

Nadal słyszał odgłosy ich kochania. Jej śmieшек, który wyrwał się jej,

gdy leżała pod wielkim, twardym ciałem Jensa. Głos Jensa, który nigdy

nie brzmiał pieszczotliwie, tylko żądał. Peter pamiętał ten moment, bo

wtedy zrozumiał, że Jens ma ją na własność. Na całe życie. Bo ona mu na

to pozwalała.

- Tej nocy odszedłem od niej - mówił dalej. - Opuściłem ją bez słowa

wyjaśnienia. Wyjechałem z kraju. Stałem się kimś innym.

- Niektóre kobiety już takie są, że potrafią doprowadzić porządnego

mężczyznę do szaleństwa - powiedział Seamus, podsumowując tymi

prostymi słowami historię Petera. - Ona mi powiedziała, że jest zamężna -

dodał po chwili ciszy. - Nie chciałem, by mi opowiadała o swoim

dotychczasowym życiu. Powiedziałem, że nigdy jej o to nie spytam. Ona

chciała mi wszystko opowiedzieć, ale ja nie chciałem słuchać. Nie

chciałem wiedzieć. Pragnąłem tylko jej, choć wiedziałem, że popełniamy

grzech, za który będziemy się smażyć w piekle. Gdy pomyślałem, że

mógłbym jej nie mieć, wybrałem potępienie na wieki.

Obrócił głowę i popatrzył uważnie na Petera.

Na swego szwagra, męża Fiony. Seamus ujrzał go jakby po raz pierwszy. Badał wzrokiem. Starał się zrozumieć, co kobiety mogło w nim pociągać. Nieomal porównywał go ze sobą. I nie wiedział, co ma o tym sądzić, bo nie było chyba osoby, która bardziej by się od niego różniła niż Peter.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że to ty jesteś tym mężczyzną.

- Tak, to ja - powiedział Peter. - Ja jestem jej mężem.

- To ja jestem jej mężem - odparł Seamus, kładąc nacisk na każde słowo.

- Jak długo któreś z nas żyje, Roza i ja jesteśmy sobie poślubieni, Seamusie. Będziemy wszyscy płonąć w tym samym ogniu. Fiona też. Ona nie zna prawdy. Jest w to wciągnięta niewinnie.

Seamus westchnął.

- Fiona nie musi o tym wiedzieć. Nie powinna! Kopnął odłamki cegieł, aż potoczyły się w dół stosu.

- To tłumaczy, dlaczego tak trudno było jej się zgodzić. Nie wątpiła we mnie, ale w moją propozycję wyjazdu do Ameryki. Prosiłem, by została moją żoną i wyjechała ze mną. Za wami.

- Ona cię kocha, Seamusie.

- Pewnie tak.

- Nie wolno ci jej karać czy obwiniać za to, że jest, jaka jest. Jest teraz z niewolnikami, bo nie potrafi inaczej. Rozy nie można zmienić.

- Ty też się z nią zgadzasz? - spytał Seamus.

- Możliwości w tym kraju - odparł Peter powoli - są ogromne, jeśli przybywasz z niczym. Ja nie wyrosłem w biedzie. Dużo mi się należało. -

Uśmiechnął się przelotnie. - Ale to historia na inną noc. Mnie nie przerażają możliwości. I wiem, że także tutaj może się nie udać. Stany południowe są świetnym miejscem do zrobienia kariery, jeśli masz pieniądze na początek.

- Sam tak uważam.

- Jednak - mówił dalej Peter - trzeba było ustanowić niewolnictwo, by się mogło powieść, by żyć takim życiem, jakie znamy. Nie udałoby nam się to z pracy własnych rąk. Nigdy nie doszlibyśmy do zamożności. Ja to widzę. Ty też.

- Rosi tego nie widzi.

- Widzi - poprawił go Peter. - Ale trudno jej to zaakceptować.

- Przecież jej stamtąd nie wywlokłem - powiedział Seamus.

- Ona będzie tam chodziła za twoim przyzwoleniem albo za twoimi plecami. Co wolisz?

- Na pewno nie będę nosił jej wody do kąpieli po powrocie stamtąd!
Peter pokręcił głową.

- Naprawdę wierzysz, że oni są gorsi? Naprawdę, Seamus? Nie widzisz, że to kłamstwo, w które pasuje nam udawać, że wierzymy? Ilu właścicieli plantacji chodzi nocą do chat niewolnic, jak sądzisz?

- Ja nigdy bym tego nie zrobił - stwierdził Seamus z pewnością w głosie.

-Nigdy? - rzucił Peter z niedowierzaniem. -A gdyby nie było Rosi? A jeśli pewnego dnia będziesz miał jej dosyć? Albo będziesz na nią zły? Nie wierzę ci, kolego. Przykro mi, ale ci nie wierzę.

- Oni nie są tacy jak my - powiedział Seamus.

- Tak ja to widzę. Oni nie są jak my. Są bardziej zwierzęcy. Jeśli byliby jak my, to dlaczego się nie burzą przeciw nam? Dlaczego nie wyzwalają z łańcuchów? Nadal chyla karki. Nie oczekujesz chyba, bym przyznał, że jestem podobny do czarnuchów! Chyba nie sądzisz, bym ich mógł szanować! Oni nie są jak my. Są dzicy. Potrzebują nas tak samo, jak my ich. W końcu pomagamy im, upodabniamy do siebie. To na pewno nie wydarzy się za naszego życia. My nigdy nie ujrzymy czarnuchów podobnych do nas. Oni nie staną się ludźmi przez jedną noc. Długo będą nas potrzebować. Zdażymy się wzbogacić, zanim oni się zbuntują, a wtedy nie będziemy już potrzebować niewolników.

- Może masz rację - westchnął Peter. - Może masz rację.

- Ty wierzysz w wojnę - stwierdził Seamus.

- Tak. Sądzę, że wojna wybuchnie. I nie wiem, czy zdażymy się wzbogacić.

- Zerwiemy z Jankeesami, jeśli za bardzo zaczną pyskować - rzucił Seamus. - Najbogatsi ludzie na Południu nigdy nie pozwolą sobie czegoś odebrać. A my, którzy jeszcze nie jesteśmy tak bogaci, będziemy ich wspierać tak, by nikt z nas nie przegrał.

- Mam nadzieję, że nie doświadczę tego - powiedział Peter.

- Ale nigdy też nie wrócisz.

- Nie, nie wrócę. Ten człowiek, którym byłem, umarł. Uważam, że Peter Johnson umrze jako Amerykanin. Za Amerykę, jeśli będzie trzeba.

- Za jaką Amerykę?

- Za moją Amerykę. Za tę Amerykę.

- Za Stany Południowe - uściślił Seamus. - Nie bój się użyć właściwej nazwy, przyjacielu. Bądź dumny z tego, że wiesz, gdzie leży twoje serce. Stany Południowe, Peter. Właściwa Ameryka.

- Powiedział ci, że ojciec nazwał go Biegnącym Łosiem? - spytała Princess.

Roza pokiwała głową. Już niewiele pozostało wokół ogniska. I ognisko już przygasało. Roza nadal siedziała obok Princess. Wydawało się, że jej to odpowiada.

- Czerwony Księżyc kochał Princess - mówiła dalej. Uśmiech rozjaśnił jej twarz i sprawił, że wydawała się nagle i młoda, i ładna. Nie wymagało to dużej dozy wyobraźni, gdyż Princess nadal była ładna. Wymęczona pracą i bólem, ale z tym rodzajem piękna, które nie blaknie, gdyż pochodzi od wewnątrz. - Panienska pewnie się na tym nie wyznaje, bo pewnie nie widziała panienska jeszcze żadnego Indianina. Ale on dla mnie był równie wspaniały, co pan Seamus dla panienski.

Roza odsunęła od siebie myśl o Seamusie. On tu nie pasował.

- Był wspaniały. Skórę miał miękką jak dobrze wyprawiona skóra jelenia. I takiego była koloru. Tylko dla oczu białych ludzi była czerwona. Włosy czarne i sztywne, przycięte do uszu. Był żylasty niczym najpiękniejszy rumak. Miał silne ramiona i szybkie nogi. Nawet zapomniałam, że jest Indianinem. - Uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - Panienska się tu nie urodziła, nie wie, jak tu jest. Słyszałam, jak ludzie opowiadali o niewolnicach wychodzących za Indian. Że Indianie pozwalają

zbiegłym niewolnikom żyć u siebie, a ktoś nawet opowiadał o Murzynce, żonie wodza Indian... Ja temu nie wierzę. Mówili, że to gdzieś na Florydzie, ale i tam nie może być inaczej niż u nas. Białym też się to nie podobało.

Princess pogładziła palcem po krawędzi odciętego ucha, które nadal trzymała na kolanach.

- Czerwony Księżyc pochodził z plemienia Cherokee. Był zwykłym wojownikiem, żadnym synem wodza. Przyłapał mnie, gdy się kąpałam. Nigdy bym go nie spotkała, gdybym nie była taka głupia, że kąpałam się samotnie i bez ubrania. Był mężczyzną, i to nie robi żadnej różnicy, czy jest biały, czarny czy Indianin. Żadnej różnicy, panienko! Ale potem ten Indianin okazał się tak głupi, że się we mnie zakochał. A ja wyobraziłam sobie, że też się w nim zakochałam!

- Kochanie kogoś to nic złego - powiedziała Roza.

- Są tacy Indianie, którzy nienawidzą nas bardziej niż biali - wyjaśniła Princess gorzkim tonem. - Tacy są Cherokee. Nie było mowy, bym mogła zostać żoną Indianina. Gdybym do niego uciekła, odesłaliby mnie z powrotem. On sam by mnie odprowadził.

Roza nie umiała jej odpowiedzieć.

- Przychodził, kiedy chciał. Także po tym, jak urodziłam syna. Ja nazwałam go Marlon. On nazwał go Biegnący Łoś. Przychodził na tyle często, by namieszać chłopakowi w głowie. Marlon uważał się za Indianina. Ale Cherokee nie chcieli go znać. Dla wszystkich był tylko czarnuchem.

- Czerwony Księżyc już nie przychodzi? - spytała Roza.

- Pięć lat temu przeniesiono Cherokee na zachód - odparła Princess. - Niektórzy przeprowadzili się dobrowolnie. Inni pozostali. Ci, którzy odeszli, musieli podpisać papier, że ziemia Cherokee w Georgii należy teraz do białych ludzi. Cherokee mieli otrzymać w zamian ziemię na zachód od Missisipi. Ci, którzy odmówili przeniesienia, zostali pognani przez żołnierzy na zachód jak stado bydła. Wygnali ich późną jesienią, gdy było mokro i zimno. Żołnierze traktowali ich gorzej niż zwierzęta. Ludzie mówili, że Cherokee głodowali, zamierzali na śmierć albo byli zastrzeliwani, jeśli opóźniali marsz. Chorych pozostawiano przy drodze. Nie wiadomo, ilu zmarło, zanim dotarli do Terytorium Indianińskiego, gdzie biali dali im mieszkać. Dlatego Czerwony Księżyc już nie przychodzi. Czasem myślę, że on żyje gdzieś na zachód od Missisipi. Czasem myślę, że zginął w drodze. Ale zwykle już o nim wcale nie myślę.

- Sądzisz, że na to zasłużyli?

- Panienska uważa, że to źle z mojej strony? - odpowiedziała pytaniem Princess. - Ale oni nie odnosili się do mnie dobrze. Syn Czerwonego Księżyca nigdy nie był dla nich Indianinem. A mnie czasem śmieszy myśl, że jedynym Cherokee w Georgii jest teraz Murzyn!

Princess nagłym ruchem wrzuciła ucho do ogniska. Zasyczało niczym kot, płomienie rozgorzały i pożarły nową ofiarę.

- Nie będę grzebać niczego, co należy do Mar-lona, gdy on nadal żyje - oznajmiła Princess.

Roza zgodziła się z nią.

- Skąd panienska wiedziała o łosiu? - spytała

Princess, gdy ognisko zmieniło się w żar. - Od Marlona?

- Miałam sen - odparła Roza i opowiedziała go Princess.

Gdy zamilkła, Princess położyła swą brązową dłoń na ramieniu Rozy. Nie dotknęła jej dłoni, to byłoby zbyt wiele. Roza to rozumiała.

- Czerwony Księżyc zamącił w głowie chłopakowi. Gdy sam był młody, pojechał daleko na północ. Mówił, że tam światła tańczą na niebie. Mówił, że to Ithenhiela wita w ten sposób Indian w swoim domu za niebem. Wita i przenosi do swego domu.

- Kto to jest Ithenhiela? - spytała Roza.

- Ithenhiela był sierotą. Uwięził go najpodlejszy stwór, który był na ziemi, Naba-Cha. Przez długie lata Ithenhiela siedział w niewoli u Naba-Cha, aż uwolnił go jego jedyny przyjaciel, dwuletni łoś. Wyprowadził chłopca z więziennego dołu i wywiózł z krainy złego Naba-Cha. Ithenhiela wziął ze sobą magiczny pas należący do dobrego boga, Hatempka. Pas sprawiał, że chorzy zdrowieli i działy się inne cuda. Jak długo pas jest w niebie, wszyscy są tam szczęśliwi. Za każdym razem, gdy Ithenhiela nim wymachuje, światło tańczy po niebie, a Indianie wiedzą, że Ithenhiela o nich pamięta. - Princess prychnęła. - Mówiłam mu, żeby nie opowiadał takich historii chłopakowi, ale Czerwony Księżyc nie słuchał. Na cześć tej legendy nazwał Marlona Biegnącym Łosiem. Mówił, że to dobrze mieć oparcie w takim bogu, który sprawia, że światła tańczą na niebie. A każdy przecież wie, że to niemożliwe. Żaden Murzyn nie widział, by gwiazdy tańczyły!

Roza poczuła, jak mocno bije jej serce. - To nie gwiazdy, Princess. A takie światło istnieje. Opowiem ci o nim...

Gdy Seamus i Peter zajechali przed chaty niewolników, nikt już nie śpiewał. Ale nadal dwie kobiety siedziały blisko siebie przy dawno wygasłym ognisku.

- Zostaw ją! - poprosił Peter. Seamus uległ, choć go to wiele kosztowało. Zasnął, zły, na stryszku nad stodołą. Gdy się obudził, był nadal sam.

Rozdział 7

Aleja prowadząca na Blossom Hill była tak długa, że Roza poczuła skurcz w brzuchu, jeszcze gdy była w połowie drogi między bramą a okazałym domem. Nie miała pojęcia, jakie drzewa rosną wzdłuż alei. Były ciemnozielone, ostro zakończone i wyciągały się tak wysoko, że pewnie w deszczowe dni sięgały chmur. Roza wątpiła, czy kiedykolwiek nauczy się rozpoznawać wszystko, co rosło, chodziło czy fruwało pod niebem Georgii.

Blossom Hill zasłużyło na swą nazwę: Kwitnące Wzgórze. Wznosiło się ku domowi, który wydawał się być pałacem z bajki lub fatamorganą w gorące dni. Po obu stronach alei, za drzewami i trawnikami, rozciągały się ogrody pełne kwia-

tów. Kwiaty rozkwitały we wszystkich kolorach tęczy, albo i jeszcze innych, stwierdziła Roza. Rozpoznała tylko róże, mimo że widziała je po raz pierwszy w życiu.

... Maxwell, to Maxwell opowiedział jej o różach, zanim się dowiedział, skąd pochodzi jej imię...

Przed domem był duży podjazd. Rozę ogarnęła ochota do śmiechu na wspomnienie nędznego wzgórzka porośniętego trawą i karłowatymi brzo-
zami przed The House. Oni uważali, że jest bardzo elegancki. To i droga, ścieżki w ogrodzie, trawniki i ten całkiem niepotrzebny podjazd.

Na Blossom Hill można było przejść spacerem naokoło podjazdu. Iskrzył się kwiatami w ostrych kolorach: czerwonym, białym, niebieskim, żółtym. Rozę ogarnęła chęć zanurzenia twarzy w tych kolorach i zapachach i napawania się ich pięknnością.

Ale pozostała w siodle. Nigdy nie lubiła jeździć konno, ale tu, jako żona Seamusa, wielokrotnie była do tego zmuszona. Teraz powinna wybrać damskie siodło, ale z dwojga złego wolała męskie.

Przeszło jej przez myśl, że może powinna była się także przebrać i zaprząć wóz. Wcisnąć się w gorset, włożyć krynolinę i czepek, którego falbanki i wstążki okryłyby jej twarz.

A tak siedziała niczym żona rozbójnika, w męskim siodle, w butach do konnej jazdy włożonych na boscie nogi, z halką i spódnicą podciągniętą nad kolana. Na bluzkę nałożyła aksamitny żakiet, zbyt ciepły na tę porę roku. Zapięła porządnie pod szyję stojący kołnierzyk wykończony koronką. Żakiet opinał jej figurę. Nie znalazła czepka, więc

złapała pierwszy lepszy kapelusz leżący przy wyjściu. Był za szeroki, ale chronił przed słońcem. Chyba należał do Joego. Później będzie przeproszać. To było ważniejsze.

Rezydencja Blossom Hill miała sześć kolumn przed wejściem. Dom był piętrowy, pomalowany na biało. Wzdłuż piętra biegły balkony. Pewnie to sypialnie, pomyślała Roza. Po obu stronach głównego budynku stały jednopiętrowe skrzydła. Także one przypominały jej The House, choć to, co widziała przed oczami, było o wiele większe. Okna obramowano na biało. Do drzwi wejściowych, także białych, prowadziły schody tak szerokie, że można by nimi wjechać dwukółką. Naliczyła osiem schodów. Zamierzała przekazać takie szczegóły Jenny, bo ona z pewnością pragnie przewyższyć wspaniałością swego domu dom Jordánów. Pewnie zarządzi dziesięć. Rosa zaśmiała się cicho na tę myśl, ale zaraz nabrała powietrza, by dokonać tego, po co tu przyjechała. Po co o świcie jechała konno co najmniej godzinę.

- Jared Jordan! - zawołała. - Jared Jordan, chcę z panem rozmawiać!

Obiecała sobie, że nie wejdzie do środka. Długo czekała, ale nie schodziła z końskiego grzbietu. Pride zaczęła się niepokoić, gdyż wyczuwała zdernerwowanie jeźdźca, jednak była spokojna z natury i słuchała rozkazów Rozy.

Wreszcie podwójne drzwi otworzyły się. Roza zerknęła spod runda kapelusza. Nie zamierzała już wołać. Czekwała, aż mężczyzna zszedł po tych ośmiu schodkach do niej. Roza trzymała głowę wysoko, by ukryć strach. Nieważne, co ten męż-

czyzna myślał, nie mógł jej nic zrobić. Seamus był jej mężem, a on pojechałby do piekła i z powrotem, by dopaść tego, kto ruszyłby choć włos z jej głowy.

Jared Jordan dobiegał pięćdziesiątki i nadal wyglądał wspaniale. W odróżnieniu od innych plantatorów nie chodził na co dzień w białych koszulach z koronkami. Owszem, koszulę miał białą, lecz ozdoby zachowywał na niedziele. Teraz nie zdążył założyć nawet kamizelki. Kciuki wsunięte miał za szelki. Spodnie opinały go ciasno i ukazywały, że zaczynał nabierać ciała, ale nadal mógłby uchodzić za kilka lat młodszego. Twarz miał sympatyczną w wyrazie, oczy bystre. Dobrze utrzymane wąsy okrywały uśmiechnięte usta.

- Czyżby to Madam O'Connor? - powiedział, wyciągając dłoń po wodze. - Mam nadzieję, że w Favourite wszystko w porządku? Pozwoli pani, że zaproszę ją na coś orzeźwiającego.

Jego spojrzenie ześlizgnęło się na kolano Rozy i na zbyt wysoko podwiniętą spódnicę odsłaniającą udo. Jared Jordan uśmiechnął się jeszcze szerzej, ale jego zachowanie nie przestało być uprzejme.

- Nie jestem przygotowany na wizytę tak... przyjemnego rodzaju o tej porze - mówił dalej.

- To nie jest żadna wizyta - ucięła Roza. Zdawała sobie sprawę, że była nieuprzejma, ale nie przyjechała tu, by konwersować z Jaredem Jordanem niezależnie od tego, jak miły mógł się wydawać ten łotr. - Żadna wizyta! Zdumiony, lub przynajmniej udający zdumienie, Jordan puścił wodze i zrobił krok w tył. Uśmiech jednak nie opuszczał jego ust.

- Przyjechałam, by kupić jednego z waszych niewolników!

Jordan uniósł brwi.

- Żona Seamusa O'Connora przyjeżdża do Blossom Hill, by kupić jednego z naszych niewolników! - Zaśmiał się do siebie. - Muszę przyznać, pani, że to brzmi zabawnie. Sądziłbym, że wy na Favourite jesteście lepiej zaopatrzeni w niewolników niż ktokolwiek z nas. Nie powinniście mieć przecież żadnych trudności ze zdobyciem nowych. O ile dobrze rozumiem, Seamus odnosi sukcesy właśnie... w zdobywaniu siły roboczej?

Roza zignorowała go.

- Pan posiada siedemnastoletniego chłopca imieniem Marlon. Chcę go kupić.

Uśmiech Jordana zwięził się do kreski. Krzywej kreski.

- Nie sądziłem, że moi sąsiedzi mają aż tak dobre rozeznanie wśród moich niewolników! Może pani O'Connor zna imiona jeszcze innych moich niewolników? Może pragnie kupić jeszcze innych?

- Tylko tego chłopca.

- On nie jest na sprzedaż.

- Jestem gotowa zapłacić dwa razy więcej, niż jest wart - powiedziała Roza, żałując, że nigdy nie pytała Seamusa, ile kosztuje niewolnik. Nie mogła o to spytać Princess, zresztą nie chciała. Miała to być dla niej niespodzianka.

- Dlaczego interesuje panią właśnie ten niewolnik? - spytał Jordan, unosząc jedną brew.

- Jego matka jest naszą niewolnicą - odparła Roza, choć nienawidziła tego określenia. Ale musiała używać języka zrozumiałego dla Jordana. -

Uważam, że nie powinno się oddzielać syna od matki.

Jordanowi nie schodził z ust nieprzyjemny, wąski uśmiešek.

- Młody człowiek lat siedemnastu nie musi się już trzymać spódnicy tej dziwki, która jest jego matką - rzucił ostrym tonem. - Ten niewolnik nie jest na sprzedaż, pani Rose. Jest moim jedynym niewolnikiem, którego nie sprzedam. Mógłbym zaproponować pani każdego innego nawet za pół ceny, byle sprawić pani przyjemność. Ale tego pani nie chce, czyż nie?

- Nie - odparła Roza. Jordan wyprostował plecy.

- Odnoszę wrażenie, że nie przekonam pani do wypicia czegoś orzeźwiającego? Mrożona herbata? Odrobinka sherry?

- Nie, dziękuję.

- A więc zmuszony będę do odprowadzenia pani do Favourite. Nie zniosę myśli, że będzie pani jechać sama w tak długą drogę. Wszystko może się zdarzyć. Każdy może się tam znaleźć. Może zbiegły niewolnik?

Czarnuchy nie pogardzą białoskórym ciałem, jeśli mogą je dostać bezkarnie...

Ponownie jego wzrok omiótł uda Rozy, a ona ponownie go zignorowała.

Użyła wodzy, pięt i kolan, by zmusić Pride do zawrócenia.

Nadal znajdowała się w obrębie posiadłości, gdy dogonił ją Jordan.

Szybko osiodłał swojego czarnego ogiera. Pride zaniepokoiła się, ale

Roza, choć z trudem, zdołała ją opanować.

- Jak wspomniałem, nie mogę pozwolić, by młoda kobieta jechała sama tak daleko - rzucił Jared

Jordan lekkim tonem, jadąc obok Rozy. - Zwłaszcza tak zajmująca jak pani, Rose. W pani towarzystwie łatwo zapomnieć, że pani twarz jest okaleczona. Jak to się stało?

Roza zacisnęła usta. Wiedziała, że mu nie ucieknie, więc przynajmniej postanowiła się nie odzywać. Nie musi z nim rozmawiać ani na niego patrzeć. Zignoruje go.

Rzuci na niego przekleństwo...

Będzie tego świadkiem...

... Marlon jest w jego władzy...

- Princess nie widziała jej od czasu, gdy Rosi sobie poszła, a była jeszcze noc - powiedziała Fiona. - Jest jej bardzo przykro. Mówi, że to jej wina, że pani się tym aż tak przejęła.

- Ma rację - przyznał Seamus. - Jak mogliście do tego dopuścić? Jak ona mogła aż tak spoufalić się z czarnuchami? Musieliście się domyślać!

Chyba mogłem mieć zaufanie do własnej rodziny?! Gdybym wiedział, zabrałbym Rosi ze sobą. Gorzej by nie było niż tu!

- Teraz przesadziłeś - odezwał się Joe i wcisnął swego starszego i silniejszego brata w krzesło.

- Gdzie ona jest? - spytał Seamus.

- A jak sądzisz? - rzucił Joe wyzywająco. Oparł się o ścianę, krzyżując ręce na piersi. - Rosi przejęła się synem Princess. Sprawy nie polepszył fakt, że obcięli mu ucho...

- Co za okropność! - zadrżała Fiona, krzywiąc się.

- Pride zniknęła, Rosi też - mówił dalej Joe. -Gdybym myślał jak ona, pojechałbym do Blossom Hill i zaproponował kupno chłopaka.

- Chyba nie jest taka głupia! - wykrzyknął Seamus. - Tak się nie robi!
- A Rosi o tym wie? - spytał Joe.
- Pojedziesz ze mną! - rzekł Seamus rozkazująco do młodszego brata.
- Tak też myślałem - mruknął Joe.

Szybko osiodłał konia i popędził za Seamusem.

Byli w połowie drogi do Blossom Hill, gdy dostrzegli dwoje jeźdźców podążających w ich kierunku. Joe wstrzymał konia, zanim zrobił to Seamus. Bał się, że brat zrobi coś nieprzemyślanego. Seamus był nieobliczalny, gdy chodziło o Rosę, ale zdawał sobie sprawę z pozycji, jaką zajmował w okolicy Jared Jordan. Wiele by ich kosztowało zadarcie z nim. Wstrzymał Warriora i zawrócił do Joego. Obaj czekali na grzbietach koni.

- Ona nie myśli jak ty czy ja - powiedział Joe cicho.
- Staram się o tym pamiętać.
- Czy Peter rozmawiał z tobą? Seamus spojrzał na brata surowo.
- Wiesz, o czym ze mną rozmawiał?

Joe uśmiechnął się. Seamus uświadomił sobie, że oto widzi własny uśmiech! Ten, którego czarem rozbrajał irytacje i budzący się gniew. Ten, którego sam tak często używał.

- Tylko mi nie mów, że ona się tobie zwierzyła!

Seamus starał się przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek widział Joego okazującego Rosi więcej zainteresowania niż powinien. Nie był pewien, czy może to wykluczyć. Nie wiedział, czy mógł ufać

temu czarującemu łobuzowi. Nie wiedział, czy nadal może ufać Rosi...

- Nie zrobiła tego - rzucił lekkim tonem Joe. - Odpreż się, bracie! To Peter ze mną rozmawiał, zanim wyjechaliśmy z Irlandii.

- Rosi wie, że ty wiesz?

- Tak.

- Cholera! - przeklął Seamus. - Czyżbym był jedynym, który nic nie wiedział?

- No, nie - stwierdził Joe. - Ale to coś tłumaczy. Nie powinieneś się na nią złościć!

- Zobaczymy!

Złość się w nim gotowała, gdy ujrzał rude włosy trzepoczące na wietrze, wyrwane spod męskiego kapelusza. Poczul jeszcze większą złość, gdy dostrzegł, że spódnica odsłaniała zbyt wiele z jej nóg. A żakiet, który wybrała, pozostawiał niewiele pola do wyobraźni, i był pewien, że oczom Jareda Jordana nic z tego nie umknęło.

Powszechnie wiadano w Georgii, że szlachetny Jordan potrafi używać życia. Miał więcej dzieci z niewolnicami niż z własną żoną, którą zresztą stracił przy porodzie najmłodszego dziecka, córki Jennifer.

Poza tym szeptano o jego licznych romansach, uciszanych większą ilością pieniędzy. Najczęściej jego wybrankami były młode debiutantki z towarzystwa. Wiele córek plantatorów wysyłano nagle do krewnych w Savannah lub wręcz za granicę. Jareda Jordana stać było na takie zachcianki i zawsze dostawał to, czego pragnął.

Roza miała całkiem sztywną twarz od wiatru, słońca i kurzu, no i od zaciskania zębów w czasie podróży z Jaredem Jordanem. Jego zdawało się

bawić jej milczenie i mówił przez cały czas. Roza starała się nie słuchać, ale towarzysz okazał się całkiem zajmujący, czasami prowokujący, i zawsze w porę zmieniał temat. Roza w rezultacie wysłuchała prawie wszystkiego, co mówił. I podejrzewała, że on o tym doskonale wiedział.

- Oto pani mąż, pani Rose - zaśmiał się, zobaczywszy dwóch jeźdźców przed nimi. - Byłbym zawiedziony, gdyby Seamus po panią nie wyjechał. Zastanawiałbym się wtedy, jak wysoko ceni on własną żonę.

- Teraz już pan wie? - wyrwało się Rozie, która zapomniała o swoim postanowieniu.

- Mam pewne pojęcie - odparł Jared Jordan. - Nie zdziwiło mnie to. Ja też bym pojechał za panią, Rose, gdyby była pani moją żoną i zniknęła. Co więcej: ja nigdy nie dałbym pani zniknąć!

Roza uznała, że to nie zabrzmiało jak komplement, a raczej ją przestraszyło. Mówiła sobie, że nie powinna się bać takich mężczyzn, jak Jordan. Nie różnił się niczym od mężczyzn w Verket. Nie różnił się od Davida. Jednak coś w spokojnej, a jednocześnie pełnej pasji powadze tego bogatego plantatora sprawiało, że zimny dreszcz przechodził jej po plecach.

Bała się także gniewu Seamusa. Po drodze z Blossom Hill uświadomiła sobie, jak jej postępek był niewłaściwy. Źle, że przyjechała z ofertą. Źle, że w takim stroju. Źle, że konno zamiast przykładowie w powozie. Źle, że w męskim siodle. Seamus na pewno znajdzie więcej tak niewłaściwych przykładów, z których nie zdawała sobie sprawy. Jared Jordan też pewnie je zauważył.

Przejechała obok Seamusa i zatrzymała się koło Joego. Odwróciła Pride, by mieć widok na męża. Joe uśmiechnął się do niej pocieszająco.

- Mój kapelusz ładniej wygląda na tobie niż na mnie, Rosi.

Seamus pozdrowił sztywno Jareda Jordana. Joe skinął głową mniej formalnie. Z trudem ukrywał, że właściwie bawi go ta cała sytuacja.

Nawet Roza poczuła, że ogarnia ją ochota do śmiechu, gdy spojrzała wesoło, szare oczy szwagra. Śmiech niemal z nich eksplodował, lecz Joe zacisnął usta, starając się wyglądać poważnie. Nie chciał przynieść wstydu rodowi O'Connor.

- Uprzejmie z pana strony, że eskortował pan moją żonę w drodze powrotnej - rzucił Seamus sztywno. Udało mu się nawet wykrzesać uśmiech.

- Tylko to mogłem dla niej zrobić - odparł równie uprzejmie Jared Jordan.

- Pana czarująca małżonka nie chciała nawet słyszeć o poczęstunku.

Chciałem zaproponować jej odwiezienie powozem, ale wydaje się samodzielną, nowoczesną kobietą, która sama podejmuje decyzje.

Roza czuła, że to właściwie była obraza dla Seamusa. Jordan wyraził zawołowaną opinię, że Seamus nie ma władzy nad swoją żoną, co umniejszało go jako mężczyznę.

- Ja i tak zamierzałem przejechać się do Favourite - wyjaśnił Jordan. - Nie wiedziałem, że pan już wrócił do domu. Sprawiłoby nam przyjemność, gdyby pan, jego czarująca małżonka i cała rodzina zaszczylicili nas swoją obecnością na urodzinach mojego syna, Jareda juniora, w niedzielę za dwa tygodnie. Skończy dwadzieścia jeden lat

i mam nadzieję, że przybędzie do nas tyle dziewcząt w odpowiednim wieku, że może syn zainteresuje się którąś z nich. Wśród O'Connorów jest może ktoś taki?

Seamus uśmiechnął się sztywno i powiedział, że nikt nie ma jeszcze na tyle dorosłej córki.

- Na szczęście - mruknął Joe niedosłyszalnie.

- Ale dziękujemy za zaproszenie - mówił dalej Seamus. - Może pan liczyć na mnie, moją żonę i pewnie kilku z braci z żonami.

- Będę państwa oczekiwał - uśmiechnął się Jared Jordan, patrząc mimo Seamusa wprost na Rozę. - Pana żona złożyła mi arcyciekawą propozycję. Zaoferowała podwójną cenę za jednego z moich niewolników. - Błysnął białym uśmiechem. - Usprawiedliwiłem się już przed pana żoną, że nie mogę przyjąć jej szczodrej oferty, gdyż ten czarnuch jest jedynym nie na sprzedaż. Nadal jest mi wiele winien. Gdybym miał go sprzedać, musiałbym zażądać tak wysokiej ceny, że zapłata jej zrujnowałaby opinię pani O'Connor. A wtedy pan O'Connor musiałby mnie wyzwąć na pojedynek. Sądzę jednak, że Stany Południowe zyskają na tym, że tak się nie stanie. Georgia potrzebuje i mnie, i pana Seamusa. Dlatego nie wymienię mojej ceny, mimo że bardzo mnie to kusi, o pani.

Pstryknął w rondo kapelusza i pożegnał się z Seamusem.

- Znajomość z panią była niezwykle ożywcza, pani Rose - dodał jeszcze Jared Jordan, cofając konia.

Roza westchnęła i pochyliła głowę.

- Zostaję - obiecał Joe.

Seamus patrzył na Rozę bez słowa, po czym wbił ostrogi w boki Warriora i pogalopował, pozostawiając za sobą biały kurz.

- To minie - powiedział Joe. - Zawsze mija.

Rozdział 8

- Ile kosztuje niewolnik? - spytała Roza. Była wdzięczna Joemu, że jada spokojnym kłusem.

- Rzeczywiście złożyłaś szczodłą ofertę - rzucił Joe z czającym uśmiechem. - Ja za tyle pewnie sprzedałbym Seamusa.

- Ile kosztuje niewolnik? - powtórzyła pytanie, nieskora do żartów.

Joe zrozumiał, jak ciężko jest Rosi. Zawstydził się, że chciał żartować, ale już taki był. Zawsze starał się odnaleźć mniej poważną stronę życia.

Każdą przeciwność losu łatwiej zwalczyć, śmiejąc się z niej. Uświadomił sobie, że Rosi nie śmiała się tak często. Nie uciekała w żart.

Przez chwilę jechali obok siebie w milczeniu. Wreszcie Joe zebrał się w sobie, by odpowiedzieć jej z powagą, na jaką zasługiwała. Odchrząknął.

- Młody, zdrowy, zdolny do pracy mężczyzna - sędzę, że około tysiąca dolarów. Kilka setek mniej za kobietę. Ze trzy stowy za dzieci, no chyba że to są młode dziewczęta, które niedługo będą mogły same mieć dzieci. Te idą za cztery, pięć

setek. Jeśli kobieta umie gotować, to może osiągnąć cenę tysiąca stu dolarów, nawet tysiąca dwustu, jeśli kupujący lubi dobrze zjeść. A młodzi mężczyźni, którzy mają jakiś fach w ręku, mogą kosztować nawet trzy tysiące.

- Aż tyle?

Joe wzruszył ramionami, nie patrząc na Rozę. Sam nie czuł się najlepiej, mówiąc to. Może nie powinien tego wiedzieć. Porządni ludzie tego nie wiedzieli. Niektórzy nie chcieli wiedzieć. Zastanawiał się, co pomyślałaby jego matka, gdyby go teraz słyszała.

Bolało go, gdy wymieniał cenę za ludzi. Zwykle tego unikał, unikał nawet myśli o tym. Odpowiadało mu, że to Seamus zajmował się interesami dotyczącymi niewolników.

- Chyba wiele ludzi zakłada plantacje w innych stanach - powiedział, tłumacząc, dlaczego ceny są tak wysokie. - W Missisipi, Arkansas, Alabamie, Teksasie. Wiele rąk potrzeba do karczowania i uprawy nowego terenu. Handel niewolnikami należy do wielkich kompanii. - Zamilkł na chwilę i dodał: - Legalny handel.

- W jaki sposób działa Seamus? - spytała Roza, z trudem poruszając wysuszonymi wargami.

Słońce nadało jej skórze różowy odcień, którego dotychczas uniknęła. Przebywała na dworze już wiele godzin i przez dobre kilka godzin kapelusz wisiał jej na plecach. Usta ją paliły, czuła, że naskórek stał się cienki jak papier, suchy i popękany.

- Są plantatorzy, którzy nie zgłaszają, gdy niewolnik im umrze lub ucieknie. Wtedy mogą go zastąpić innym. Dokumenty można dorobić,

stemple kupić. Wszyscy, których Seamus i Hart sprowadzili, mają dokumenty na to, że się urodzili tu, w Stanach Południowych. Może nie w tym, w którym przebywają, bo trudniej sprawdzić dokumenty z innego stanu. Zresztą tutejsze władze nie przejmują się dokładnym dochodzeniem. To Jankesi nie lubią niewolnictwa.

- A ty, Joe? - spytała Roza. - Lubisz niewolnictwo?

- Nie można mówić w tym przypadku o lubieniu czy nie - odparł.

- Ja nie lubię - rzuciła Roza gorąco. - Nienawidzę tego, Joe!

- Zmienia to w twoich oczach Seamusa? - spytał Joe całkiem poważnie. Roza milczała.

- On cię też nie rozumie - powiedział Joe. -Wiele z ciebie zupełnie nie pojmuję, ale mimo to cię kocha. Nie może inaczej. Mógłby się wyrzec wszystkiego innego w życiu, absolutnie wszystkiego, tylko nie ciebie, Rosi. Może da ci to do myślenia."

Myślała cały czas. Całą drogę. Myślała, od kiedy spotkała Seamusa po raz pierwszy, w stajni na plebanii jego wujka Franka.

... wszystko się zaczęło dlatego, że Daisy pragnęła dziecka Davida ponad wszystko inne...

Nie, nie będzie myślała o chłopcu.

A może to się zaczęło dużo wcześniej?

Może ona i Seamus byli sobie przeznaczeni?

... część większego planu...

- Uważasz, że są ludzie urodzeni dla siebie nawzajem?

Jechali przez otwarty teren. Było zielono, ale nie tak jaskrawo zielono jak potrafi być na północy. Zielono w inny sposób niż w Irlandii, gdzie istniało tyle odcieni tego koloru. Drzewa rosły tutaj ogromne, korony rozgałęziały się szeroko, pnie trudno było objąć w pojedynkę. Wszystko było obce i dziwne, i Roza z trudem pojmowała, że to właśnie jest krajobraz, który kiedyś nazwie swoim, że kiedyś będzie to jej ojczyzna.

- Pytasz, czy słyszałem opowieści Seamusa o tej, z którą ma się ożenić? - spytał Joe, unosząc lewą brew. - Jestem jego bratem. Oczywiście, że słyszałem! Gdy byłem mały, sądziłem, że to bajka. Ale żadna z historii opowiadanych w naszym domu nie była tylko bajką. We wszystkim było nieco zmyślenia, ale także nieco rzeczywistości. Nie tak łatwo je odróżnić. Wszyscy czekaliśmy, kiedy Se-amus znajdzie tę swoją kobietę. Aż mną wstrząsnęło, gdy po raz pierwszy cię ujrzałem...

- Wierzysz w to? Że jestem urodzona dla niego? A on dla mnie? Cóż to za los, być urodzonym dla innego człowieka?

- Może nie taki najgorszy, Rosi - odparł Joe. - Ja nie wiem, czy urodziłem się dla Jenny albo ona dla mnie, ale gdy ją zobaczyłem, nie wahałem się długo. Wydało mi się, że ona zawsze istniała w moich myślach, zupełnie jakbym ją znał, jakbym wiedział, kogo szukam. Ale nigdy z góry nie umiałem opisać tej, z którą się ożenię, jako ciemnowłosa i brązowooka, z ustami, które potrafią kapryścić i śmiać się w równie słodki sposób.

Jechał przez dłuższą chwilę, patrząc na Rozę.

- Ale mój brat cię opisał. Opisał tak dokładnie,

jakby wcześniej cię widział. Nie wiem, czy to był przypadek. Nie wiem, czy mu się śniłaś. Czy elfy mu to opowiedziały. Albo czy sobie postanowił, że właśnie tak ma wyglądać jego żona. Nie wiem. Ale gdy cię ujrzał, nie miał wątpliwości...

- Takie rzeczy mnie przerażają - wyznała Roza. - Nie jestem przyzwyczajona, że coś się zdarza przypadkowo, ale jeśli dzieje się według jakiegoś planu, wtedy się boję.

Włożyła ponownie kapelusz, niemal tonąc pod nim. Joe z trudem ukrył uśmiech.

- Spytałbyś Jordana, Joe? On się ze mnie naśmiewał. Potraktował jak głupie dziecko. Nie sądzę, żeby brał kobiety na poważnie. Ale może tobie sprzeda chłopca...

- Tak to dla ciebie ważne? - Tak.

- Uważam, że powinnaś poprosić o to Seamusa - powiedział Joe, wstrzymując jej konia. - Byłoby bardzo źle, gdyby ktoś z nas to dla ciebie zrobił.

- Mimo że uratowałyby to czyjeś życie? - spytała Roza cicho.

- Proszę cię, byś go nie raniła! - rzekł Joe. - Lubię cię, jestem twoim przyjacielem, mógłbym wiele dla ciebie zrobić, ale nie to!

Seamus czekał na nich na niewielkim wzniesieniu, skąd widać było domy w Favourite. Potoczek tworzył tu rozlewisko, na skraju którego rosła soczysta, miękka trawa. Konie zawsze były zadowolone, gdy się tu zatrzymywano. Niskie zarośla dochodziły do brzegu wody, kilka drzew rzucało cień

zachęcający do odpoczynku, ale poza tym widoku na dużą część plantacji Favourite nie zasłaniało nic.

Seamus uwiązał konia do jednego z drzew i stał, rzucając kamyki do wody.

- Możesz jechać dalej, Joseph - oznajmił, nie odwracając się do nich. - Sam odprowadzę stąd moją żonę. Zakładam, że pani Rose zejdzie z Pride o własnych siłach, skoro bez żadnej pomocy wsiadła na jej grzbiet.

Joe zignorował jego uwagę, zsiadł z Tristana i bez słowa, z pobłażliwym uśmiechem wyciągnął dłoń do Rozy. Wzrokiem poprosił ją, by się nie przejmowała.

Roza była tak obolała, że musiała przytrzymać się Joego, gdy już zeszła na ziemię. Oparła się czołem o jego pierś, on trzymał ją za przedramiona, z dala od siebie.

- Dzięki - mruknęła Roza cicho, odsuwając się od szwagra.

Joe mrugnął do niej i złapał za rondo swego kapelusza. Rzemyk zaplątał się w jej włosy, musiał więc znów zbliżyć się do niej, by go wyplątać bez szarpania.

- Macie takie same dłonie - wyrwało się jej. Patrzyła na jego opalone dłonie, silne palce, które wydawały się kanciaste, mimo że były całkiem długie. Opuszki palców były prosto zakończone, nie owalnie jak jej, może to dlatego oszukiwały wzrok.

Joe nie odpowiedział. Musiał szarpnąć ją za włosy, ponieważ chciał jak najszybciej wyplątać rzemyk. Spojrzenie Seamusa paliło mu kark.

Wolałby nie spojrzeć mu w oczy, choć wiedział, że powi-

nien, by brat nie wyobraził sobie jeszcze czegoś. Oczywiście, że Seamus wszystko słyszał. Oczywiście, że płonął w nim zielony ogień zazdrości. Joe odetchnął z ulgą, gdy wreszcie uwolnił kapelusz. Rozkręcił go na palcu i rzucił w powietrze, łapiąc po chwili. Seamus pewnie uważał, że przedłuży pożegnanie.

- W końcu on jest mój - rzucił Joe, poklepując kapelusz jak psa. - Woleę, żeby moje kapelusze były mi wierne, Rosi! - dodał żartobliwie. - Uwiążę Pride - rzekł, odwracając się wreszcie od nich.

Roza wstrząsnęła karkiem, ukazując więcej twarzy spod włosów. Zebrała całą odwagę, idąc w stronę Seamusa. Myślała jednak, że nie tak być powinno pomiędzy nimi. On aż tak na nią zły, a ona aż w takim strachu.

- Mój brat okazuje ci wzruszającą troskę - stwierdził, gdy oddalił się odgłos kopyt Tristana.

Roza stała nad wodą. Zerknęła na męża przelotnie. Stała w ten sposób, by on nie mógł nic wyczytać z jej twarzy. Lewą stroną.

- Wybaczam ci - powiedział, nabrawszy głęboko powietrza. Jeszcze na nią nie patrzył. Wzrok kierował prosto przed siebie. Ręce miał wbite w kieszenie, jakby dla pewności, że jej nie dotknie ani nie zrobi niczego, czego mógłby potem żałować. - Wybaczam ci, Rose, ale chcę o tym porozmawiać. Tylko ten jeden raz. Potem chcę o tym zapomnieć. Możesz mi to obiecać?

- Nie wiem - odparła Roza sztywnym tonem. - Zależy, co chcesz powiedzieć.

- To nie wystarczy, nie rozumiesz? Nieznane ptaki śpiewały z koron drzew. Roza

słyszała też trzepot ich skrzydeł. Zastanawiała się, jak mogą one wytrzymać narastający upał. Pewnego dnia poprosi Seamusa, by ją nauczył, jak się nazywają.

Ale jeszcze nie dziś...

Może nie będzie chciał...

- Nie mogę obiecać ci czegoś, jeśli nie wiem, czy będę mogła dotrzymać słowa - odparła równie uparcie jak on. Nie na darmo była córką Samuela. Stawała dęba i sprzeciwiała się ojcu niezliczone razy, i wygrywała, nawet zanim stał się kaleką. - Nie lubię kłamać, Seamusie.

- A to, co się działo w nocy? - spytał, z trudem powstrzymując emocje. - A dziś rano?

- To nie było kłamstwo - zapewniła Roza. - To, co zrobiłam rano, było... nieprzemyślane. Ale nie chciałam cię okłamać. Nie chciałam cię zwodzić...

- Nie chciałaś ukryć tego przede mną? Mówił ostrym tonem, całą swą napiętą postacią

dawał do zrozumienia, że ją odpycha. Jakże chciała przytulić się do jego piersi, usłyszeć bicie jego serca, poczuć się u siebie... Ale on teraz by jej nie przytulił. A Roza nie zniosłaby odrzucenia.

- Nie mogłam cię spytać - powiedziała wreszcie, udręczona.

- Dlaczego nie?

- Odmówiłbyś - odparła. - Nie zrozumiałbyś. Powiedziałbyś, że tak się nie robi w Georgii...

- I masz cholerną rację! - wykrzyknął, odwracając się wreszcie do niej. - Kiedy przyszły ci te myśli, Rosi? Teraz?

- Gdy zatrzymałam się przed Blossom Hill -wyjaśniła.

- Ale nie zawróciłaś? Pokręciła głową.
- Nie umiem zawracać, Seamusie. Nie umiem przyznawać się do błędów...
- A uważasz, że popełniłaś błąd?

- Nie.

Pochylił głowę, wydmuchując głośno powietrze, zanim się zaśmiał, zrezygnowany. Kręcone włosy zyskały nowy, złocisty blask, oświetlone przez słońce, gdy potrząsnął głową. Kopnął kępę traw, aż wyrwał ją z korzeniami.

- A więc czego żałujesz, pani O'Connor? - spytał Seamus. - Czy w ogóle czegokolwiek żałujesz?

- Bez względu na wszystko - powiedziała Roza spokojnie - spróbowałabym kupić syna Princess. Skłoniłabym cię do pytania o to... Seamus zaśmiał się ochryple. Jakiś ptak podjął ton jego śmiechu w koronie drzewa. Roza zadrżała.

- Albo poprosiłabym kogoś innego, by spytał...

- Petera, Joego? - spytał Seamus anielsko spokojnym głosem.

- ... albo sama bym spytała - dodała. - Czego żałuję, to tego, że zrobiłam to bez twojej wiedzy. Że pojechałam tam konno. Ubrana tak, jak byłam ubrana. Że rozmawiałam z Jordanem w taki sposób, że on poczuł, iż może do mnie mówić, jak mówił...

Seamus rzucił przekleństwo przez zaciśnięte usta i porwał Rozę.

Przeklinał sam siebie za swoją słabość, ale nie mógł inaczej. Poza tym nie wytrzymał wspomnienia wzroku Jareda Jordana, który niemal lizał odsłonięte uda Rosi. Bał się przecież o nią, choć teraz był zły. Po prostu musiał ją objąć,

poczuć zapach jej włosów i zanurzyć twarz w czerwonym ogniu chłodnego jedwabiu.

Pocałował ją bez słów. Pocałunki spadły deszczem na jej twarz. Jedną dłoń zanurzył w powodzi włosów na jej karku, a wargami otworzył jej usta. Język wszedł pomiędzy jej zęby, jego usta były gorące, gwałtowne, twarde i stęsknione. Jej wargi nadażały za jego wargami, nie chciały się z nimi rozłączyć. Roza pragnęła, by ten pocałunek mógł wymazać wszelkie nieporozumienia. By wszystko, co do czego się nie zgadzali, mogło się stopić w żarze ich pożądania, które rosło pomiędzy nimi, zrodzone z tego jednego pocałunku.

Seamus ścisnął ją tak mocno, że Roza bała się, że się przełamie na pół. Jednocześnie było jej dobrze, spełniały się jej wszelkie tęsknoty, wszelkie marzenia. Gdy on był z nią, zawsze pragnęła, by właśnie tak ją obejmował, z pasją, z pożądaniem; pragnęła, by się zaczęli kochać. Gdy go nie było, to właśnie za takimi chwilami tęskniła, za takimi płakała. To właśnie to...

Ta szalona namiętność...

Seamus użył wolnej ręki, by rozpiąć jej żakiet.

- Niemożliwe, byś miała pod nim wiele... - wyszeptał ochryple, gładząc ustami linię jej szyi.

Jego wzrok potwierdził przypuszczenia: miała na sobie na wpół rozpiętą cienką bluzkę. Złość się w nim zagotowała, gdy pomyślał, że tak siedziała poprzedniej nocy pomiędzy chatami niewolników. Wyobraził sobie płonący, żarłoczny wzrok czarnuchów, którym patrzyli na nią chciwie, i aż stęknął z bezsilności. Zdusił jednak gniew kolejnym zachłannym pocałunkiem. Całował ją, aż jęk-

nęła. Jego dłoń, wyszarpująca jej bluzkę ze spódnicy, działała gwałtownie i gniewnie. Palce, którymi objął jej pierś, ścisnęły mocniej, niż zamierzał. Złagodniał nieco, gdy poczuł, że przynajmniej miała na sobie gorset. A więc zostało jej jakieś poczucie przyzwoitości, nie działała całkiem bezmyślnie.

Puścił kark Rozy i opadł na kolana, przyciągając ją bliżej do siebie. Z pasją zarzucił do góry jej spódnicę i halkę. Dłonie wędrowały po udach, pogładziły zagłębienie z tyłu kolan, aż Roza jęknęła z przyjemności. Seamus uśmiechnął się leniwie. Gładził coraz dalej, odsłaniał coraz więcej skóry, tyle, ile mógł widzieć Jared Jordan. Seamus czuł, jak jest podniecony. Zastanawiał się, jakie wrażenia z jazdy odniósł ten cholerny Jordan. Pewnego dnia zapłaci za to, że patrzył zbyt długo na żonę Seamusa O'Connora!

Ale teraz przestał o tym myśleć. Uniósł jej spódnicę jeszcze wyżej. Palcami gładził rudą kępkę włosów między jej udami, a gdy wbiła dłonie w jego ramiona i wygięła się ku niemu, zaczął działać odważniej, jego palce pieściły jeszcze mocniej, aż sprawiły, że Roza wydała jęk rozkoszy. Roza czuła, że za każdym razem, gdy Seamus dawał jej rozkosz, przenosząc ją poza rzeczywistość, ona umiera. Umiera i rodzi się na nowo. Nigdy z niego nie zrezygnuje, zawsze będzie chciała więcej, zawsze.

Pociągnął ją za sobą w trawę i śmiał się gardłowo, gdy Roza z pośpiechem rozpięła jego spodnie i ściągała koszulę z jego barczystych ramion. Cały czas go całowała, całowała, gryzła deli-

katnie, smakowała jego twarz, usta, szyję i szeroką pierś, a jednocześnie pomagała mu wyzwolić się ze spodni i butów.

On zdjął jej bluzkę i rozwiązał gorset tak, by mógł pieścić jej unoszące się ku niemu piersi. Roza z niecierpliwością pociągnęła go na siebie, rozchylając przed nim uda. Gdy włożył swoje udo pomiędzy jej, ścisnęła je, napierając na niego łonem. Była niczym ogień, lawa i sztorm jednocześnie. Miała wielkie wymagania, ale Seamus właśnie to w niej uwielbiał, bo odzwierciedlały jego wymagania. On też wiele oczekiwał i nie chciał się zawieść.

Wszedł w nią gwałtownie, zadziwiając ją. Jej oczy rozszerzyły się, ale zaraz zmrużyły i wyczytał z nich, że to, co robi z nią, dla niej, sprawia jej ogromną przyjemność.

Roza szła za nim. Wstrzymywała go. Ścisnęła jedwabistym uściskiem, ramionami, nogami, ciepłem. Puszczęła. Podniecała. Seamus walczył niczym tonący, by jej nie zawieść. Pociemniało mu przed oczami. Wiedział, że nie powinien być tak niepohamowany, ale nie wiedział też, czy mógłby inaczej. To ona nim sterowała...

To ona uśmiechnęła się po swojemu, wpół diabelsko, wpół anielsko. Jej oczy rozświetliły się jak lodowiec w słońcu. Skłoniła go, by użył swojego ciała niczym bata, by ją pod sobą zmiażdżył, roztarł na pył...

Jej palce wbijały mu się w plecy, ścisnęły pośladki, obejmowały biodra, idąc jego rytmem lub wbijając go w siebie swoim, napotykać go tą samą burzą.

Jej usta wyciągnęły się ku niemu i Seamus pocałował ją gwałtownie. Jej krzyk, zagłuszony po-

całunkiem, był niczym krzyk ptaka. Jej palce drżały na jego skórze, on ciął niczym miecz, czując jej falowanie, i napełnił ją, zanim przestała. Napełnił ciepłem i początkiem życia, sam drząc niczym na mrozie.

- Kocham cię, Rosi O'Connor - wyszeptał i pocałował jej spocone czoło. Otworzył oczy dopiero potem, bo bał się, że coś w jej spojrzeniu mogłoby zdążyć naderwać to potężne i piękne uczucie, które czuł w sercu.

- Kocham cię, Seamusie - odszepnęła cicho niczym podmuch wiatru. Gdy ponownie otworzyli oczy, gdy już stali na nogach, a on w koszuli łożopoczącej na wietrze pomagał jej zapiąć żakiet, wiedzieli oboje, że coś między nimi cały czas się zmienia.

- Będziemy musieli iść na ten bal, moja piękna - powiedział, muskając ustami jej poparzony policzek. Jego usta były wtedy szczególnie czułe. Roza zeszywniała.

- Ja nie pójdę na bal do Jordanów!

- Właśnie to ty będziesz musiała, słodka Rosi. Jeśli się nie zgodzisz, bym przyjął zaproszenie w imieniu nas obojga, pozwolisz mu, by ze mnie szydził. A to nie jest twoim celem, kochana?

Roza spojrzała na męża. Poczuła, jak jego ciało staje się znów sztywne i odpychające. Mogła dać mu tylko jedną odpowiedź.

- To nie jest moim celem. Oczywiście, że nie możesz mu odpowiedzieć inaczej, niż że przyjdziemy...

- Oczywiście, że nie - rzucił Seamus, całując ją lekko w usta.

Ubrał się szybko. Wciągnął buty do konnej jazdy. Wszystko, co robił, wydawało się tak proste: od codziennych czynności do ważnych i trudnych decyzji. Wydawało się, że widział przed sobą tylko wyraźne linie, żadnych wiodących w bok...

Z ramieniem obejmującym władczo Rozę w talii podprowadził ją do Pride. Poklepał klacz i odgarnął włosy z twarzy Rozy. Rozplątał palcami supły i powybierał źdźbła traw ze znaczącym uśmiechem błędzącym w kącikach ust.

Teraz on był jej czarnym aniołem, przemknęło Rozie przez myśl.

Wiedziała jednak, że jeśli któreś z nich było przeklęte, to właśnie ona...

- Pamiętasz, że mówiłem ci, iż słońce nie jest dla ciebie wskazane? - powiedział cicho, dotykając jej gładkiego policzka.

Roza poczuła, że nawet taka pieśczoła sprawia jej ból.

Seamus zdjął swój kapelusz i włożył jej na głowę.

- Następnym razem, gdy nie będziesz mogła znaleźć własnego czepka, postaraj się o taki, który na ciebie pasuje, kochanie!

Ujął ją w talii i podniósł na koński grzbiet. Nie powiedzieli już nic więcej w drodze do Favourite.

Ze swojej kryjówki po drugiej stronie zarośli podniósł się i wyprostował na całą swoją wysokość mężczyzna. Śmiał się do siebie, zapinając spodnie. Przejechał wilgotnymi dłońmi przez włosy, myśląc, że pani Rose nie zawiódła jego wyobrażeń. A może nawet je przerosła...

Rozdział 9

- A więc odzyskałeś kapelusz? - rzuciła Jenny na Piilllplllillii¹ powitanie Joego. - Zakładam, że znaleźliście nie tylko kapelusz? Seamus chciał z nią rozmawiać i miał rację! Jak tym razem nas ośmieszyła? Może mamy szczęście, że nie jesteśmy jeszcze w

liczącym się towarzystwie, bo pewnie zadbała o to, byśmy się nie pokazywali ludziom na oczy, zanim Nicky nie dorośnie do ożenku!

Joe wziął ich dwuletniego synka od Jenny. Niosła go na biodrze, tak jak kobiety w Irlandii. Tak, jak niewolnice tutaj...

- Niech Seamus powie, co trzeba - uśmiechnął się. - To on jest jej mężem. - Cieszy mnie, że o tym pamiętasz! - prychnęła jego ciemnowłosa, młoda żona. Zmrużyła oczy znacząco.

Joe nie chciał marnować czasu na tłumaczenie jej, że niepotrzebnie coś podejrzewa. Tłumaczenia jeszcze bardziej by ją w tym utwierdziły. Poza tym pochlebiało mu, że nie ukrywa swojej zazdrości. Dobrze było wiedzieć, że użyłaby pazurów, gdyby uważała, że jakaś inna się nim interesuje. Ze uważa, iż warto dla niego stracić kilka piórek. Uśmiechnął się, zadając sobie pytanie, czy on sam bywał o nią zazdrosny. Były czasy, gdy Jenny uda-

wała niedostępną. Nie sądzi jednak, by był zazdrosny, gdy Jenny tańczyła z jego kolegami. Jego wzrok szukał jej uśmiechu, bo gdy się uśmiechała, wiedział, że jest szczęśliwa. A szczęście Jenny wiele dla niego znaczyło. Nie starałby się tak bardzo, gdyby stwierdził, że ktoś inny jest w stanie ofiarować jej więcej szczęścia niż on. Dopiero gdy zrozumiał, że ona chce właśnie jego, poszedł na całość. Wszyscy sądzili, że to ona go uwiodła, ale on pragnął, by tak się stało. Pragnął tego dziecka bardziej niż Jenny, bo znaczyło ono, że nikt ich już nie rozdzieli.

Nicky był naprawdę dzieckiem miłości. Był oczekiwany jak żadne inne dziecko. Joe potargał jego brązowe włoski, patrząc w oczy tak bardzo przypominające oczy żony. Przedziwnie było widzieć własne rysy twarzy wokół oczu Jenny. Pierwszy O'Connor z brązowymi oczami!

- Była na Blossom Hill? - spytała niecierpliwie Fiona.

- Najwyraźniej była - odparł Joe. - Niech Seamus powie, co trzeba!

- Wiesz równie dobrze jak ja, że on może nic nie powiedzieć! - Fiona była zrezygnowana. - I Rosi też nic nie powie. Co, u diabła, może otworzyć usta mężczyzn z rodu O'Connor?

- Prawdopodobnie to, co i kobiet z rodu O'Connor! - odrzekł Joe ze śmiechem. Spojrzał synowi w oczy. - Zapamiętaj to sobie, przyjacielu. To słaba strona twojej ciotki. Może ta informacja kiedyś ci się przyda...

Opowiedział pokrótce, co się wydarzyło. Fiona słuchała z przymkniętymi oczami.

- Obedrę tego pana ze skóry, jeśli będzie dla niej surowy! - rzuciła, gdy Joe skończył.

- On bywa łagodny, kiedy chce - powiedział Joe. - Gdy od nich odjeżdżałem, był zły jak rozjuszony byk.

- I nie miałeś tyle przyzwoitości, by zostać?

- Gdybym został, droga Fiono, nasz wspólny brat wyzwałby mnie na pojedynek. Był niemal całkiem przekonany, że jestem jej kochankiem! Fiona mrugnęła do niego ostrzegawczo. Joe zerknął za nią. Nie zauważył wcześniej Tommy i Daniela. Synowie Molly stali się niemal synami Seamusa. Przywiązali się najbardziej do niego i Rosi. Joe rozumiał, że niepokoił się o Rosi i dlatego, że zniknęła, i dlatego, że Seamus pojechał za nią wyraźnie zły.

- Rosi źle zrobiła - przyznał Joe. - Seamus woli powiedzieć jej to pod gołym niebem, gdzie nikt ich nie usłyszy. Nie mają wiele czasu dla siebie, póki nie wyschnie ten cholerny materac!

- Możemy przenieść się na strych - zaproponował Tommy bez namysłu. Dwunastolatek bardzo był podobny do Dan-ny'ego. Gdyby Joe zamknął oczy, nie odróżniłby ich głosów.

- Może Thomas i Owen też by mogli spać na strychu? - dorzucił Daniel, dwa lata starszy od brata.

Joe umiał sobie natychmiast wyobrazić, że najstarsi synowie Paddyego byliby zachwyceni propozycją, by banda najstarszych chłopców dostała pozwolenie na nocowanie na strychu. Problemem pozostawałoby wytłumaczenie Matthew i najstar-

szemu synowi Braendana, Gabrielowi, którzy obaj mieli po dziesięć lat, że nie są jeszcze na tyle duzi, by brać udział w czymś takim.

- Oczywiście! - westchnął. - Przeniesiemy wszystkie dzieci na strych. Najlepsza propozycja, jaką słyszałem od długiego czasu!

- Nicky śpi na strychu? - spytał go synek.

- Możesz poprosić swoją matkę - odpowiedział Joe wesoło, pukając palcem w piegowaty nos syna. - Założę się, że się nie odważysz, mały!

- Nicky popłosi - odpowiedział chłopczyk.

- Bal? - powtórzyła Jenny, a jej dłonie zawisły w powietrzu nad koszulkami, które składała po prasowaniu. - Bal?

Seamus zaśmiał się, złapał szwagierkę w tali i obrócił wokół siebie, nucąc taneczną melodię z Irlandii. Takt trzymał dobrze, ale co do melodii...

- Powinnaś zacząć fastrygować jakąś suknię, pani Jenny, bo tylko dwa tygodnie zostały do tego wielkiego dnia. Mogę mieć nadzieję, że nasze panie trzymają gdzieś schowane pod łózkami krynoliny i nie narobią nam wstydu?

- Żartujesz sobie z nas - powiedziała Fiona, choć słyszała nowinę od Joego.

- Na szczęście ja mam usprawiedliwienie! - westchnęła z ulgą Mary, gładząc się po już wydatnym brzuchu.

- Nie chcesz iść na bal? - aż stęknęła Deidre, siedemnastoletnia żona Adama, przewracając jasnymi, błękitnymi oczami.

- Nie ma mowy! - odparła Mary stanowczo. - O czym mogłabym rozmawiać z tymi upudrowa-

nymi paniami i ich omdlewającymi córeczkami? Nie znam ani ich dziwnych tańców, ani nie nauczę się mówić dystyngowanie. Nie sądzę zresztą, by Jared Jordan zaprosił nas z uprzejmości. Zrobił to po to, by nam uświadomić, że nie należymy do jego kręgów. Zamiast mówić o tym, chce, byśmy to odczuli na własnej skórze. Ja na szczęście nie pójdę ze względu na mój stan, a Breandan jest takim mężem, który zostanie ze swoją ciężarną żoną! -Uśmiechnęła się promiennie i zabrała za robótkę na drutach.

- Ja - odezwał się Seamus, patrząc na Rozę - jestem mężem, który zabiera swoją żonę na bal. Jutro pojedziemy do miasta i kupimy materiał na suknie dla dam. Coś na pewno kupimy, choć nie pojedziemy ani do Savannah, ani do Atlanty. Pantofle zamówimy. Idziemy! Wszyscy, którzy mogą! I będziemy błyszczeć jak te inne pawie!

Roza uciekła wzrokiem w bok. Czuła, jakby coś pękło jej w piersiach. Miała ochotę zapłakać, ale się powstrzymała. Nie mogła zranić Seamusa bardziej, niż już to uczyniła.

Miasto leżało o kilka godzin drogi wozem konnym od Favourite. Składało się z długiej, zakurzonej ulicy z domami po obu jej stronach. Biuro seryfa działało na południowym krańcu, obok niego, dla bezpieczeństwa, usytuował się bank. Trzy domy na północ mieścił się hotel z saloonem i barmankami, które zazwyczaj świadczyły jeszcze inne usługi poza nalewaniem drinków. Naprzeciwko była stajnia miejska, a dwa domy dalej na północ - sklep, gdzie można było wszystko, czego dusza

zapragnię, dostać po dłuższym lub krótszym oczekiwaniu.

- Nie pojmuję, że Rosi nie chciała z nami pojechać! - westchnęła Deidre, robiąc wielkie oczy. - Przecież tak rzadko bywamy gdziekolwiek!

Jenny nie odpowiedziała. Cieszyła się, że przynajmniej Fiona pojechała z nimi. Deidre kiedyś była jej najlepszą przyjaciółką. To dzięki Jenny Adam i Deidre się poznali, gdyż uznała, że byłoby zabawnie, gdyby one, najlepsze przyjaciółki, wyszły za najmłodszych braci O'Connor. Nieomal zmusiła Adama, by się oświadczył Deidre. Teraz miała wrażenie, że wyrosła z Deidre. Ona i Adam wydawali się jej wciąż bardzo młodzi, choć nie powinna tak czuć. Była o rok młodsza od Adama.

- Trzy kobiety dadzą radę kupić materiał - rzucił Adam z kozła, kierując wymowne spojrzenie do siedzącego obok niego Joego.

Jenny popatrzyła na nich sztywno. Nadal uważała, że to niewłaściwe, że nie przeznaczili jeszcze żadnego niewolnika na woźnicę. To, że powozili ich mężowie, zdradzało ich pozycję. Tylko Seamus jechał konno obok wozu. Jenny założyłaby się, że on nigdy nie pokazałby się innym jako woźnica. Nie zniżyłby się do roboty dla czarnuchów. Po to miał młodszych braci.

- Mogłyście zdjąć zasłony z okien i uszyć z nich suknie - stwierdził Joe. - Grzeszna rozrzutność, ot co!

- Możecie potem rozpruć sukienki i uszyć z nich zasłony do waszego nowego domu! - Adam odwrócił się do kobiet swoim zadartym nosem. Jenny musiała przyznać, że jest on najładniej-

szym z braci. Policzki miał szczupłe, rysy twarzy kanciaste. Nos był może zbyt zadarty, ale razem z pełnymi ustami i szarymi oczami przenikającymi każdego na wskroś, z rudoblond włosami w niepokornych lokach, był ładny niemal jak dziewczyna. W połączeniu z jego wzrostem, szerokimi ramionami, twardymi muskularni stawało się to śmiertelnie niebezpiecznie. Na szczęście pozostawał w całkowitej nieznajomości swego działania na kobiety. Tylko Seamus i Joe nauczyli się korzystać ze swego uroku. I Sean, dopóki żył. Pozostali bracia nie mieli pojęcia, że mogą być czarujący. Ich żony zresztą nie uświadamiały ich niepotrzebnie. Lepiej było, żeby o tym nie wiedzieli.

Zatrzymali się przed stajnią. Joe zeskoczył i z galanterią podał dłoń kobietom, by mogły zejść. Adam wycierał pot z czoła i nie miał zamiaru pomagać. Joe wziął wodze konia Seamusa, śmiejąc się szeroko.

- To ty masz pieniądze, Seamusie! A więc głosujemy, że to ty idziesz z dziewczętami do sklepu i wracasz z belami materiału. Adam i ja zamierzaliśmy pójść do saloonu i nieco zwilżyć gardła...

Jenny rzuciła mężowi kose spojrzenie.

- No, nie będziemy się za bardzo rozglądać -dodał z uśmiechem.

Jenny skrzywiła się lekko. Wiedziała, że ją specjalnie drażni, ale wiedziała też, że na pewno będzie zerkał na kobiety ofiarujące swe usługi mężczyznom. Nie podobało jej się to, ale taki już był.

- Nie słuchaj przemądrzalca - rzucił Seamus, podając ramię siostrze.

Jenny i Deidre weszły za nimi do mrocznego wnętrza sklepu Donaldsona.

Seamus trzymał się na uboczu, gdy kobiety oglądały towar i starały się ukryć rozczarowanie mizernym wyborem materiałów, koronek i guzików.

- Większość jeździ po bardziej wyszukane materiały do Savannah - powiedział Donaldson, wykładając na wierzch najjaśniejsze i najdelikatniejsze bawełny, ale wiedział, że nie po taki towar wybrały się do miasta kobiety O'Connor. - Ale mam koronki - dodał zachęcającym tonem, wyciągając zwoje koronek w dowolnych szerokościach: od odpowiadającej małemu palcowi dziecka do szerokich jak męska dłoń. Fiona nawet nie mrugnęła, tylko przeglądała, odkładała na bok, dobierała guziki i aksamitki do materiałów. Jej wybór nie przypadł do gustu ani Jenny, ani Deidre, jednak Fiona klepnęła trzy zwoje bawełny w drobne kwiatki, w różnych odcieniach, i zwój jednobarwnej, cienkiej bawełny w kolorze jasnozielonych fal morskich.

- Bierzemy te - stwierdziła i wybrała jeszcze osiem słomianych czepków wyglądających na codzienne. - I te.

Pochyliła się do Donaldsona i dodała poufnym tonem:

- I chyba się nie mylę, że pan Donaldson może mieć gdzieś na zapleczu jakiś zwój szyfonu czy tiulu, na wypadek, gdyby jacyś dobrzy klienci pytali?

Utkwiła w kupcu swoje wielkie, zielone oczy i uśmiechnęła się słodko. Jenny musiała się poprawić w myślach: nie tylko Joe i Seamus byli świadomi swego czaru. Fiona też dokładnie wiedziała, kiedy go użyć.

- Zdaję sobie sprawę, że nie zdążyliśmy nabrać

takiego znaczenia jak stare rodziny, na przykład Jordanowie - uśmiechnęła się Fiona. Wydawała się delikatniejsza od elfa unoszącego się nad irlandzkimi bagnami. - Ale zapewniam pana, panie Donaldson, że z biegiem czasu nazwisko O'Connor nabierze specjalnego wydźwięku w tych okolicach. I naszą cechą rodzinną jest to, że mamy dobrą pamięć. I pamiętamy o swoich przyjaciółach...

Kupiec dał się oczarować. Jenny uśmiechnęła się przykładowo za plecami Fiony, gdyby Donaldson przypadkiem oderwał wzrok od szwagierki, ale wiedziała, że on jadł już jej z ręki. Fiona przechyliła głowę i kilka rudych loków wymknęło się spod jej prostego czepka. Ze swoją jasną cerą i wielkimi oczami wydawała się młoda i krucha, więc w duszy Donaldsona, wdowca od dwudziestu lat, wzbudziła instynkt opiekuńczy. - Może znajdzie się kilka metrów - przyznał i nucąc, udał się na zaplecze, skąd doszły ich odgłosy gorączkowego szukania.

Seamus przewrócił oczami, ale najwyraźniej przemowa Fiony go ubawiła.

Fiona nie wypadła z roli. Zdążyła uzyskać rabat na zakupione materiały, zanim kupiec zaczął odmierzać biały jak skorupka jajka szyfon. Donaldson prosił ją usilnie, by mu wybaczyła, że nie może jej sprzedać całości, bo była zamówiona przez kogoś innego. Ale może jej trochę uszczknąć, dodał konspiracyjnie, po uszy zakochany we Fionie.

Tiulu niestety nie miał, ale znalazł resztkę koronkowego materiału w odcieniu błękitnym, choć leżała już tak długo, że nabrała bardziej odcienia szarości.

- Może pani to upierze - dodał z nadzieją Donaldson, dorzucając ten materiał za darmo.

Seamus nawet nie mrugnął powieką, płacąc, mimo że końcowa suma przerosła jego przewidywania.

- Przepraszam, że nie ma tu takiego wyboru jak w Savannah - usprawiedliwiał się Donaldson tonem pełnym zrozumienia, ale Seamus uniósł brew i nie dał poznać, że chce go zrozumieć. Żałował, że nie mają czasu, by pojechać po materiały do Savannah. Jakże by chciał, by kobiety O'Connor błyszczały, by nie było tak, jak obawiała się Mary. W głębi duszy zgadzał się z nią, ale nie zamierzał dać się zastraszyć.

- Będziemy wyglądać na dzierżawców, którymi jesteśmy! - parsknęła Jenny. - Koronki czy odrobina tiulu nie dadzą rady ukryć taniej bawełny. Widziałam już Murzynki w niedzielnych sukienkach uszytych z tego materiału!

- Będziesz błyszczeć niczym klejnot! - zapewniała Fiona w całkiem dobrym nastroju.

- Chyba uderzyło ci do głowy, że ten stary kozioł flirtował z tobą! - odgryzła się Jenny.

Joe śmiał się na całe gardło i zażądał sprawozdania. Fiona ubarwiła je tak, że wyglądało na to, iż udało jej się kupić połowę sklepu Donaldsona za uśmiech i trzepotanie rzęsami.

- Tak tanio to nie wyszło! - stwierdził Seamus. - Ale gdybyś miała więcej zimnej krwi, dostałabyś jeszcze nieco tytoniu za darmo!

- Sądziłam, że będziesz uprawiał swój tytoń - odparła Fiona.

- Może powinienem raczej sprowadzić jedwab-

niki z Chin, żebyście miały takie suknie, jakie chcecie - uśmiechnął się Seamus. - Co powiecie na wyhodowanie własnych jedwabnych sukni? Zaśmiali się na tę myśl. Seamus zawtórował. Ale Jenny zauważyła, że ma smutne spojrzenie. Zawiedzione. Ale udawał, że nic się nie stało.

- Zapomniałam o tym szampanie! - stęknęła Roza, gdy z trudem ściągnęli czterech podrostków ze strychu i zdjęli z nich koszule. - Sądziłam, że Seamus miał tyle rozsądku, by go stamtąd zabrać. Albo wypić!

Peter uśmiechnął się i potargał grzywkę Tom-miego. Dwunastolatek wyglądał najgorzej. To o niego zaczęli się bać pozostali chłopcy tak bardzo, że Tomas, najstarszy, poszedł do Petera i powiedział, że Tommy się zatrul i chyba umiera. I żeby nie mówił nic jego mamie ani tacie. I nikomu innemu. No, chyba że Rosi, bo to ją wołał Tommy.

- Seamus nie wypiłby szampana bez ciebie - powiedział Peter do Rozy po norwesku. - Może chciał go oszczędzić...

- Ale żeby miał dwie butelki? Myślałam, że była jedna.

- Może zamierzał coś z tobą uczcić?

- Czy ja umrę? - spytał Tommy, osuwając się na kolana i wymiotując już tylko śliną. Przedtem zabrudził ubranie nie tylko swoje, ale i trzech towarzyszy. - Czy to dlatego mówicie tak, bym nie zrozumiał? Czy się zatrula i umieram?

Peter ukucnął przed chłopcem. Uniósł jego podbródek i spojrzał mu poważnie w oczy.

- Ty nie umierasz. Jesteś pijany, mój chłopcze.

Wypiliście słodkie wino wujka Seamusa. A gdy się pije zbyt dużo czegoś takiego, można wymiotować i się źle czuć. I to właśnie ci się przydarzyło.

- To dlatego, że on jest taki łąpczywy! - rzucił Daniel z pewną dozą pogardy w głosie. - Jemu i Owenowi tak to smakowało, że sami wypili prawie wszystko!

- Ale Owen zwymiotował już w nocy - dodał Tomas, kopiąc brata w kostkę.

- Zatrzymamy to dla siebie - powiedział szybko Peter i podniósł się, pomagając Tommiemu. Objął jego ramiona, by pokazać, że nie jest sam.

-Ale więcej się nie kłóćcie. Jeśli doniesiecie komuś, to o wszystkim dowiedzą się rodzice i wszyscy inni. Wasze młodsze rodzeństwo też... Zamilkł. Zapadła długa, znacząca cisza. Chłopcy zrozumieli, co Peter ma na myśli.

- Pójdziemy nad potok i się wykąpiecie. W głowach też się wam przejaśni. Rosi upierze wasze koszule. Na pewno wyschną, zanim wrócą miastowi z wycieczki.

- A co im powiemy? - spytał Daniel.

- Ze Rose i ja wzięliśmy was na spacer, by poszukać odpowiedniego miejsca na posianie tytoniu Seamusa.

- A co powiemy wujkowi Seamusowi? - chciał wiedzieć Owen.

- Tym ja się zajmę - obiecała Roza. - Podejrzewam, że wujek Seamus też był kiedyś w waszym wieku. I że babcia Lottie miała z nim wiele roboty. Sądzę, że się tylko uśmieje, o ile obiecacie, że już nigdy nie podbierzecie mu więcej butelek szampana...

-Nigdy! - wzdrygnął się Daniel. Pozostali chłopcy też byli zdecydowani. Wracali z długiej przechadzki. Chłopcy biegli przed nimi niczym cielaki wypuszczone na pastwisko na wiosnę. Koszule mieli czyściutkie, nieco pogniecione, ale przecież spali na strychu, więc to było do przewidzenia. Tommy był jeszcze blady, ale już się nie bał, że umrze, i biegał na wyścigi z pozostałymi.

Roza i Peter szli na odległość ramienia od siebie. Byli niczym obcy, którzy zbliżyli się do siebie i poznawali nawzajem. Obojgu wydawało się niepojęte, że dzielili kiedyś stół i łóżko. Oboje umieli to przywołać w pamięci jako obrazy. Ale ani Roza, ani Peter nie pamiętali, jak to odczuwali. Uczuć nie można przywołać z powrotem...

- Rozmawiałem z nim - rzucił Peter. - Z Seamusem. Powiedziałem, kim jestem.

Rozę aż coś ukłuło. Przeczynała to. Już wtedy, gdy Seamus wymienił imię Petera przy potoku. Gdy zastanawiał się, kogo by poprosiła, by załatwił wykupienie Marlona. Wymienił Joego. I wymienił Petera. A więc to nie był przypadek. Przecież przy Seamusie nic nie dzieje się przypadkowo. Nawet te prawdziwe przypadki wykorzystuje w ten sposób, by pasowały tak, jak tego chce.

- Co mu jeszcze powiedziałaś?

- Jak się spotkaliśmy. Kim byłaś. Jak wyglądało twoje życie.

- Wszystko?

- Większość - mówił Peter. - Uważam, że on zasługuje na to, by cię znać, Rozo. By wiedział,

kim jesteś. Nie mogłem go prosić, by cię potraktował łagodnie, bez opowiedzenia mu, kim jesteś. Bez pokazania mu twojego życia. Może miał rację. Ale nie czuła tego tak. Znow inni ludzie kierowali ją na ścieżki, na których nie zamierzała postawić stopy. Roza ślepo wierzyła, że Peter będzie milczał, może dlatego, że też miałby wiele do stracenia. Ale wiedziała teraz, że to było głupie.

- Co on powiedział?

- Niewiele. -Był zły?

- Przecież wiedział, że masz męża - stwierdził Peter z naciskiem. - To nie było dla niego szokiem. Nie mógł być zły, mimo że się dowiedział, kto jest tym mężem...

- Ja jestem żoną Seamusa - ucięła Roza. - Ty jesteś mężem Fiony. Tak teraz jest. Nigdy więcej nie poruszaj tego tematu, Peter! Słyszysz, że używam twojego właściwego imienia? Twojego terażniejszego imienia! Nie idę do Fiony i nie mówię jej, że żyje z mężczyzną, który przysięgał mi wieczną wierność przed księdzem i Panem Bogiem! Nie spodziewałam się tego po tobie, Peter!

- Chciałem tylko pomóc! - wyjaśnił nieszczęśliwym tonem.

- Ale nie pomogłeś! - stwierdziła Roza, rzucając się w pościg za chłopcami.

Peter został w miejscu.

- Patrzcie, patrzcie! - zawołała Jenny, gdy zbliżali się do zagrody Favourite. - Twój mąż spaceruje sobie z Rosi, Fiono...

Fiona starała się bez pośpiechu zwrócić wzrok za palcem wskazującym Jenny. Jednak ta zauważyła, że oczy Fiony nabrały czujnego wyrazu. Jeden policzek zdrzął leciutko. Gdy Roza odbiegła od Petera, nie tylko Jenny uniosła brwi.

- To miło, że Peter z nią idzie - powiedziała Fiona i uśmiechnęła się do Jenny. - Nie powinna chodzić sama. Seamusowi by się to nie spodobało.

- Sądysz, że podoba mu się, iż Rosi poszła nad potok z twoim mężem? - udała zdziwienie Jenny, spoglądając na plecy szwagra jadącego przed nimi. - Chyba jakoś sztywniej siedzi...

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała Fiona.

- Nic! Zupełnie nic! - odparła Jenny. - Ale mam na nią oko. Ona już spoglądała za moim Joe...

- Co? - zdumiał się Joe i niemal spadł z kozła. Adam śmiał się na całe gardło.

- A czyj kapelusz wzięła? - przypomniała Jenny z nutką zawziętości w głosie. - Sądzicie, że to przypadek? Często z tobą rozmawia...

- Lubię ją - przyznał Joe ze śmiechem. - Jest dla mnie niczym siostra.

- Ale ja nie sądzę, by ona patrzyła na ciebie jak na brata - upierała się Jenny. - I złapałam ją na spoglądaniu na Petera. Na twoim miejscu, Fiona, byłabym bardzo czujna. Nie jest pewne, że jej wystarczy Seamus...

- Irlandki mają bujną wyobraźnię - zauważył Adam. - Jesteś pewna, że ona nie posyłała tęsknych spojrzeń w moją stronę? Gdybym był kobietą, spojrzalbym najpierw na mnie. Joe i Peter nie mieliby szans.

- Gadasz bzdury! - rzuciła Jenny zirytowana. -

Nie mam nic przeciwko Seamusowi. Ale jestem jak najdalsza od tego, by wierzyć jego żonie. Coś w niej jest nie tak. Nie umiem tego nazwać, ale czuję to!

Rozdział 10

Chłopiec nadal był więźniem złego człowieka. Czula jego ból. Wyczuwała jego rozpacz. Wiedziała, że się boi światła. Ciemność pomieszczenia nie była groźna. Ból przychodził razem z migoczącym światłem, ze skrzypiącymi drzwiami, odgłosem ciężkich kroków na kamiennej podłodze, świstem pejcza przecinającego powietrze, zanim spadł na jego skatowane plecy...

... były też inne głosy. Płacz kobiety. Mężczyzny mówiącego słowami, których nie mógł rozróżnić przez świst pejcza. Pejcz miał kilka ramion. Migał w powietrzu, piekł niczym pazury dzikiego zwierzęcia, palił szaleńczo i w końcu znieczulał zmysły, gdy już ugryzł kilka razy. Ból stał się czymś zwyczajnym...

... słyszała jęk chłopca, czuła, że jego moc została osłabiona, że woli pozostać w mroku. Że stracił jaśniejący, magiczny pas i że już nie chce powrócić na światło dzienne. Jego walka już się kończy. Już nie wierzy, że łoś go uratuje...

- Ithenhiela! - krzyknęła Roza w mrok nocy. -Ithenhiela!

Wypłakała to imię w ciemności. Obudziło ją bicie serca Seamusa. Trzymał ją blisko siebie i głaskał po plecach, szepcząc czule, całując czoło i policzki.

- Rosi, to tylko zły sen, nic innego. Obudź się, kochanie...

Sen był rzeczywisty nawet po obudzeniu. Czuła zgniły zapach kamiennych ścian, podłogi, krwi, potu i strachu. Nadal słyszała ciche jęczenie, ale nie chłopca. To kobieta płakała i błagała o litość. Słyszała świst pejcza przecinającego powietrze i odgłos, gdy trafiał bezbronne ciało. Słyszała stuk obcasów butów do konnej jazdy. Ale nic nie widziała. W ciemności za zamkniętymi powiekami nie było żadnych obrazów.

- To tylko sen, Rosi - mówił cicho Seamus. Dobrze było poczuć jego ciepłą, nagą skórę

przy policzku. Roza wdychała jego zapach, objęła go ramionami i przytuliła się mocno. Czuła się bezpieczna i szczęśliwa, przynajmniej w tym momencie.

- Zapomnij o tym! - prosił Seamus.

Głaskał ją po włosach, po szczupłych plecach i czuł, jak przestaje drzeć, jak się uspokaja, jak opuszcza ją strach. Oddychała spokojniej. Nadal mówił do niej pieszczotliwie, pocieszał ją, osłaniał przed niebezpieczeństwami, których nie znał. Czuł, jakby walczył z cieniami. Seamus bał się spytać, co ją tak bardzo przeraziło we śnie, że aż krzyczała.

Zastanawiał się, co znaczy to słowo, które powtarzała. Nie zdołał go zapamiętać, brzmiało

dziwnie. Może Peter by zrozumiał? Może było w ich wspólnym języku, który rozumieli tylko ona i Peter? Zastanawiał się, czy to nie kolejna osoba z jej przeszłości. Jeszcze jeden cień...

Obiecał nie wracać do jej przeszłości. Nigdy nie żądać, by opowiedziała mu to, czego nie chciał słuchać w dniu świętego Patryka...

W przeciwieństwie do Jenny i Fiony, Seamus wiedział, co się zdarzyło dnia, w którym pojechali po materiały. Rosi opowiedziała mu o losach zapomnianego szampana i blady ze strachu Tommy sam wyznał grzechy chłopców. Rosi wymieniała imię Petera bez skrępowania. Chłopcy byli z nimi przez cały czas, więc Seamus nie sądził, by wydarzyło się pomiędzy nimi coś, o czym powinien wiedzieć lub czego się obawiać.

- Cicho, kochanie - szepnął. - Cicho! Nic złego cię tu nie dosięgnie, Rosi. Jestem tu. Nic złego cię nie dosięgnie, gdy jestem z tobą. Zawsze będę o ciebie dbał, moja ukochana!

Roza ze wszystkich sił pragnęła mu wierzyć, ale nawet Seamus nie zdołał osłonić jej przed mrokiem kryjącym się w jej wnętrzu. Mrokiem, który znajdował ujście za pomocą sił, przed którymi żadne z nich nie umiało się obronić. Nawet Seamus był wobec nich bezbronny. Ale kochała go, bo trwał przy niej i naprawdę pragnął osłonić ją przed zagrożeniami.

Kochała go, bo obejmował ją, gdy osuwała się w swój najgłębszy, najbardziej przerażający mrok. Gdy wchodziła w swoje wizje i sny, i nie była ich w stanie odróżnić. Bezbronny chłopiec, złamany, sponiewierany, skatowany, wypełniał całą duszę Rozy.

- Czy mógłbyś zapytać go jeszcze raz? - poprosiła w końcu. - Czy mógłbyś zapytać Jareda Jordana, czy sprzeda Marlona, syna Princess? Już nie może być dla niego wiele wart. Wszyscy wiedzą, że Jordan chłoscze go co dnia.

- Wszyscy? - powtórzył Seamus niechętnie. Nie podobało mu się, że Roza wciąż powraca do tego przekłętego czarnucha. Ale obiecał Peterowi i samemu sobie, że postara się ją zrozumieć.

- Niewolnicy - szepnęła. - Jordan trzyma go w zamknięciu i bije co dzień. Sądzą, że zagłodzi go na śmierć.

- Jared Jordan może robić ze swoimi niewolnikami, co mu się żywnie podoba - wyjaśnił Seamus sztywno. - Posiada ich na własność, moja droga. Jeśli chce go zagłodzić, ma do tego prawo. Także fio chłosty. To wcale nie oznacza, że ten człowiek to demon.

- Ale anioł na pewno też nie - odparła, starając się przytulić do męża jeszcze mocniej. Chciałaby stopić się z nim w jedno. Chciałaby użyć go niczym tarczy, by zapomnieć przy nim o wszystkim. - Ja nie chcę na ten bal, Seamus!

- To będzie raczej barbecue - rzucił ponad jej głowę. - Przygotowują i serwują jedzenie na dworze. To rodzaj pikniku. Potem są tańce wewnątrz domu. O tej porze roku to dobre rozwiązanie. - Uśmiechnął się krzywo. - Jeśli będziemy mieli szczęście, ogłoszą zaręczyny Jareda juniora z jakąś odpowiednią panną, córką plantatora, z właściwym posagiem i co najmniej kilkoma generacjami Amerykanów za sobą.

Roza zadrżała pomimo ciepła nocy.

- Marzniesz? Może materac jest jeszcze wilgotny? - spytał Seamus z troską w głosie.

- Jordan sprawia, że marznę - wyjaśniła. - Co mogłoby uwolnić mnie od tego balu?

- Nagła śmierć - rzucił Seamus, wyciskając całusa na jej skroni. - Nie masz się czego bać. Będiesz miała ładną suknię, a ja nie odejdę od ciebie na więcej niż dwa kroki. Co ci się może zdarzyć?

Roza wzruszyła ramionami. Dała mu się przekonać, że będzie bezpieczna. Zwłaszcza gdy pomogły mu pieśczoty i pocałunki. Skutecznie zwabił ją za sobą, by razem zbadali jeszcze więcej cudów zrodzonych z pożądania...

Bracia wspomagani przez tylu niewolników, ilu nie było koniecznie potrzebnych na polu z bawełną, pracowali codziennie przy budowie domu na Rose Garden. Nawet najstarsi synowie jeździli jako pomocnicy, gdyż stara mądrość O'Connorów głosiła, że nikomu nie zaszkodzi wczesne wdrażanie się do pracy.

Dom stawał powoli. Okazałszy niż Jenny odważyła się zamaryć. Nieomal czekała, by ktoś ją obudził i pokazał, że domu właściwie nie ma. Powiedział, że to tylko obrazek z bańki mydlanej, która zaraz pęknie. Codziennie jechała z Favourite do Rose Garden z jedzeniem dla pracujących. W upale cegły murów płonęły niemal na brązowo, a w świetle zachodzącego słońca wydawały się różowe. Widziała otwory na okna, otwór na drzwi tak wielki, że mógłby przejechać nim wóz, a nawet wysoko załadowany wóz! Nie mieściło jej się w głowie, że to

ona, Jenny z Kilkenny, ma mieszkać w tym wspaniałym domu.

- Odważymy się na to? - spytał Joe podczas przerwy na lunch, leżąc z głową na kolanach Jenny. - Patrzę na to, przypominam sobie, skąd pochodzę, i nagle ogarnia mnie strach. Wtedy myślę: Josephie O'Connor, to chyba ciebie przerasta!

- Powinieneś myśleć: Josephie O'Connor, czeka cię cholerna praca przy zapełnianiu tych pokoi dziećmi! - zażartował Seamus, poklepując przyjacielsko młodszego brata po udzie. - Na razie macie słaby start - dodał, mrugając znacząco. - Jak dawno poszerzałaś swoje spódnice, Jenny? A może nie dopuszczasz swego męża? A może on nie ma ochoty? Jenny poczerwieniała, mimo że wiedziała, iż nie powinna dawać mu satysfakcji. Seamus uwielbiał ją peszyć. Zresztą jak wszystkie młodsze bratowe. Jedynie Bridget i Mary ucinają jego zbierne uwagi, odpłacając tą samą monetą.

-Jeśli zamierzałaś zaproponować pomoc, powiem wszystko Rosi - rzucił szybko Joe. - Denise nie ma jeszcze roku, Seamusie. Tak często nie ma cię w domu, że nie masz pojęcia, kiedy rodziły się nasze dzieci. Sądysz, że taki ze mnie ogier, iż sprawię dziecko Jenny zaraz po tym, jak urodziła ostatnie?

Seamus wzruszył ramionami.

- Chyba mierzę cię własną miarką - przyznał poważnym tonem. Wypił resztę wody z butelki, wstał i bez dodatkowych żartów wrócił do roboty.

- Chyba ciężko przeżył, że ona straciła dziecko - powiedziała Jenny, która nie lubiła nawet wymawiać imienia Rozy. Śledziła wzrokiem Seamusa.

Wydało się jej, że się zgarbił. Jemu współczuła z łatwością.

Joe zerknął na żonę.

- Seamus nie potrzebuje twojej litości, Jenny -rzucił.

- A współczucia?

- A co z Rosi? - spytał Joe, siadając. - Czy jej też równie mocno współczujesz?

- Nie znam jej - odparła Jenny.

Joe nie wypowiedział już słów, które cisnęły mu się na usta. Że Jenny nawet nie spróbowała jej poznać.

- Seamus wymurował osiem kolumn przed domem - powiedział zamiast tego. Najbezpieczniej było powrócić do tematu budowy. - Tych, które podtrzymają balkon i dach. Balkon nazywają galerią tu nad Missisipi. Jenny powtórzyła sobie to słowo. Podobało się jej, miało styl.

- Wystarczyłoby sześć kolumn - dodał Joe.

- Seamus uważał, że to za mało - zaśmiał się Adam. - Powiedział, że w Mount Vernon, domu George'a Washingtona, jest osiem kolumn. Nie mogło być mniej w domu O'Connora!

Jenny poczuła, że lubi Seamusa. On rozumiał, dlaczego coś takiego jest ważne. Joe się tylko z tego śmiał, a Seamus rozumiał, jak to dla niej istotne. Że te kolumny mają dźwigać coś więcej niż dach i to, co nad Missisipi nazywają galerią.

- Będą białe - powiedziała. - I ramy okien, i drzwi będą śnieżnobiałe. Posadzę róże przed domem, wszędzie! Ten dom będzie skapany w różach! Będą się piąć po kolumnach...

- Nie ma co, Joe - stwierdził Adam, szturchając brata ramieniem. - Musiałbyś być bardzo odważny, gdybyś nagle chciał odmówić Jenny tego domu!

- Gdy go zobaczy Deidre, na pewno też sobie zażyczy takiego! - uważał Joe. - Ciesz się, bracie! Ciesz!

Fiona, Coleen, Catherine, Deidre, Roza i Mary przez te dwa tygodnie głównie szyły. Rozmawiały, trzymając szpilki w ustach. Opuszki palców miały obolałe po długich dniach pracy.

- Chyba jako jedyne szyjemy własne sukienki -stwierdziła Jenny i puściła mimo uszu żartobliwe uwagi, iż ona na pewno może powiedzieć, że nie szyła swojej sukienki. Jeśli ktoś by tak śmiał twierdzić, musiałby powtarzać złośliwą plotkę rozpuszczoną przez jej wrogów.

- Jeśli nie pokażemy im opuszek palców, nikt się tego nie domyśli - rzuciła Roza sucho.

- Już tak długo czekamy, by zobaczyć wasze kreacje - powiedział tęsknym tonem Eamonn.

- Tylko trzy ruchy igłą! - obiecała Fiona, przyszywając ostatni guzik i licząc na głos. Na „trzy” uroczyście zrobiła pętelkę, zaciągnęła węzeł i odgryzła nitkę. Z bardzo zadowolonym uśmiechem strzepnęła kaskadę szaroniebieskich koronek. -Uważam, że zawczasu powinienes wpisać się na wszystkie walce do karnetu Jenny, Joe - przekomarzała się z bratem. - Gdy wystąpi w tej sukni, panowie zapomną, że jest mężatką!

- Chyba tak źle nie będzie! - odparł Joe. Dom się stopniowo zappełniał.
Oczekiwanie

wisiał w powietrzu. Tylko najmłodsze dzieci: Denise Joego i Jenny, Charlotta Petera i Fiony i syn Coleen, Sean, przespali całe zamieszanie. Pozostałe dzieci śledziły powstawanie sukien od nieciekawych zwojów materiału i żadne z nich nie zamierzało się położyć, zanim nie ujrzy ich na sześciu wybrankach, które pójda na bal.

Bridget rozsądnie stwierdziła, że Mary nie da sobie rady ze wszystkimi dziećmi, gdy reszta będzie na balu, i to niezależnie od tego, czy Bre-andan jej pomoże, czy nie. Zameldowała się na ochotnika jako jej pomoc, ale jednocześnie nakłoniła Paddy'ego, by szedł na bal. Z błyskiem w oku stwierdziła, że na tyle ma do niego zaufanie, by go puścić pomiędzy córki plantatorów. Po piętnastu latach w jednym łóżku, i to bez skarg, wiedziała, że on pamięta, gdzie jego miejsce.

- Próba kostiumowa! - zażądał Joe, klaszcząc w dłonie.

Dołączyli do niego pozostali mężczyźni. Butelka whisky krążyła pomiędzy nimi.

- Z krynolinami! - zapiał Adam, gdy zarumienione i chichoczące kobiety zniknęły w pokoju Rozy i Seamusa, by się przebrać.

Trochę to trwało. Wreszcie wyszła Fiona, ale natychmiast się wycofała, zanim widzowie byli w stanie się zorientować, co naprawdę widzieli.

- Tam nie ma miejsca na tę przekłętą krynolinę! - śmiała się Fiona, aż łzy potoczyły jej się po policzkach.

Bratowe rzuciły się do pomocy przy jej ściąganiu. Została na środku pokoju niczym wielka klatka.

- Czyli obejdziemy się bez niej - powiedziała spokojnie Coleen. -
Przynajmniej dziś.

- Ostatecznie jest dla niej miejsce pod spódnicą - stwierdziła Fiona, biorąc głęboki oddech dla uspokojenia. - Idziesz ze mną! - Złapała Rozę za rękę i weszły razem do salonu.

Dziewczynki westchnęły z zachwytu. Mężczyźni zamilkli.

Seamus bezwiednie rzucił spojrzenie na Petera i napotkał jego spojrzenie.

Obaj mieli łzy w oczach. Zastanawiał się, czy Peter je porównywał.

Ogarnęło go nieprzeparte wrażenie, że gdyby Fiona i Rosi podkreślały swoje podobieństwo, jak teraz, mogłyby uchodzić za siostry.

Sukienki miały niemal takie same. Ten sam krój. Obcisła góra i obfita spódnicą w jasnym zielono-niebieskim kolorze; kolorze, który miewało morze u wybrzeży Irlandii. Sukienka Fiony miała krótkie, bufiaste rękawki uszyte z koronkowego, niemal przezroczystego materiału. Miał kolor chmur niosących letni deszcz. Szeroki dekolt idący od ramion ozdobiony był wąską koronką z tego samego materiału, a dół sukienki oblamowany niebieskoszarą tasiemką o ton ciemniejszą niż koronka.

Sukienka Rozy była podobna, lecz dekolt miała zasłonięty błękitną koronką zakończoną wysoką stójką wokół szyi, a rękawy zwężały się ku łokciom i kończyły się ostrym szpicem na wierzchu dłoni.

- Zatwierdzone? - spytała Fiona i podbiegła na palcach do Petera, który nie umiał dać innej odpowiedzi niż otwarte ramiona i pocałunek.

Seamus wyciągnął ramiona do Rozy i niemal

zgniół ją w uścisku. Dłonie gładziły w zachwycie koronkę okrywającą jej dekolt.

- Następne! - zawołał Joe, biorąc łyk whisky. Nie tylko on nie mógł się doczekać.

Coleen wyszła sama. Krój sukienki był ten sam co u Fiony i Rozy, lecz materiał w drobne kwiatki, ten który Jenny pogardliwie nazwała nadającym się na niedzielną sukienkę dla Murzynki. Zamiast rękawków miała podwójną warstwę koronki, która przechodziła kręgiem wokół dekoltu. Coleen dodatkowo opuściła ją niżej na ramiona. Ta sama kremowa koronka biegła dołem sukienki.

- Coleen wyjdzie za mąż, zanim skończy się lato! - przepowiedział Joe, posyłając bratowej całusa. - Proponuję, byśmy jutro szczególnie na nią uważali. Czy reszta sukienek jest równie zabójcza?

- Żebyś wiedział! - z tymi słowami Deidre wysunęła się przed Coleen. Adam zamknął oczy, po czym otworzył je szeroko. Przedstawienia dopełnił, opierając się o ścianę, jakby nie mógł ustać na nogach z zachwyty.

Deidre była niemal przejrzystą pięknnością. Drobna, delikatnej budowy, z wielkimi, jasnymi oczami pod wygiętymi w łuk brwiami przypominała elfa. Adam niemal o tym zapomniał. Jej kwiecista sukienka, z maleńkimi, kloszowymi rękawkami wykończonymi koronką i dekoltem wypełnionym koronką pochylającą się ku nagiej skórze, z różową wstążką udającą wiązanie od talii do piersi czyniła z Deidre dziewczynkę-elfa, motyla...

- Czy ona nie jest zbyt odkryta? - spytał Adam, wywołując pytaniem rubaszny śmiech braci.

- Mam szal - odparła Deidre z uśmiechem, układając go na ramionach. Był z cieniutkiego szyfonu, rozszerzonego na całej długości koronką i wykończonego szerszą koronką na końcach. Musiały tak zrobić, by oszczędzić na szyfonie, ale rezultat przeszedł ich oczekiwania.

- No, ulżyło mi - westchnął Adam, lecz nadal nie odważył się dotknąć Deidre. Jeszcze nie. - Bo już myślałem, że będę musiał wziąć jutro pas z rewolwerami...

Catherine okręciła się nieśmiało przed zebranymi. Kroju użyły tego samego co u pozostałych. Góra miała krótkie bufiaste rękawki oblamowane wąską koronką. Uszyta była z zielononiebieskiego materiału, tego, co suknie Fiony i Rozy. Jednak udrapowały jej dół w małe łuki podtrzymywane kokardami z niebieskiej wstążki, a spod spodu widniała warstwa kwiecistego materiału z sukien Coleen i Deidre.

- Dlaczego moja zawsze na końcu? - pytał Joe. - Jenny, wychodź wreszcie!

Wyszła i usta Joe zamknęły się natychmiast. Zakorkował butelkę whisky i odstawił na stół. Sam wstał i krokiem lunatyka poszedł żonie na spotkanie. Ujął jej dłonie i trzymał na odległość ramienia, po czym obrócił ją wokół siebie, nie odrywając zachwyconych oczu.

Góra sukienki była z kwiecistego materiału i podobnie jak Coleen miała obramowanie z szerokiej koronki spełniającej także funkcję rękawków, tylko jej koronka była koloru szaroniebieskiego. Koronka ta, ułożona w pięć nachodzących na siebie warstw, tworzyła spieniony dół sukni.

- Najświętsza Maryjo! - wykrzyknął w końcu Joe. - Mam nadzieję, że uszyłyście dla niej także szal! To przecież mężatka!

- Dlatego mówiłam ci o karneciku - przypomniała Fiona z uśmiechem, nie ukrywając zadowolenia. - Nastaw się na tańczenie walca jutro, Joe! W takiej sukni Jenny nie będzie podpierać ścian.

- Niech będzie walc! - rzucił Joe i odtńczyli kilka kroków z Jenny. Skłonił się potem z wyszukaną elegancją.

- Zapomniałam, jaka jesteś ładna - wyszeptał Joe w usta Jenny, gdy poszli do łóżka wcześniej niż zwykle. - Czasami nie widzę, co mam blisko przed oczami...

- Cieszę się, że to sobie przypomniałeś - odparła, uśmiechając się w ciemności. Cieszyła się z sukienki. Cieszyła z Ameryki. I cieszyła się, że idą na bal...

- Nie sądziłem, że te materiały zmienią się w tak piękne suknie - przyznał Seamus, odgarniając włosy Rozy do tyłu. Były wilgotne i poplątane po ich gorących uściskach pod cienkim prześcieradłem. - Jenny nazwała je materiałem dla czarnuchów i ja w zasadzie się z nią zgadzałem.

- Twoja siostra ma oko - przyznała Roza, wtulając się w jego ramiona. - Nikt inny poza nią nie wydobyłby tego z tych kawałków materiału. Ona od razu wiedziała, jak będą wyglądać te sukienki. Która będzie z jakiego materiału. Żadna z nas nie wybierała sama. Fiona decydowała o wszystkim

jak królowa na tronie. To chyba cecha rodzinna O'Connorów...

- Oczywiście - rzucił Seamus, całując jej szyję. - Mamy oko do ładnych rzeczy i siłę, by przeprowadzać naszą wolę...

- Może nie to miałam na myśli - uśmiechnęła się Roza. - Ale chyba to zrozumiałeś, bo inaczej nie zmieniałbyś tematu.

- Przecież chyba nie twierdziłaś, że jesteśmy despotami, kochanie? O to bym cię nigdy nie podejrzewał...

- Jesteśmy bardzo podobne do siebie z Rosi - powiedziała cicho Fiona.

Usłyszała, jak Peter wciąga gwałtownie powietrze i wydycha je powoli przez nos. Opanował się. Sprawiała, że się zdenerwował. Bał się. W półmroku uniosła się i oparła na łokciu. Przechyliła głowę i spojrzała na niego. Peter zawsze przepelniał ją bezbrzeżną czułością. Oprócz dzieci Peter był najlepszą osobą, jaką obdarzył ją los.

- Spostrzegłeś to - dodała.

- Tak - odparł, patrząc na nią niemal zalęknionym spojrzeniem ciemnych oczu.

- Właściwie to tylko kolor włosów i wzrost, no i częściowo budowa - mówiła dalej Fiona. - Ona jest szczuplejsza, a ja mam większe piersi. W podobnej sukience i fryzurze mogłaby uchodzić za moją bliźniaczkę.

- Chciałaś mieć siostrę? - spytał Peter. Udało mu się utrzymać niemal niewzruszony ton głosu.

- Siostrę? Może - odparła Fiona. - Ale nie byle jaką siostrę.

Przytrzymała jego spojrzenie.

- Znałeś ją wcześniej, prawda? Zanim przyjechałeś do Walii. Zanim mnie poznałeś...

Peter usiadł na łóżku i podłożył poduszkę pod plecy. Pociągnął Fionę w objęcia. Obejmując ją ramionami, czerpał odwagę, której potrzebował. Może to było nieuniknione. Może powinien był powiedzieć prawdę, jak tylko poznał Fionę. Ale bardzo się bał ją stracić, bo Fiona niezwykle szybko stała się kimś najważniejszym w jego życiu.

- Znałem Rosi na długo wcześniej, zanim poznałem ciebie, moja Fiono - zaczął i po raz kolejny w ciągu kilku tygodni opowiedział całą historię życia Rozy i część należącą do niego.

- Dlaczego nic nie mówiłeś? - spytała Fiona po długiej chwili ciszy. Musiała przetrwać opowieść.

- Bałem się, że cię utracę - wyznał Peter szczerze. - Nadal się tego boję.

- Kochasz mnie?

- Ponad życie!

- To grzech niezmiernie wielki - orzekła Fiona, starając się wyobrazić, co powiedziałaaby jej matka, gdyby o tym wszystkim usłyszała. Starła się pojąć, jaki to los skierował Petera do niej, ale i Rosi do Seamusa.

- Wiem - odparł Peter z bólem.

- Czy rozmawiałeś o tym z Rosi? Pokiwał głową.

- Nie masz się czego obawiać z naszej strony - obiecał.

Fiona nie oczekiwała niczego innego, ale dobrze było usłyszeć to zapewnienie.

- Co na to Seamus?

- On wiedział, że Rosi miała męża - odrzekł Peter szybko. - Tej nocy, kiedy za nim pojechałem, powiedziałem mu, kim jestem.

Fiona zerknęła na niego z ukosa.

- Musiałeś być przekonujący - stwierdziła z zadowolonym uśmiechem

- inaczej byłabym już wdową. Z gniewem Seamusa nie ma żartów.

- Wybaczysz mi? - spytał. - Wybaczysz, że milczałem i że cię oszukiwałem?

- Nigdy mnie nie oszukiwałeś - stwierdziła Fiona dobitnie. - Zawsze mnie tylko kochałeś. Oczywiście, że ci wybaczam. Ale oczekiwałam innej prawdy... - Położyła policzek na jego piersi. - Teraz czuję, że Rosi jeszcze bardziej jest tą siostrą, za którą tęskniłam. Której potrzebuję.

- Może ona też cię równie potrzebuje - wyszeptał Peter. - Ona miała siedmiu braci...

- A więc nie tylko ciebie mamy wspólnego - mruknęła Fiona, zasypiając na jego piersi.

Peter długo wpatrywał się w ciemność, myśląc o Kafjorden, zanim zasnął. Wiedział, że wreszcie spalił za sobą wszystkie mosty. Miał nadzieję, że to samo dotyczyło Rozy. Ona zasługiwała na szczęście. Szczęście i miłość, i życie jako Rosi...

Rozdział 11

Blossom Hill stanowiło nie tylko niekończącą się aleję prowadzącą do oślepiającego białą domu. Z wysokości wozu Roza dostrzegła, że było coś więcej niż wspaniałe kwitnące ogrody, niż altanki na skraju świetnie utrzymanych trawników. Więcej niż falujące pola bawełny, których skrajem jechali już ponad godzinę. Więcej niż dąbrowa na obrzeżu posiadłości.

Dostrzegła, że z głównego budynku był widok na rzekę Oconee płynącą leniwie w słońcu. Dostrzegła przystań, najprawdopodobniej prywatną przystań Jordanów. Zastanawiała się, czy mają też swój statek parowy. Po drugiej stronie domu, na skraju największego trawnika, stały rzędami małe domki. Było ich tak wiele, że stanowiły niemal małą wioskę. Rozę zdziwiło, że chaty niewolników Jareda Jordana pobielono wapnem. To nie pasowało do opowieści, jak traktuje swoich niewolników. Za chatami, daleko, jak wzrok sięgał, rozciągały się zielone pola bawełny.

Roza westchnęła. Czowała się gorzej niż źle. Pociągnęła za wstążkę czepka, bo było jej gorąco, a Fiona posłała jej spojrzenie wyraźnie mówiące, by niczego nie ruszała.

Słomiane czepki ze sklepu Donaldsona Fiona

zamieniła na wysmakowane nakrycia głowy dopasowane do każdej sukienki. Ona, Jenny i Roza miały podobne: niebieskoszara koronka przymarszczona została wokół otoczki czepka, a szew ukryty pod szeroką, aksamitną tasiemką tego samego koloru, co wykończenie dołu sukni Fiony i Rozy. Pozostałe trzy czepki wykończone zostały kremową koronką i szeroką, różową wstążką, którą wiązały w kokardę pod brodą. Fiona nie oszczędzała na wstążkach, więc końce wisiały długie.

Pod czepkami upięły włosy tak, by pojedyncze loczki mogły spadać swobodnie. Jenny miała ochotę na anglezy, ale nie udało się ich zrobić. Dąsała się więc i patrząc z zazdrością na naturalnie skrecone loki Fiony, mamrotała pod nosem, że niektórym wszystko jest podane na srebrnej tacy.

Roza nie czuła się swobodnie ze szpilkami we włosach. Była przekonana, że fryzura się rozluźni, jak tylko zdejmie czepki. Powstanie wtedy skandal, którego tak bardzo chce uniknąć. Jedzie na ten bal tylko dla Seamusa. Dla jego honoru.

Ucisk na skroniach natężył się. Źle spała. Jej myśli stale wracały do więziennej celi. Udało jej się dostrzec desperacką obojętność i rezygnację chłopca, próbowała przesłać mu siłę, myśli, które by go podtrzymały na duchu. Ale raczej mu nie pomogła. Zrozumiała za to, dlaczego on daje się wciągać w ten bezkresny mrok. Za każdym razem, gdy światło omiało jego zmaltretowane ciało, oczekiwał tego samego: więcej bólu. Za każdym razem, gdy ktoś stawał przy nim, otrzymywał więcej bólu. Nic innego niż ból...

Roza wzdrygnęła się i uświadomiła sobie, że Seamus patrzy na nią z zadumą. Wiele razy ostatnio tak na nią patrzył. Nie odważyła się zapytać, o czym wtedy myśli. Nie chciała wiedzieć, co kryje się za jego powagą.

- No, szykujcie się - mruknął Peter, gdy wóz się zatrzymał. Zeskoczył i podał Fionie pomocną dłoń, gdy walczyła z krynoliną, do której nie była przyzwyczajona.

Seamus, całkiem odprężony, podał Rozie rękę. Wyczuła jego siłę nawet pod białą rękawiczką. Seamus wyglądał elegancko w brązowym surducie, kamizelce ze złotawego brokatu i tego samego koloru jedwabnej chustce pod szyją. Koszula była lekko kremowa, jasnobrązowe spodnie opinały go ciasno. Sam wypastował i wyglansował swoje buty do konnej jazdy, tak że można się było w nich przejrzeć niemal jak w lustrze.

- Czy znajduję uznanie w pani oczach, Madame? - spytał Seamus, posyłając jej delikatnego całusa.

- Nie bądź zarozumiałcem! - odparła Roza, choć zdecydowanie jej się spodobał. Był przystojny. I nosił swoją urodę w nonszalancki sposób. Joe i Adam go w tym przypominali, choć może nie byli całkiem świadomi swego uroku. Seamus dokładnie wiedział, jakie robi wrażenie. Była to część jego gry.

- Jesteśmy cholernie ładną rodziną - rzucił cicho, gdy O'Connorowie zebrali się, by odetchnąć przed wyruszeniem w nieznany teren.

Przy udekorowanym kwiatami wejściu przed jednym z trawników stał Jared Jordan ze swymi

trzema synami i witał gości ciepłym uśmiechem i uściskiem dłoni. Roza cieszyła się, że kolejka przed nimi była na tyle długa, że mogła się przygotować. Jordan wzbudzał w niej taki sam lęk jak za ostatnim razem. Elegancki szary surdut, spodnie tego samego koloru, czerwona, jedwabna kamizelka i czarne wiązanie pod szyją nie było w stanie zmienić jego prawdziwego wizerunku: dzikiej bestii. Włosy miał odgarnięte z twarzy, wąsy przystrzyżone. Uśmiech tak biały, że niemal oślepiał. Jego synowie byli wyżsi od niego. Przypominali go, ale nie roztaczali wokół siebie tej aury dzikiego zwierzęcia. Najstarszy stał obok ojca. Fizycznie go przypominał, ale twarz miała łagodniejsze rysy. Jego brwi bardziej wyginały się w łuk, ale oczy były takie same. Jasper, dziesiętnastolatek, był niemal identyczny jak ojciec. Nawet uczesał się tak samo. Najmłodszy, Jeremy, sprawiał wrażenie znudzonego, choć miał bystre oczy i wesoły uśmiech. Twarz jego była szczuplejsza niż ojca i braci, Roza przypuszczała, że przypomina swoją zmarłą matkę. Roza poczuła, że rozpoznaje w nim usposobienie Adama i Joego, ale upomniała siebie w myślach, że w rodzinie Jareda Jordana nie powinna nikogo lubić.

- Seamus O'Connor! Jestem zachwycony, że uczynił mi pan ten zaszczyt! Jared Jordan był niezwykle wylewny. Roza pomyślała kwaśno, że na pewno nie tylko ją zdziwiła jego serdeczność wobec nowo-niemal-bogac-kiego i niemal-świeżo-przybyłego Irlandczyka, ale ukryła swoje wrażenia pod sztywnym uśmiechem.

Wysunęła podbródek, gdyż poczuła spojrzenia synów Jordana zatrzymujące się na jej purpurowym policzku. Już miała wprawę w napotykanii takich spojrzeń. Odbierała je obojętnie. Nawet zawiązała kokardę od czepka na lewym policzku, by właśnie przyciągać te spojrzenia. Wszyscy w końcu zobaczą jej blizny. Dla niej nie miało to już znaczenia, równie dobrze mogą to zrobić od razu.

- I nasza Madam jeszcze bardziej czarująca, niż pamiętam! - zwrócił się szarmancko do Rozy, zbyt długo przyciskając usta do jej dłoni. Roza odmówiła nałożenia rękawiczek, wydało się jej to nienaturalne. - Nigdy nie zapomnę naszego pierwszego spotkania, Madam. Mam nadzieję, że będę mógł oprowadzić panią - i pani męża - później po moim domu. Teraz niestety zatrzymują mnie obowiązki gospodarza.

Roza uśmiechnęła się, a Seamus odpowiedział za nich oboje:

- Z przyjemnością.

Przedstawił Jordanom swoją rodzinę. Roza obserwowała ich razem.

Uderzyło ją, że nigdy wcześniej nie widziała męża w tym środowisku.

Może dlatego zakładała, że będzie się źle czuł. Myliła się.

Seamus wszędzie czuł się jak u siebie. Był taką rybą, która potrafiła opuścić morze i pływać w rzekach. Jego maniery sprawiały wrażenie nienaganych. Ona nie poznała nad fiordem Ka-fjorden form towarzyskich, a nad rzeką Oconee nic się nie zmieniło.

Joe i Adam dawali sobie radę w ten sam sposób co Seamus. Naśladowali otoczenie. Udawali bardziej obytych, niż byli. Przychodziło im to z ła-

twością. Mogliby być karciarzami na statkach pływających po Missisipi czy w ponurych saloonach na zachodzie. Eamonnowi i Paddy'emu przychodziło to z większym trudem. Peterowi też, choć przecież wywodził się z bogatej rodziny. Roza dostrzegała, że nie czuli się dobrze w jedwabnych chustkach i błyszczących kamizelkach. Surduty zdawały się im za ciasne.

Ale kobiety czuły się świetnie. Nawet Fiona, która miała niemal tyle oporów, co Roza, wyglądała na osobę, która napawa się tą rzadką okazją wystrojenia się i odmienienia na jeden dzień.

Roza spostrzegła, że policzki Coleen zaróżowiły się, gdy witała się z synami Jordana. Ściągnęła brwi podejrzliwie. Chyba rzeczywiście zapomnieli, że Coleen jest jeszcze taka młoda i ładna. Może powinni wziąć żart Joego z poprzedniego wieczora na poważnie? Miała nadzieję, że pod zarumienionymi policzkami i spuszczonego wzrokiem nie kryło się nic poza dziewczęcym wstydem. Oni nie należeli do klasy Jordanów. Żaden z książąt królestwa Blossom Hill nigdy nie ożenił się z irlandzką imigrantką. Miała nadzieję, że Coleen nie będzie się oszukiwała, myśląc inaczej.

Seamus ujął Rozę pod łokieć i poprowadził pomiędzy nieznanymi jej ludźmi.

- Będzie dobrze - szepnął. - Do tej pory nie było źle, prawda?

Pozdrawiał ludzi przechodzących obok. Roza zastanawiała się, skąd on ich zna. Z niektórymi przystawał, by zamienić kilka słów. Wszyscy krążyli pomiędzy drzewami. Kilkanaście stołów ustawiono pośrodku, a ubrani na czarno i biało nie-

wolnicy przesuwali się pomiędzy nimi niczym milczące duchy.

Serwowali jedzenie. Odnosili puste półmiski. Zastępowali nowymi.

- Pozwól, że ci przyniosę jedzenie - powiedział Seamus i posadził żonę na żelaznym krześle w cieniu drzewa.

Roze było niewygodnie. Siedziała w oddaleniu od innych ludzi. Nie czuła się dobrze, zastanawiała się, gdzie się podziali pozostali członkowie rodziny. Roza czuła się najlepiej pośród swoich. Już nie dostrzegала Seamusa. Słońce paliło i nawet przez koronę drzewa dotykało swymi promieniami ramion i policzków Rozy. Czepek nie dawał dostatecznej ochrony. Rósł w niej niepokój. Siedziała osamotniona i wyróżniała się. Czas płynął równie powoli co w jej koszmarach sennych. Zmusiła się do wzięcia kilku spokojnych oddechów.

- Opuścił panią mąż, pani Rose? - usłyszała szarmancki głos Jareda Jordana tuż przy swoim uchu.

Roza aż podskoczyła, a on śmiał się, zadowolony, że ją zaskoczył.

Położył dłonie na oparciu jej krzesła i pochylił się tak, że nieomal ją obejmował. Był zbyt blisko, zbyt poufały. Jego ciepły oddech łaskotał jej policzek, gdy mówił. Jego oczy płonęły intensywnie. Nie spuszczał z niej wzroku. Wiedział, że ją tym niepokoi, i cieszyło go to.

- Nie sądziłem, że Seamus może tak porzucić swoją żonę - uśmiechnął się. - Mówi się, że jesteście świeżo po ślubie. Ze podróz do Ameryki to wasza jakby podróz poślubna...

- Niewiele uchodzi pana uwagi, panie Jordan - odpowiedziała Roza.

- Proszę mówić do mnie Jared! - zaproponował. - Rani moje serce, droga pani Rose, gdy pani mówi do mnie panie Jordan!

To była gra. Wszystko, co mówił ten człowiek, było grą. Ale Roza obiecała Seamusowi, że się będzie starać. Potrafi grać przez kilka godzin, do licha! Obiecała to Seamusowi. Była mu winna więcej, niż ją to będzie kosztowało.

- Jared - powtórzyła.

- Nigdy się pani nie uśmiecha, pani Rose?

- Jeśli mam powód - odparła, odwracając od niego wzrok. Nadal nie dostrzegała Seamusa, ale zdawała sobie sprawę, że dama nie powinna biec, by szukać swego męża.

- Proszę pozwolić mi dać pani powód do uśmiechu, pani Rosi - powiedział Jared Jordan, zawieszając głos znacząco.

Roza spojrzała na niego. Czekwała na dalsze słowa. Jej puls bił nazbyt szybko. Czowała, że się rumieni zupełnie jak Coleen. Złościło ją to. Jordan był tylko lepiej ubranym typem mężczyzny, do jakich była przyzwyczajona! Spróbowała go sobie wyobrazić w brudnym ubraniu górnika, by go uczynić mniej niebezpiecznym, lecz wyobraźnia ją zawiodła.

- Czy nadal jest pani zainteresowana kupnem mojego młodego niewolnika? - spytał.

Serce jej podskoczyło.

- Mojego jednouchego niewolnika - uściślił Jordan, pochylając się jeszcze niżej. - Możliwe, że jest na sprzedaż. O ile uzyskam odpowiednią cenę.

- Jaka? - spytała Roza ochryple. Pomyślała o Princess. Wiedziała, że cierpi. Nie-

wolnicy czuli, że Marlon nie ujdzie z tego z życiem. Nie mówili o tym, że Princess powinna mieć nadzieję. Modlili się, by Marlon umarł jak najszybciej i uwolnił się od tortur.

- Nie mógłbym przyjąć od pani pieniędzy, pani Rosi - wyszeptał Jared Jordan. - Odebrałoby mi to przyjemność, jaką dałaby transakcja zawarta właśnie z panią.

Roza zebrała się w garść. Znała mężczyzn typu Jordana. Znała ich od dziesięciu lat. Nie był ani gorszy, ani lepszy od innych. Nic, o co by poprosił, nie zaskoczyłoby jej.

- Chciałbym zaproponować przyjacielską transakcję. Bo jesteśmy przyjaciółmi, prawda, pani Rosi?

- Oczywiście, Jared - odparła obojętnym tonem.

- Mimo to się nie uśmiechasz, pani! - udawał zawód Jordan, władczy mężczyzna trzymający w swoich rękach życie Marlona.

Roza uśmiechnęła się.

- Lepiej - odetchnął. - Dużo lepiej. Moja cena nie jest wygórowana. Ale oferta jest ważna tylko dziś. I musi pani odpowiedzieć od razu, nie omawiać tego z nikim. To sprawa wyłącznie pomiędzy nami i nie dotyczy nikogo innego.

- Twoja cena?

- ... Jared? - dodał prosząco.

- Twoja cena, Jared? - spytała Roza.

- Chcę godzinę twojego czasu, pani Rosi. Chcę ciebie. Chcę obietnicy, że w ciągu tej godziny będę mógł zrobić z tobą, co zechcę. Nikt nigdy się o tym nie dowie, a wieczorem odeślę do Favourite Marlona z dokumentem stwierdzającym, że należy do pani, Rosi.

Roza uświadomiła sobie, że zgodnie z regułami zachowania powinna teraz zemdleć u jego stóp lub go spoliczkować.

- Nie uda mi się stąd wyjść - odparła sztywno.

- Ale przyjęłabyś moją cenę, pani? - Uniósł jedną brew i odsłonił swoje białe zęby w drapieźnym uśmiechu. - Czyżbyś miewała już wcześniej takie oferty?

- Nie.

- Wczesnym popołudniem panowie wycofają się na picie brandy, palenie cygar i dyskusje o polityce. Stają się wtedy głośni i nudni, bo większość ma coś do powiedzenia o wojnie. Która nadejdzie lub nie nadejdzie.

Dotknął ostrożnie palcem loka jej rudych włosów. Roza odsunęła się, bo nie chciała, by ktoś to dostrzegł. Jego śmiech był niemal groźny.

- Kobiety zwykle odpoczywają na piętrecze. A niektóre spacerują w cieniu ogrodu...

Zamilkł znacząco.

- Dobrze, Jared - odpowiedziała Roza. - Przekonałeś mnie, że to jest możliwe.

- Spotkamy się tutaj - zarządził - gdy kobiety pójną na górę. Tu nikt cię nie dojrzy. Okna sypialni wychodzą na rzekę.

Roza pokiwała głową.

- A więc umowa stoi.

Jordan uśmiechnął się, zadowolony, i wyprostował. Roza zastanawiała się, czy on ma za sobą doświadczenia wojskowe. Jego sposób bycia na to wskazywał.

- To przyjemność prowadzić z panią transakcje, pani Rose - powiedział. - Cieszę się...

Skłonił się lekko przed nią i odszedł pełnić obowiązki gospodarza doskonałego.

- A więc tu jesteś! - zawołała Fiona z ulgą. Szła pod rękę z Coleen. Usiadły na wolnych krzesłach obok Rozy.

- Pokaż jej swój karnecik, Coleen! - zachęciła Fiona bratową, która zachichotała, szukając wzrokiem kogoś w tłumie.

Roza poczuła nieprzyjemny, zimny ucisk w brzuchu.

- Jared junior wpisał swoje imię w cały karnecik! - Fiona przewróciła oczami. - Chciał, by była wolna, gdy zechce z nią zatańczyć.

- Jeśli będzie musiał zatańczyć z inną, zawsze Joe albo Adam mogą zatańczyć ze mną - dodała Coleen z marzycielskim wyrazem oczu, który przeraził Rozę.

- Nie możesz się zakochać w Jaredzie juniorze! - rzuciła stanowczo.

- Rosi! - próbowała zażegnać konflikt Fiona.

- Ona nie może się zakochać w Jaredzie juniorze! - upierała się Roza. - Wiesz o tym równie dobrze jak ja, Fiono. My nadał jesteśmy dzierzawcami w lepiankach, podczas gdy on jest księciem Walii!

Coleen zerwała się z krzesła. Nieomal płakała, ale tupiąc w trawnik, krzyknęła do Rozy:

- Wiedziałam, że będziesz próbować to zniszczyć! Wiedziałam, że nie powinnyśmy ci tego mówić! Ty nie znosisz, gdy inni dobrze się bawią.

Nie znosisz, gdy inne są ładne. Jenny ma rację! Jesteś jak pajak zjadający wszystkie muchy z pajęczyny! Ja zatańczę z Jaredem juniorem. Zatańczę z nim

każdy taniec, jeśli będzie chciał. I jeśli będę chciała się w nim zakochać, zrobię to! Niczym mnie nie powstrzymasz! Niczym!

Wykrzyczawszy to, odbiegła od nich.

- Będę na nią uważać! - rzuciła Fiona przez ramię i pobiegła za młodą bratową.

Roza westchnęła.

- Co to było? - spytał Seamus, który nadszedł, niosąc talerze napełnione po brzegi smakołykami, których widoku Roza nagle nie mogła znieść.

- Nie jestem głodna - wyjaśniła. Seamus nie przejął się tym. Opadł na wolne

krzesło, używając drugiego jako podnóżka. Z przyjemnością zjadał kawałki tego i owego z obu talerzy. Za każdym razem, gdy zabierał kawałek z jej talerza, pytał ją, czy rzeczywiście jest pewna, że nie chce tego sama zjeść, a Roza weszła w rolę i za każdym razem odpowiadała, że rzeczywiście nie chce.

- O co pokłóciłyście się z Coleen?

- O juniora - odparła Roza. Nie widziała powodu, dlaczego miałyby to ukrywać. Może Seamusowi uda się przemówić Coleen do rozsądku.

- Jared junior zawraca w głowie naszej Coleen! Seamus gwizdnął cicho, lecz jego uśmiech pozostał niezmienny.

- Jared junior straci zainteresowanie naszą piękną Coleen, gdy tylko dowie się, że ma dwóch synów. Ten fakt zwykle błyskawicznie studzi zapały takich młokosów. On pewnie chętnie by chciał mieć synów, ale własnych. Nie ma powodu krzyczeć na siebie z tego powodu.

- A co z Coleen? Ona o tym wie? - spytała Roza.
- Jest dużą dziewczynką.
- Zakocha się i dozna zawodu - prorokowała Roza.
- To jej życie - przypomniał Seamus. - Kiedy to przestaniesz zamartwiać się o innych?
- Dla takich jak Jared junior wszystko jest zabawą - mówiła dalej Roza, zła. Była po stronie Coleen, bez względu na to, co szwagierka o tym sądziła. - Bierze to, co chce, i potem rzuca.
- Daruj jej jakieś miłe wspomnienia! Pozwól tańczyć i mieć powodzenie na balu! Coleen nigdy nie była na tańcach większych niż tańce w stodole Mitchella pod Kilkenny. Sean był niestety miernym tancerzem, a junior z pewnością brał lekcje tańca. Pozwól jej na wspomnienia. Co, u Boga, może się wydarzyć na balu pośród tych wszystkich ludzi?

Roza nie odpowiedziała.

Ból stał się rzeczywisty. Opasał jej głowę taśmą, którą ktoś dodatkowo zaciesniał, uciskając łuki brwiowe, skronie, nieomal miażdżył jej czaszkę...

... on marzył. Już prawie nie miał myśli. Już nie wierzył w świetlisty pas. Dla niego nie istniała już magia, która potrafiłaby uwolnić go od bólu, który przynosiło światło. Istniała jedynie bezsłowna nadzieja, że następnym razem ból będzie tak wyszukany, tak szatański, że uwolni go od życia...

Pragnął, by już nie musiał oddychać, by za zapuchniętymi powiekami już nie widział obrazu swojej matki...

Wszystko działo się tak, jak powiedział. Po jakimś czasie towarzystwo zaczęło wchodzić do domu. Kobiety rozluźniły wstążki czepków i zaczęły płynąć na piętro po szerokich schodach niby odwrócony strumień.

- Chodźmy odpocząć! - zaproponowała Fiona, chcąc pociągnąć za sobą Rozę. - Słyszałam, że mają tu wspaniałe łoża z brązowego drewna, z baldachimami. Muszę je zobaczyć! A tapety w korytarzu są niczym złocisty sen!

- Jeszcze nie - uśmiechnęła się słabo Roza. - Idź sama, Fiono. Ja posiedzę tu chwilę w cieniu. Lubię, gdy robi się spokojnie. Te gdaczące dziewczęta przyprawiają mnie o ból głowy.

- Trochę jesteś blada - zauważyła Fiona. - Pewna jesteś, że nie chcesz, by sprowadzić ci Seamusa?

Roza pokręciła głową.

- Niech Seamus porozmawia sobie z mężczyznami. Pewnie umiera z chęci pogadania po męsku i picia drogiej brandy Jordana i palenia jego równie drogich cygar. Nie odbieraj mu tego...

- Seamus dobrze się czuje pośród tych ludzi - westchnęła Fiona w zamyśleniu.

Roza pokiwała głową.

- Idź, popatrz na łoża - rzuciła Roza lżejszym tonem. - Trzymaj tylko Jenny za spódnicę, by nie złamała serca Joemu!

Fiona zaśmiała się głośno.

- Dasz sobie radę? - upewniła się.

- Oczywiście, że tak! - prychnęła Roza. - Co może mi się tu stać?

Rozdział 12

Seamus myślał o tej sprawie przez wiele dni. W ciągu kilku nocy czuwał z Rosi w ramionach, nasłuchując jej bezładnego mamrotania. Miał poczucie, że koszmary szarpiące jej zdrowie i nerwy mają związek z tym niewolnikiem Jordana.

Zadbał o to, by znaleźć się z Jaredem Jordanem na osobności, gdy panowie przeszli po obiedzie na pierwszorzędne brandy. Seamus podziękował i poczęstował się cygarem, które zaoferował mu gospodarz.

- Co mogę dla pana zrobić, Seamusie? - spytał Jordan zachęcająco.

- Przede wszystkim, posłuchać - odparł Seamus, przywołując na pomoc cały swój urok, który zwykle pomagał mu w załatwianiu interesów, niezależnie, czy rozmawiał z mężczyznami, czy kobietami. - Moja żona jest niewiastą o czułym sercu - zaczął lekko przeproszającym tonem.

- Zrozumiałem to od razu, gdy ją poznałem - odparł Jordan. - Jesteś pan szczęściarzem, O'Connor!

Wzniósł swój kieliszek i Seamus także upił ze swego.

- Ona jest wciąż bardzo przejęta losem tego uciekiniera - mówił dalej Seamus. - Ma słabość do jego matki, a ponieważ sama straciła dziecko, czuje z nią szczególny związek.

- Czy jest tak, że chce pan kupić ode mnie tego czarnucha, panie O'Connor? - spytał Jordan wprost, sprawiając wrażenie, że nie ma czasu na dłuższe pogawędki.

Seamus uśmiechnął się z ulgą. Przygotował sobie całą przemowę, ale wdzięczny był, że nie musi jej wygłaszać.

- Tak - rzucił. - Dla Rosi.

- Wydaje mi się, że to dziwny podarunek dla kobiety jak pańska małżonka. Ale co ja właściwie wiem o kobietach? Sprzedam chłopaka za tysiąc dolarów i jego matkę - dodał bez mrugnięcia powieką.

Seamus także zachował maskę. Pewnie nie takiego układu pragnęłaby Rosi, ale może to nauczy ją, że wszystko ma swoją cenę.

- Stoi! - rzucił.

- Wyślę czarnucha do Favourite wieczorem po balu - oświadczył Jared Jordan. - Matthews od razu zabierze ze sobą niewolnicę. Może pan zapłacić wekslem albo gotówką.

Przypieczętowali handel stuknięciem kieliszków. Jordan opróżnił swój i odstawił na pobliski stolik.

- Proszę mi teraz wybaczyć, panie O'Connor, ale mam sprawę niecierpiącą zwłoki!

Seamus pokiwał głową. Ulżyło mu, że wszystko poszło tak gładko.

Pomyślał, że nic nie wyjawia w domu, dopóki ten zarządca Jordana nie przyjedzie z chłopakiem. Cieszył się, gdy wyobrażał sobie minę Rosi.

Nikt mu nie powie, że nie stara się jej zrozumieć!

- Czekasz!

Jared Jordan podszedł cicho jak drapieżnik. Roza usiadła głębiej w cieniu w nadziei, że nikt jej nie zauważy. Już dłuższą chwilę była tu sama, nie licząc pojedynczych niewolników, którzy zresztą nie spoglądali w jej stronę.

- Zatrzymano mnie - wyjaśnił Jordan, podchodząc zbyt blisko Rozy. - Nasza godzina wkrótce się rozpocznie - powiedział i wyciągnął zegarek z kieszonki. Wskazywał za dziesięć czwarta.

- Nasza godzina rozpoczyna się teraz! - odparła Roza.

Zaśmiał się bezgłośnie, ale zatrzasnął wieczko zegarka i pokiwał głową, otaczając talię Rozy ramieniem z władcą miną.

-Jak pani chce, Rosi. Nasza godzina zaczyna się teraz. Nie marnujmy jej zatem!

Poprowadził ją pomiędzy drzewami, mijając chaty niewolników, do murowanego, piętrowego domu leżącego niedaleko rzeki. Roza przypuszczała, że to mógł być spichlerz na bawełnę, przewożoną potem statkami.

Nie zaprowadził jej ku głównemu wejściu. Obeszli dom. Z tyłu znajdowała się kłapa ukrywająca zejście po schodach do piwnicy. Popchnął ją przed sobą, by zeszła. Roza poczuła niemal namacalny strach. Wyczuła nagi lęk.

Ktoś zapalił kilka pochodni i wetknął je w metalowe uchwyty w ścianie. Jared Jordan zamknął kłapę i podszedł do Rozy. Z ręką na jej talii poprowadził ją dalej. Otworzył drzwi.

Pomieszczenie było większe niż w jej snach. Ale ściany były z kamieni, podłoga też. Nie było

innego źródła światła niż pochodnia. Jedna już płonęła.

W rogu leżał ktoś przykuty za nadgarstki łańcuchami do ściany. Roza odwróciła się, gdy go dostrzegła. Wpadła na Jordana, który zdecydowanym ruchem obrócił ją z powrotem.

- Oto twój niewolnik, pani Rose - powiedział łagodnym tonem. - Czy nadal jest wart ceny, którą uzgodniliśmy?

Minęły dwa tygodnie. Zrozumiała, że bili go każdego dnia, niczego innego nie mogła oczekiwać. Ale nigdy nie zdołałaby wyobrazić sobie tego stanu, do którego go doprowadzili. Jak bardzo musieli go torturować, ile zła musiało się w nich kryć...

- Umowa jest aktualna - odparła drżącym głosem. Nie wiedziała, czy Marlon ją słyszy.

Nie umiała stwierdzić, czy jest przytomny. Oczy stanowiły wąskie szparki w twarzy, która niczym nie przypominała tej, którą pamiętała.

Była żywym mięsem. Górna część ciała nie wyglądała lepiej. Spodnie się niemal nie trzymały. Czuć było potem, moczem i ekskrementami.

Rozie zrobiło się niedobrze, ale zmusiła się, by wytrzymać. Pozostała jej niecała godzina. Trochę czasu zajęło im dojście z pięknych ogrodów do tej celi. Już wtedy trwała jej godzina. Ile może jej zrobić przez godzinę? Ile mogą jej zrobić w niecałą godzinę?

Simon Matthews stał oparty o ścianę niedaleko Marlona. W rękach miał wieloramienny pejcz. Jego uśmiech nie dosięgał oczu. Rozie przemknęło przez myśl, że kiedyś nawet uważała, że jest przystojny! Teraz jego spojrzenie budziło w niej lęk.

- Rozbieraj się! - rzucił Jordan, obchodząc ją wokół i stając przed nią wyczekująco.

Roza zwilżyła językiem suche wargi i rozwiązała wstążkę czepka. Potem odwróciła się do niego plecami i głosem najspokojniejszym, jaki umiała wydobyć, powiedziała, że sama nie rozepnie sukni.

- Obawiam się, że musisz mi pomóc, Jared.

Miał wprawne dłonie. Po upływie niewielu minut z ich godziny rzucił za siebie suknią niczym szmatą. Roza zadrżała.

- Możesz zostawić gorset i koszulę - powiedział, strzepując popiół z cygara. - Nie będziemy marnować na to czasu.

Włożył rękę za jej dekolt i ścisnął pierś tak mocno, że Roza aż krzyknęła z bólu. Wywołało to uśmiech na jego twarzy. Użył palca wskazującego i kciuka, by ścisnąć brodawkę jeszcze mocniej.

- Krzyczałaś, gdy to się działo? - spytał Jared Jordan, biorąc Rozę pod podbródek i obracając oparzoną policzkiem w swoją stronę. Kciukiem potarł pofałdowaną skórę. - Krzyczałaś, Rosi?

Nie odpowiedziała.

- Nie sądzę - odpał za nią, puszczać ją. - Zdejmij krynolinę i pantalone. Zrobiła, jak powiedział. Już czuła się bardziej zbrukana niż kiedykolwiek w życiu. Przez cały czas zarządca Jordana, Matthews, stał oparty o ścianę i bez żenady patrzył na nią. Uśmiechał się, pokazując zęby. Wargi miał wilgotne.

Jordan w tym czasie zdjął surdut i ostrożnie, by nie pognieść materiału, podwinął rękawy koszuli. Cygaro zgasił o ścianę i rzucił na ziemię.

Powietrze było wilgotne i zimne. Roza drżała

i czuła, że dostaje gęziej skórki, ale nie pochyliła głowy przed pożądanym spojrzeniem Jordana i jego pomagiera.

- Moje wymagania są... nieco specyficzne - zaczął Jordan tonem konwersacji. - Większość kobiet uważa je za obrzydliwe. No, z wyjątkiem kurew, ale mnie nie pociągają kurwy. Lubię kobiety wyjątkowe.

Podszedł do Rozy i pocałował ją mocno w usta. Wytrzymała to, nie odwzajemniając pocałunku.

- Ty zносиłaś już ból, Rosi. Możliwe, że jesteś rzadkim kwiatem, który podzieli moje radości. Moje rozkosze...

Roza czuła, jak ściska ją w dołku.

- Simon! - rozkazał Jordan.

Ten skinął głową, jakby się nudził, i uderzył pejczem już niemal pozbawione życia ciało Marlona.

Roza chciała ukryć twarz w dłoniach, ale Jordan przytrzymał jej ręce i zmusił, by patrzyła. Łzy zmaciły jej wzrok, ale jednak widziała, co się dzieje.

Po trzecim czy czwartym uderzeniu chłopiec zajęczał i próbował się odsunąć przed pejczem, ale wtedy Matthews włożył więcej przekonania w swoje zadanie.

Jordan popchnął Rozę na kamienną podłogę. Sprawił, że uklękła z przedramionami na ziemi i głową na nich. Poczwała się jak pies, ale już się nie bała. Czuła się silna.

Zanim zdążyła się zorientować, coś świsnęło i poczuła ostry ból na pośladkach. Krzyknęła i skuliła się, ale głos Jordana upomniał ją, że mają umowę.

Poprawiła pozycję i gdy następnym razem pejcz

ją trafił, była przygotowana. Gryzła się w ramię i nie krzyczała przez następne cztery, pięć razy.

- Nie pozostawiam śladów - tłumaczył zwyczajnym głosem, podczas gdy nadal ją bił. - Używam pejcza tak szerokiego i delikatnego, i wybieram miejsca tak miękkie, że zaliczyć to można raczej do pieszczot...

Roza krzyknęła gardłowo, gdy poczuła następne uderzenie niżej, dochodzące do jej sromu. Wysłało falę bólu przez całe ciało aż do głowy. Słyszała świst jego pejcza i uderzenia wieloramiennego pejcza Matthews'a. Bardziej słyszała uderzenia niż je już czuła, i krzyczała na ich odgłos, a nie na uderzenie.

Gdy skończył bić, pomyślała, że może godzina już minęła, że to już koniec, że pójdzie. Następna myśl, która jej przeszła przez głowę, to że zostanie tu na zawsze. Że Jordan nie dotrzyma umowy. Że zabije Marlona. Że Biegnący Łoś już nigdy więcej nie pobiegnie. A ona umrze, przykuta do ściany, aż kajdany przetną jej ciało do kości.

Wtedy poczuła go za sobą, poczuła materiał jego spodni ocierający się o jej nagą skórę, nawet zanim jej dotknął, jakby jej zmaltretowana skóra stała się bardziej wrażliwa.

Ujął ją za biodra. Poczuła jego członek pomiędzy nogami. Ocierał się nim o nią rytmicznie. Pragnęła tylko, by szybko skończył. Kolana ją bolały, ramiona też. Paliły ją pośladki. Nagle rozszerzył jej uda jeszcze bardziej i Roza aż zatchnęła się z bólu, gdy wszedł w nią w taki sposób, w jaki nigdy by sobie nie wyobraziła, że mężczyzna może osiąść kobietę.

Położył się na niej ciężko i ugniatał piersi tak mocno, że była pewna, że pozostawi siniaki.

Dyszał głośno w jej ucho, stękał, jakby czuł tyle samo bólu, ile zadawał jej.

Cały czas Simon Matthews uderzał miarowo Marlona swoim pejczem. Jordan wyszedł z niej zaraz po tym, jak osiągnął spełnienie. Leżała na miejscu bez siły, by wstać. Oczy miała zaklejone łzami i potem. Ale nie słyszała już pejcza.

- Zostało jeszcze czasu dla ciebie - rzucił Jordan do swojego rządcy.

Roza zerknęła z trudem na Matthewsą. Ten pokręcił głową. Jedną dłoń trzymał pejcz, drugą obejmował swój członek. Roza dostrzegła, że miał wytrysk, i przełknęła ślinę, by powstrzymać nudności.

- Wystarczyło mi to, co widziałem - odparł. - Ona umie zaspokoić.

- Wiedziałem, że taka będzie - powiedział Jared Jordan, wycierając delikatnie Rozę między nogami jedwabną chustką. - Ja nie jestem dzikusem, moja droga - dodał. - Istnieje różnica pomiędzy nami a nimi. - Skinął głową w kierunku Marlona, który krwawił z nowych ran na ciele. Świadczyło to przynajmniej o tym, że jeszcze żył. - Kupiłaś sobie czarnucha, Rosi.

Jordan pomógł jej wstać, oparł o ścianę i w odpychająco opiekuńczy sposób naciągnął na nią pantalon i zawiązał w talii. Udrapował krynolinę i sprawdził godzinę, zanim podniósł suknię z podłogi-

- Pozostało nam czternaście minut, Rosi. Wie-

działem, że nie będziesz marnowała czasu na niepotrzebny opór - mówił lekkim tonem. - Szkoda, że nie będziemy mogli tego powtórzyć.

Roza nic nie odpowiedziała. Poprawiła rękawy, a Jordan zapinał liczne guziczki na plecach. Wreszcie podał jej czepek i patrzył, jak zawiązuje wstążkę tak, jak poprzednio.

- Tylko oczy cię zdradzają, moja kochana - westchnął i zacmokał językiem. - Zobaczymy, co się da z tym zrobić.

Szybkim krokiem poprowadził ją do ogrodu, trzymając szarmancko pod łokieć i udając dżentelmena. Nieomal mogła wyobrazić sobie, że minionej godziny po prostu nie było...

- Moje lilie - rzucił Jordan, prowadząc Rozę pomiędzy rabaty wysokich kwiatów. Zaczął je zrywać, łamiąc soczyste łodygi. Odgłos ten przypominał Rozie odgłos uderzeń pejcza. Była pewna, że on też to słyszał i że pomyślał tak samo.

Gdy już nazbierał naręcze, dał kwiaty Rozie. Musiała je przyjąć.

- Kazałem jednej z niewolnic nazbierać bukiet z tych kwiatów, które podziwiałaś w moim ogrodzie - powiedział z uśmiechem, mrużąc oczy. - Znalazłem cię tu samą, pani Rose. Oszłamiająca kobieta wymaga oszłamiających kwiatów. Niestety, za późno odkryłem, że jest pani jedną z tych osób, które reagują na lilie czerwonymi oczami. Żałowałem tego jak dziecko, ale już nic nie mogłem zrobić, prawda?

- Tak, Jared - odparła Roza, przyciskając lilie do piersi.

Bolało ją stawianie każdego kroku. Wolała nie myśleć, jak będzie z tańcem.

Jared Jordan poprowadził ją krętymi ścieżkami ogrodu do głównego wejścia do domu. Roza zacisnęła zęby i weszła po schodach bez jęknięcia. Jordan spoglądał na nią z boku i uśmiechnął się z uznaniem.

- To wielka szkoda, że nie spotkaliśmy się, zanim poznałaś tego wspaniałego O'Connora - powiedział Jordan ze szczerym żalem w głosie.

- Nigdy żadna kobieta nie pasowała do mnie tak dobrze jak ty, Rosi. Nie odpowiedziała. Była zbyt obolała, by wykonywać więcej niż jedną czynność na raz. Teraz skupiała się na tym, by iść.

Hol odpowiadał opisom Fiony. Był przeładowany przepychem złota i brązu. Na ścianach wisiały niezliczone portrety pokoleń mężczyzn z rodu Jordanów. Roza zastanawiała się, czy oni też mieli specjalne żądze...

Jordan dostrzegł Seamusa przez otwarte drzwi biblioteki, gdzie mężczyźni w końcu zdołali przedyskutować, co się opłaca uprawiać, omówić grożącą od dziesięciu lat wojnę i wypalić tyle cygar, że powietrze było aż gęste od dymu.

- O'Connor! - zawołał Jordan, a Seamus obrócił się w jego stronę z pytającym spojrzeniem. Zesztywniał, gdy za gospodarzem dostrzegł Rozę. Powolnym krokiem wyszedł z biblioteki. W jego spojrzeniu czaiły się niezliczone pytania. Roza spojrzała mu prosto w oczy.

... nie mam się czego wstydzić... ... zrobiłam to, co musiałam...

- Znalazłem pańską żonę klęczącą przed moimi liliami - uśmiechnął się Jordan, poklepując Seamu-

sa po ramieniu. - Ponieważ tak się jej podobały, kazałem niewolnicy zerwać bukiet godny takiej kobiety jak pańska żona. Ja bardzo chętnie dzielę się tym, co mnie raduje, z tymi, którzy wydają się cieszyć tym równie mocno jak ja. Mam nadzieję, że nie obraziłem pana, obdarowując pańską żonę naręczem lilii?

- Nie - odparł lekko zdezorientowany Seamus. - Oczywiście, że nie. To uprzejme z pana strony, Jordan, choć niekonieczne.

- Kiedyż to piękno było konieczne? - odpowiedział pytaniem Jordan. - A czyż wszyscy nie napawamy się nim?

- Tak - przyznał Seamus, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że coś jest nie w porządku. Nie umiał tego sprecyzować, ale dotyczyło to Rosi. Podeszedł do niej i dostrzegł, że ma zaczerwienione oczy i opuchnięte policzki. - Kochanie! - wykrzyknął, unosząc jej podbródek. - Płakałaś?

Pokręciła głową.

Jordan także podeszedł bliżej. Sprawiał wrażenie przejętego i nieszczęśliwego.

- O, nie! - zawołał. - Tak mi przykro! Doprawdy bardzo mi przykro, O'Connor! To było bezmyślne z mojej strony. Nie przyszło mi na myśl, że pańska żona może nie tolerować lilii! Kwiaty to sprawa kobieca. Moja zmarła żona także kochała lilie, ale ich nie tolerowała. Jej skóra czerwieniała, puchła i swędziała, a z oczu lały się łzy. Nie pomyślałem, że pańska żona może mieć podobną reakcję. - Zabrał lilie z objęć Rozy. - Może chciałaby pani odpocząć na piętrecze?

Roza pokręciła głową, patrząc prosząco na Se-

amusa. A miała tu nie robić skandali. Miała się zachowywać tak, jak tego oczekiwał. Seamus uwielbiał obracać się w takich kręgach. Jakże Roza nienawidziła tych kręgów...

- Sądzę, że zabiorę moją żonę do domu - powiedział.

Roza poczuła wielką ulgę i wdzięczność, której jednak nie mogła okazać.

- Nie mogę na to pozwolić! - zaprotestował Ja-red Jordan.

Roza zastanawiała się, czy on rzeczywiście byłby w stanie ich zatrzymać. Nie zdziwiło by jej to.

- Tak się cieszyłem na zatańczenie walca z pańską żoną! - dodał, uśmiechając się wilczym uśmiechem.

Seamus otoczył Rozę ramieniem w talii. Czuł, że drży, a jednocześnie aż płonie. Wyczuł to przez suknię, gorset i co tam jeszcze miała na sobie.

- Może innym razem - obiecał. - Rosi ostatnio nie czuła się dobrze. Nie chcę jej narażać na wysiłek ponad siły.

- Oczywiście, że nie - odparł Jordan. - Rozkażę, by wyprowadzili państwa wóz. Mam tylko nadzieję, że nie oznacza to, że cała pańska rodzina opuści bal mojego syna?

- Nie, oni zostaną - Seamus uśmiechnął się sztywno. Poczuł, że naduprzejmość gospodarza trochę go męczy.

- Zawiadomię ich, że państwo odjechali, i wytłumaczę, dlaczego - powiedział Jordan, wyciągając dłoń. Wymienili z Seamusem mocny uścisk.

Dłoń Rozy nie drżała, gdy ją podawała. Wargi Jordana ponownie pozostawiły wilgotny odcisk

na wierzchu jej dłoni, ale miała nadzieję, że Seamus tego nie zauważył.

- Nie zmęczył cię? - spytał Seamus z kozła woźnicy, gdy wyjeżdżali z bramy Blossom Hill.

- Nie - odparła Roza, wdzięczna, że Seamus siedzi z przodu i jej nie widzi.

- Kwiaty były takie piękne! - dodała. - Nie wiedziałam, że można chować z powodu kwiatów.

Z trudem siedziała. Czowała, jakby balansowała nad płonącym ogniskiem.

Wreszcie uznała, że najlepiej to zniesie, gdy usiądzie z szeroko rozstawionymi nogami.

- Możliwe, że to również z powodu gorąca - rzucił Seamus. - Coleen upał też bardzo dokuczał.

Przemknęło mu przez głowę, że Coleen wtedy była w ciąży. Następna nagła myśl przyniosła pytanie, czy może Roza też jest w ciąży. Nie odważył się w to uwierzyć. Tak niedawno straciła ostatnie dziecko. Ale nadzieja istniała.

- Przykro mi, że nie możesz tam być - udało jej się powiedzieć. - Podobało ci się tam. Dobrze się tam czułeś.

Tak, dobrze się tam czuł.

- Nie za bardzo lubię tańczyć - pocieszył ją. - Ale wziąłem udział w tym, co lubię. Porozmawiałem z ludźmi. Posłuchałem ich opinii. Dla wielu stałem się kimś więcej niż tylko nazwiskiem. Uważam, że to dobrze móc się spotkać z innymi. Ta reszta z sukniami i tańcami była bardziej dla ciebie. Roza chciała i płakać, i się śmiać.

- Ja jeszcze mniej lubię tańce niż ty, Seamusie - powiedziała.

Droga była wyboista. Roza nie była pewna, czy

dotrze do Favourite o zdrowych zmysłach. Zacisnęła zęby, by wytrzymać.

- Nie był to całkiem stracony czas - przyznał Seamus. Zdecydował się zdradzić jej tajemnicę nieco wcześniej. - Jordan sprzedał mi tego niewolnika, za którym tak się ujmowałeś, Rosi. Wyśle go do nas po balu. Roza nie odpowiedziała. Zabrakło jej słów. Seamusa pewnie by zdziwiło, gdyby zaczęła się głośno śmiać. Albo płakać z gniewu i bólu. Dlatego milczała.

- Cieszysz się? - spytał, zerkając przez ramię.

- Tak - odpowiedziała. - Tak. Dziękuję, Seamusie!

Uśmiechnął się i poczuł, że dobrze było móc sprawić jej przyjemność. Zaslugiwała na to.

Nigdy więcej nie pozwolę, by mnie wykorzystano. Stanę się tak silna jak oni. Wyrosnę z tego bólu i stanę się tak silna, że oni rozbiją się o mnie, jeśli jeszcze kiedyś będą chcieli zrobić mi coś złego...

... nigdy więcej nie pozwolę, by mnie wykorzystano...

Rozdział 13

- Ona jest chora - rzucił Seamus zdumionej Mary, niosąc Rozę na rękach. Roza nie była w stanie nic powiedzieć. Nic nie pamiętała z ostatniego kawałka drogi do Favourite. Może na chwilę straciła przytomność. Była bliska zanurzenia się w litościwą ciemność niczym w spokojną, głęboką wodę. Ale migoczące światło trzymało ją na powierzchni. Gdy otworzyła oczy, byli już na miejscu i Seamus wziął ją na ręce. Wspaniale było oprzeć policzek o jego pierś i poddać się jego woli.

- To na pewno coś więcej niż tylko kwiaty -mruczał pod nosem, rozpinając jej suknię trzęsącymi się palcami. - To jeszcze ten przeklęty gorset. To nienaturalne sznurować tak ciało!

Rozrywał wiązania gorsetu i Roza poczuła wreszcie, że łatwiej jej oddychać. Ale bała się odwrócić do niego, by zdjąć krynolinę. Może nie było to rozsądne, ale obawiała się, że Seamus wyczuje zapach tego, w czym brała udział. Co sprawiło, że tak źle się czuła.

... nie, to nierozsądne...

... oczywiście, że tego nie wyczuje...

Jego palce gładziły delikatnie jej policzki. Uśmiechnął się do niej ciepło.

- Twoje oczy wyglądają już lepiej - szepnął. - To te przeklęte kwiaty!
Pocałował ją leciutko w powieki, pod oczami, w oba policzki, leciusięńko w usta.

- Chyba dobrze, że nie będziemy mieszkać na Rose Garden - uśmiechnął się. Roza odgadywała z jego głosu, że się o nią bał. - Posadzilibyśmy tam mnóstwo kwiatów, by dopasować się do nazwy. A wtedy byś zachorowała i nie rozumielibyśmy, dlaczego.

Mówiąc to, wyciągał szpilki z jej włosów. Rozluźniał kunsztowną fryzurę, w której nie była podobna do siebie. Rozpuścił loki i pomasażował palcami skórę jej głowy. Zaniósł ją do łóżka i okrył prześcieradłem.

- Odpoczywaj, kochana! - szepnął.

Roza zamknęła oczy i odpłynęła w miłosierny sen, gdy on jeszcze do niej mówił.

- Jesteś pewien, że nie jest w ciąży? - spytała Fiona, machając bosymi stopami w ciemności nocy na schodach domu.

Było zbyt gorąco, by wchodzić do środka. Po przybyciu z balu czuli się zbyt podnieceni, by zasnąć.

Seamus, zrezygnowany, przejechał dłonią przez włosy.

- A kiedy można być całkiem pewnym? - spytał zmęczonym tonem.

- Gdy wracasz do domu po kilku miesiącach nieobecności, a jej talia jest nadal szczupła - zażartował Joe.

Jenny zachichotała. U Jordanów wypić wiele kieliszków słodkiego wina. Czowała, że ma lekką

głowę i że nadal jest ładna, nawet bez krynoliny i pantofli.

- Chyba nie jest jej łatwo zejść w ciążę - rzucił Seamus bezradnie.

Tym razem zaśmiały się Fiona i Jenny.

- Nie jesteś pierwszym, który to mówi! - stwierdził Joe z udawaną powagą.

- Szkoda, że ona zepsuła ci bal, Seamusie - ubolewała Jenny.

Nie odpowiedział.

- Jared junior przetańczył wszystkie tańce z Coleen, dopóki Jordan senior nie rozkazał mu okazać zainteresowania kilku lalkom z anglezami

- opowiadał Joe, zabierając bratu prawie pustą butelkę z whisky. -

Chłopak nie sprawia wrażenia rozpuszczonego synalka bogaczy - dodał.

- Nie przypomina seniora - dorzuciła Fiona.

- Wolisz, by go nie przypominał - odparł Peter.

- Ten średni jest najbardziej podobny do ojca - utrzymywała Fiona. -

Jasper. Ma w sobie coś takiego, co sprawia, że zimny dreszcz przechodzi ci po plecach. Wolałabym nie znaleźć się z nim sama w pokoju. A ten junior wydaje się nieomal miły...

- Tylko nie mieszaj Coleen w głowie! - rzucił Seamus ostrym tonem.

- Mówisz tak, jak Rosi - uśmiechnęła się Fiona.

- Była na balu - powiedział Seamus. - Coleen powinna zdawać sobie sprawę, że to wszystko, czego może się spodziewać. Tylko to się wydarzyło. Nic innego nie nastąpi. Tacy jak Jordanowie trzymają się swoich kręgów.

- Nie sądzę, żeby Coleen chciała w to uwierzyć - stwierdził Joe z naciskiem.

- On jej dał kwiatek ze swojej butonierki - dodała Jenny znacząco.

Wszyscy poza Fiona wpatrzili się w nią.

- Nie zauważyliście? - spytała Jenny zdumiona. - Wszyscy mężczyźni z rodziny Jordanów mieli róże w butonierkach. Senior miał pasową, Junior białą, Jasper żółtą, a Jeremy jasnoróżową. Nawet Justin miał różę, nieco jaśniejszą niż wujka.

Seamus przypomniał sobie to.

- Coleen miała we włosach białą różę, gdy odjeżdżaliśmy - dodała Jenny i uśmiechnęła się.

Fiona westchnęła.

Seamus przypomniał sobie tę pasową różę w butonierce Jareda Jordana.

Widział ją, gdy pili brandy i rozmawiali o interesach, ale gdy Jordan wszedł do hallu z Rosi, już jej tam nie miał.

Rosi trzymała w objęciach naręcze lilii. Czyżby dostała też różę?

Zalała go gwałtowna fala zazdrości. Bronił się przed nią, ale ogarnęła go wbrew woli. Pomyślał jednak, że Rosi nie mogłaby jej przed nim ukryć.

Nie miała torebki i wróciła do domu z pustymi rękami. Sam ją rozbierał.

Róża Jareda Jordana musiała zostać gdzie indziej.

Seamus odetchnął spokojniej.

Roza nie umiała powiedzieć, dlaczego się obudziła. Oprzytomniała

dopiero, gdy usłyszała charakterystyczny głos Simona Matthews

dochodzący z pokoju obok. Co on robi pod ich dachem? Leżała, sztywne

ze strachu, dopóki nie usłyszała jego pożegnania. Dopiero wtedy zaczęła

oddychać normalnie. I pomimo że paliło ją od krzyża do kolan,

wstała z łóżka. Nie miała nic innego z ubrania poza suknią balową, włożyła ją więc z trudem na siebie i zapięła najniższe guziki.

- Co się dzieje? - spytała Joego, który stanął w drzwiach wejściowych.

- Właśnie przyprowadzili twojego niewolnika - odparł. - Seamus i Peter zanieśli go do chaty jego matki.

- Dzięki! - westchnęła Roza. - A więc Princess się nim zajmie!

- Princess odeszła z Matthewsem - odparł Joe.

- Była częścią ceny, którą Seamus zapłacił.

Roza nie mogła w to uwierzyć. Sądziła, że się przesłyszała. Tak nie mogło być. Może nadal śni?

- Princess zostawiła ci maść - Joe skinął głową w stronę stołu.

Roza powoli podeszła we wskazanym kierunku. Stał tam mały, gliniany dzbanuszek okryty brązowym papierem i kawałkiem sznurka ciasno obwiązuającym otwór.

- Powiedziała, że to dla ciebie - mówił dalej Joe.

- Że to koi ból. Wiele razy prosiła, by to ci przekazać. Że to koi ból i że jest dla ciebie. Prosiła, byś zaopiekowała się jej małym łosiem. - Joe uśmiechnął się. - Rozumiesz coś z tego, Rosi?

- Tak - odparła, ściskając dzbanek obiema dłońmi. - Możesz mi zapiąć sukienkę, Joe?

Zaśmiał się ochryple i poprosił, by wyszła na schody.

- Jeśli Seamus mnie przyłapie z rękami na twoich plecach, będę miał dowód, że się nie chciałem chować.

Roza stała bez ruchu, aż zapiął wszystkie guziki.

- Dziękuję - powiedziała.

- Nie sparzyło cię dotknięcie Joego? - spytał wesoło.

Roza spojrzała na niego z rezygnacją i poszła w kierunku chat niewolników.

- Przecież nie mogłem jej ze sobą stamtąd wywlec! - prychnął Seamus. - Co wtedy powiedziałyby o mnie czarnuchy? Wieść rozniosłaby się na pół stanu jak ogień w suchej trawie. Wszyscy by się dowiedzieli, jakim potworem jest Seamus O'Connor. A Rosi w tej samej opowieści przyprawiono by białe skrzydła.

- Ona zasługuje na nie - stwierdziła Fiona. - Nie odeszła od tego chłopca już ponad tydzień.

- No właśnie - rzucił Seamus. - Ile pań domu spędza przez cały tydzień nie tylko dni, ale i noce w chacie niewolnika?

- Rosi nie jest zwykłą panią domu, Seamusie!

Fiona objęła brata od tyłu zza jego krzesła. Położyła policzek na jego włosach i splotła swoje palce z jego palcami tak, jak robiła, gdy była małą dziewczynką, a on jej starszym, silnym bratem. Wtedy to on ją pocieszał. Teraz ona mogła pocieszyć jego.

- Niewolnicy ją kochają - powiedział Joe. - Ludzie, którzy pracują z nami na Rose Garden, mówią o niej z nabożeństwem w głosie. Wtedy, gdy Seamus ich nie może słyszeć.

- Tak, milkną, gdy się zbliżam - rzucił Seamus z roztargnieniem. - Zauważyłem to.

-Widzieliście go wtedy, gdy Matthews z nim przyjechał - wspomniała Fiona z dreszczem.

To ona zanosila Rosi jedzenie w ciagu tych dni. Seamus odmowil chodzenia do chat niewolnikow, mimo ze znaczylo to, iz jej przez ten czas nie widywal. Rosi twierdzila, ze musi tam pozostac.

- Teraz wyglada inaczej - rzucila Fiona cicho. -Sadzilam, ze on umrze. A teraz na jego plecach zaczyna pojawiac sie nowa skora. Twarz ponownie przypomina twarz. I tylko Rosi mozna za to dziekowac. To niesamowite. Zupelnie, jakby jej zyczenie, by mu sie poprawialo, spelnilo sie. Nie umiem tego inaczej wytлумaczyc.

- Sa rzeczy, ktorych nie nalezy tлумaczyc - odezwal sie Peter z naciskiem w glosie. Ogień plonacy w jego brazowych oczach sprawil, ze i Fiona, i Seamus zamilkli.

- Sądze, ze Coleen spotyka sie z Jaredem juniorem - rzekla Fiona po chwili milczenia. - Te jej wyprawy nad rzeczkę sa coraz dluzsze.

- Przecieź bierze ze soba chlopcow - sprzeciwil sie Seamus.

- To przemawia na jego korzyść - rzucila Fiona ostro. - On nadal przychodzi, mimo ze wie o chlopcach. Nie lubilabym go, gdyby to stanowilo dla niego przeszkode. Ale powinien byc mardzejszy.

- Rozmawialas z Coleen? - spytal Peter. -Nie.

- Porozmawiasz? - spytal Seamus.

- Nie wiem. Ona jest taka szczesliwa. Zasluguje na to. Sprawa Seana nie byla dla niej latura.

- Dla nikogo z nas nie byla latura! - odezwal sie gwałtownie Seamus.

- On dla nas byl tylko bratem - powiedziala Fiona lagodnie. - Dla niej byl kimś wiecej. Ojcem

jej dzieci. Mężczyzną, którego kochała. Kiedy to działa dobrze, znaczy więcej niż krew, Seamusie O'Connor!

- Tylko ziemia znaczy więcej niż krew! - sprzeciwił się Seamus.

Fiona puściła go.

- Sam w to nie wierzysz - stwierdziła z uśmiechem.

- Nie - odparł z westchnieniem.

Wyglądał na zmęczonego. Źle spał, leżąc sam w szerokim łóżku.

Wydawało się tak puste, gdy nie było w nim Rosi, do której się mógł przytulić, poczuć jej miękkie ciało, gdy nie słyszał jej oddechu za każdym razem, gdy się budził.

- Istnieje coś ważniejszego niż ziemia i krew, Fiono - westchnął Seamus. - Ale ostatnia rzecz, której teraz potrzebujemy, to żeby Coleen złamał serce bogaty dziedzic, który nigdy się z nią nie ożeni. Zanim się zorientujemy, będziemy mieli jeszcze jedną gębę do wykarmienia. Jordan nie wyłoży pieniędzy na dziecko, które nie przyjdzie na świat na Blossom Hill co najmniej dziewięć miesięcy po wspaniałym ślubie zawartym w obecności wszystkich ważnych gości.

- Taka głupia ona nie jest! - stwierdziła Fiona. - To tylko mały romans...

- Założymy się? - spytał Seamus. - Możesz sobie myśleć, że Coleen jest rozsądna, ale Jared junior to mężczyzna, a ja się znam na mężczyznach.

Nie wystarczy mu trzymanie jej za rączkę!

- Co zamierzasz?

Zamknął oczy, niemal wdzięczny za inny temat rozmyślań niż o Rosi.

- Pójdę za nią następnym razem, gdy nabierze chęci na spacer.

Trzy dni później przed południem Coleen zniknęła, idąc samotnie wzdłuż rzeczki. Seamus siedział w te dni w domu pod pretekstem naciągnięcia mięśnia dłoni. Narobił wielkiego zamieszania, narzekając, że nie może się przydać na budowie. Wszystkie kobiety starały się mu umilić przymusowy odpoczynek, także Coleen.

Tylko nie Rosi...

Pozwolił, by Coleen poszła przodem, nie podejrzewając, że szwagier ją śledzi. Jechał konno, a i tak domyślał się, dokąd ona szła. Mało było miejsc nadających się lepiej na schadzkę niż łączka nad rozlewiskiem, gdzie sam kochał się z Rosi.

Seamus dotarł do nich, zanim mogli zrobić coś, na czym nie chciałby ich przyłapać. Ale oczywiste było, że Jared junior czekał na Coleen. To nie wyglądało na przypadkowe spotkanie. Sądząc po gwałtownych uściskach i gorących pocałunkach, nie było to ich pierwsze sam na sam po balu. Śmiech Coleen perlił się niczym odgłos fal rzecznych. Pieszczoty młodego Jordana były czułe.

Seamus pozwolił Warriorowi podejść aż nad rozlewisko. Koń Jordana zauważył ich o wiele wcześniej niż te dwa gołąbki.

Seamus dotknął palcem runda kapelusza i nawet współczuł Coleen, która aż otworzyła usta ze zdumienia i okryła się ciemnym rumieńcem po korzonki włosów. Cofnęła się o krok od młodego Jordana, ale ten ją przytrzymał. Stał przy niej, obejmując ją w talii, jakby miał do tego prawo.

Z jego postawy Seamus wywnioskował, że młodzieniec bierze odpowiedzialność za tę sytuację.

- Spotkaliście się już wcześniej, panie Jordan - odezwał się Seamus. - Nie spodziewałem się, że zakradnie się pan na moją posiadłość jak prosty złodziej.

- To nie jest tak, Seamusie! - wykrzyknęła Coleen.

- Zamierzałem przyjść jako gość, sir - odparł Jared junior głosem pewnym i jasnym. - Przez bramę, a nie przez płot - dodał. - To była tylko kwestia czasu.

Seamus uniósł brwi, dając do zrozumienia, co o tym sądzi.

- Nie oczekuję, by pan mnie zrozumiał, sir.

- Ja rozumiem aż nadto dobrze - uśmiechnął się Seamus leniwie. - Coleen jest ładną, młodą kobietą. Ale należy do tych porządnych. Była żoną mojego brata. Dlatego osobiście zadbam, by nie stała się zabawką dla jakiegoś młokosa, który nie ma nic lepszego do roboty niż uwodzenie dziewcząt.

Młody Jordan nie zareagował, ale Coleen spuściła głowę z nieszczęśliwą miną.

- Moim celem, sir - powiedział Jared junior - było złożenie ci wizyty na Favourite w ciągu najbliższych dni, by poprosić o rękę Coleen.

- I ja mam w to wierzyć? - spytał Seamus drwiącym tonem.

- Teraz o to proszę - odparł młodzieniec. - O błogosławieństwo na ślub z Coleen.

Wyglądał całkiem zdecydowanie, gdy tak stał, obejmując Coleen.

Seamus przypomniał sobie, jak wtedy obudził Seana i zmusił brata do przyznania

się, że zdradził buntowników. Pamiętał, jak Coleen bez słowa spakowała swój niewielki dobytek, wzięła Columa na ręce i opuściła Seana.

Pamiętał, że złożyła swój los, los swojego syna i jeszcze nienarodzonego dziecka w jego ręce. To on zniszczył jej życie. Niezależnie od tego, jaki teraz czuje sprzeciw, winien jest jej szansę szczęścia.

- Rozmawiałeś ze swoim ojcem, panie Jordan? - spytał Seamus.

- Tak - odparł młody człowiek pewnym głosem.

- I cóż na to twój ojciec?

Szczęki Jareda juniora zacisnęły się. Seamus zrozumiał, że powiadomienie świadomego swojej pozycji ojca o tym, jaką kandydatkę wybrał sobie za żonę, nie mogło być miłe.

- Mój ojciec nie ma nic przeciwko temu, bym ożenił się z Coleen, sir.

- Co z jej synami?

- Otrzymają wychowanie godne moich synów. Mój najstarszy syn będzie dziedziczyć plantację, ale synowie Coleen, synowie pańskiego brata, będą dziedziczyć na równi z pozostałymi dziećmi.

Seamus westchnął. Z tonu jego wypowiedzi zrozumiał, że to było przemyślane. Jared junior myślał na poważnie o Coleen. O ich Coleen.

- Kochasz ją?

- Tak, sir - odparł bez wahania.

- A ty, Coleen? Chcesz tego mężczyzny?

- Jego i żadnego innego - odrzekła pewnie, jak przystało na dziewczynę z Kilkenny.

- Mój ojciec mówi, że nie będzie wymagał żadnego posagu - odezwał się Jared junior po chwili ciszy. - Coleen jest przecież wdową i przybyła tu

niedawno. Mój ojciec twierdzi, że zależy mu bardziej na moim szczęściu niż na sztywnych tradycjach.

Seamus uśmiechnął się krzywo, ale coś go ukłuło.

- Daję wam moje błogosławieństwo - powiedział. - Nie widzę żadnych przeszkód, by moja bratowa wyszła za pana, panie Jordan. I nie sędzę, by któryś z moich braci takowe znalazł. Ale radzę ci, byś dobrze traktował naszą Coleen. Ona ma armię irlandzkich szwagrów, która nie zawaha się stanąć w jej obronie, jeśli tylko zważą, że coś złego się jej dzieje. Nadal będziemy traktować ją jako należącą do naszej rodziny.

- Oczywiście, że tak, sir - odparł Jared junior. -Dziękuję, sir!

- Nie mów do mnie „sir”! - rzucił Seamus. - Nie jestem tak stary, bym mógł być twoim ojcem. A Coleen nie wyjdzie za mąż bez posagu.

Przekaż pozdrowienia twojemu ojcu i powiedz, że zadbam o to. Tacy już jesteśmy, my, O'Connorowie. Dbamy o naszych. Nie będziesz musiał się wstydzić, że wybrałeś Coleen na żonę!

Wbił pięty w boki konia i odjechał, nie słysząc podziękowań Coleen.

Wierzył, że młody Jordan potraktuje swoją przyszłą żonę tak, by umożliwić jej godne wejście w swój świat.

Przypuszczał, że schadzka stanie się mniej gorąca, niż chcieli. Teraz muszą być ostrożni. Tego dnia, gdy Seamus zaprowadzi Coleen do ołtarza, niezliczone spojrzenia spoczną na jej talii. Na pewno będzie dla niej lepiej, jeśli uda się zasznurować ją do osiemnastu cali.

Seamus właściwie był zadowolony z wyniku spotkania. Coleen otrzymała dobry posag. A O'Connorowie nagle zostaną skoligaceni z jednym z najpotężniejszych rodów w Georgii!

Roza nic nie powiedziała na przyniesione przez Fionę wieści o nieoczekiwanym związku między Coleen a Jaredem juniorem.

- Seamus uważa, że to wspaniałe - powiedziała Fiona.

- Oczywiście, że tak - potwierdziła Roza.

- Mogłabyś się trochę ucieszyć ze względu na Coleen!

Roza spojrzała na Marlona. Mógł już siadać i wstawać, ale nadal jego ciało nosiło ślady tortur, którym był poddawany niemal przez miesiąc.

Wszystko dlatego, że uratował przed utonięciem białe dziecko.

- Trudno mi myśleć dobrze o Jordanach, Fiona. Nie pytaj, dlaczego.

- Junior nie jest podobny do ojca. Nie odpowiada za jego czyny.

- Ale przenosi dalej jego krew - przypomniała Roza, nieprzejednana.

- Gdybyś mogła siebie posłuchać! - rzuciła Fiona, odchodząc.

- Sądzę, że już czas, by panienka wróciła do swoich - powiedział Marlon powoli.

Jego szczękę wybito ze stawu. Starsi niewolnicy musieli nastawić ją na miejsce. Dużo czasu upłynęło, zanim Marlon zaczął mówić zrozumiale.

- Dam sobie radę - przekonywał. - I tak panienka wiele zrobiła.

Roza pokręciła głową. Nadal czuła, że winna jest Princess opiekę nad nim.

- Twoja matka chciałaby, bym doprowadziła cię do pełnego zdrowia!

- Moja matka zrozumie - zapewnił Marlon--Biegnący Łoś. - Panienska powinna wrócić do swoich. Mówią, że pan Seamus się niecierpliwi.

Roza westchnęła. Wiele myślała o Seamusie podczas cichych godzin przy posłaniu Marlona.

- Tak, wrócę do domu - powiedziała. - Ale będę do ciebie zaglądać codziennie. I nie wyjdiesz do pracy, zanim się nie zgodzę!

Udało mu się do niej uśmiechnąć uśmiechem równie promiennym co jaśniejąca wstęga na północnym niebie.

Fiona nastawiła wodę do kąpieli, gdy dostrzegła nadchodzącą Rozę.

Razem przeturlały cebrzyk do jej pokoju.

- Trudno, że to twoja pierwsza suknia balowa - westchnęła Fiona, zgarniając sukienkę z podłogi. - Jest taka brudna i powalana krwią, że ją spalę bez względu na to, co powiesz.

Roza nie sprzeciwiła się.

- Weź jeszcze bieliznę! - rzuciła tylko. - Spal i ją! Fiona nie zadawała pytań i zrobiła, jak prosiła bratowa.

Po kąpieli Roza usiadła pod dębem i pozwalała, by wiatr suszył jej włosy.

- Seamus zwykle wraca późno - powiedziała Fiona. - Przedłużał dni pracy, gdy cię nie było...

Roza zrozumiała i nagle zaczęła się śpieszyć.

- Nie mam ochoty na sen - oznajmiła, patrząc na ciemniejące niebo. Przypomniała sobie koszyk, który on wtedy przygotował. Przypomniała, jacy byli podnieceni, jak łatwo było im się śmiać, jacy byli szczęśliwi...

- Jest gdzieś jeszcze ten szampan, który przywiózł Seamus? - spytała. Coś zaiskrzyło się w szarych oczach Fiony, gdy mówiła:

- Chyba zdołam go wyczarować. Myślałaś o czymś jeszcze? Seamus już nie czuł zmęczenia. Naciągnął tylko na siebie czystą koszulę, gdy Fiona z tajemniczym uśmiechem przekazała mu, że Rosi czeka na niego przy rozlewisku.

- Byłoby dobrze, gdybyś wziął ze sobą kilka koców - dodała. Poszedł na piechotę, prawie biegł. Oczy szybko przywykły do ciemności. Czuł lekkość w piersi. Smutki, które ją przygniatały, przegonił łagodny wiatr.

Czekała na niego na łączce. Włosy miała rozpuszczone, błyszczące w świetle gwiazd. Coś ścisnęło Seamusa w gardle. Ale ona nie oczekiwała słów. Podniosła się i poszła mu na spotkanie, otwierając ramiona. Seamus upuścił koce i objął ją z całych sił.

Dużo później leżeli rozgrzani i nasyчени, w uścisku ramion. Noc była gorąca, a niebo usiane niezliczonymi gwiazdami. Starali się je policzyć, ale to było niemożliwe.

- Nie zostaniemy hodowcami tytoniu - odezwał się Seamus.
- Nie szkodzi.
- Nawet nie widziałaś tych nasion - dodał.
- Nie szkodzi - powtórzyła.
- To nic specjalnego - uśmiechnął się. - Torebka kurzu, warta dwa tysiące razy więcej złota, niż waży.
- Nie szkodzi.
- Będą posagiem Coleen. A ja pewnie będę musiał znów wyjechać, po nowe ziarna. Zresztą, teraz nie czas na siew.
- Może nie tytoniu - mruknęła Rosi w jego tors - ale synów?
Uśmiechnął się w ciemności.
- Kochasz mnie, Rosi O'Connor? - spytał.
- Kocham cię ponad życie, Seamusie O'Connor!
- Zaczniemy od nowa - szepnął. - Udajmy, że dopiero teraz Nowy Świat staje się nasz!
- Nowy początek?
- Całkiem nowy - obiecał Seamus. - Szczęśliwszy!
Pocałował ją mocno i przez pozostałą część nocy udowadniał, co ma na myśli.